

LYNNE BARRETT - LEE

JESZCZE NIE DZIŚ

*Jadą ulicami i nic mnie nie obchodzi,
Kim jesteś w oczach mijanych ludzi;
Jeśli przypadkiem kogoś potrąca,
Zapłacą od razu każde pieniądze.*
Arthur Hugh Clough, *Dipsychus*, sc. 5, 1865

*Artysta to ktoś, kto tworzy rzeczy nikomu niepotrzebne, ale które on - z przyczyn tylko
sobie znanych - uważa, że dobrze byłoby podarować ludziom.*

Andy Warhol *Filozofia Andy'ego Warhola*
(od A do B i z powrotem), 1975

Wtorek, 24 kwietnia

To tylko głupi samochód.

Nic więcej. Cztery koła, karoseria, silnik, skrzynia biegów, fotele, klamki, zderzaki i bagażnik. Przedmiot, mówiąc krótko. Przedmiot, który nie uroniłby nade mną nawet jednej łezki. I dobrze, święta racja, jeśli spojrzymy na to z perspektywy całego życia, jego złożoności, zawirowań, meandrów i tak dalej. Owszem, ale Joe nie powiedział tego, żeby mnie pocieszyć, poprawić mi humor i pomóc spojrzeć na problem z właściwej perspektywy. O nie, to był wściekły wrzask.

Coś w stylu: „To tylko głupi samochód!!!” Rozumiecie?

Od tego właśnie wszystko się zaczęło; najważniejszy moment, koniec i początek zarazem. Tak przynajmniej dzisiaj to widzę.

Był to także koniec pewnej rozmowy. Być może - nie pamiętam już teraz dokładnie - podsumowałam ją krótkim: „Pieprz się!” Albo: „To mój głupi samochód, ty draniu!” Chociaż właściwie jestem niemal pewna, że nic takiego nie powiedziałam. Rozmawiałam przecież z szefem. Już prędzej syknęłabym złośliwie: „Doprawdy? Cóż, dla ciebie to tylko głupi samochód, ale dla mnie...” I tak dalej. A później, i tego już jestem pewna, zalałam się łzami.

Dzień zaczął się całkiem przyzwoicie. Tak jak cały tydzień. Biuro firmy JDL Ltd., dla której od niedawna pracuję, mieści się na St Mary Street, nad sklepem z bielizną. Jasne, eleganckie pomieszczenie, pełne roślin doniczkowych i chromu, z trójbarwną wykładziną na podłodze, chyba ze dwa razy grubszą niż dywan u mnie w salonie. Biuro było diabło eleganckie. Diabło ekskluzywne. Cóż, zupełnie inne niż pokój nauczycielski w państwowej szkole.

Zdażyłam przejrzeć korespondencję, uspokoić przez telefon dwoje zdenerwowanych klientów i posprzątać na biurku, Iona, która zajmowała się praktycznie wszystkim poza tłumaczeniami i czarną robotą, bo to moja działka, zajrzała przez drzwi i uśmiechnęła się szeroko:

- Nie wiesz, kiedy wróci Joe?

Wiedziałam.

- Mówił, że o wpół do dwunastej - odparłam. - Ale wiesz, jak to jest na M4. Wątpię, żeby zdażył przed pierwszą.

- Jak by dzwonił, powiedz, że muszę z nim porozmawiać, dobrze? Chodzi o kontrakt z Luxotel. - Iona przewróciła oczami i wycofała się do siebie.

Zadzwoił niewiele później, koło wpół do jedenastej. I tak zaczęła się pamiętna rozmowa.

- Lu?

- To ty, Joe? - Połączenie było fatalne. W dodatku przekładałam słuchawkę do drugiej ręki i przez chwilę nie słyszałam, co mówił. Włączyłam się dopiero przy:

- ...ogromny pieprzony tir, na rany boskie!

Mój szef nie słynie bynajmniej ze spokojnych, wyważonych wypowiedzi, więc doszłam do wniosku, że po prostu się piekli, bo stoi w korku.

- Więc się spóźnisz, tak? - mruknęłam, gryząc ołówek w zadumie.

- Spóźnię się? Spóźnię? Czyś ty zwariowała? Mam szczęście, że w ogóle żyję!

W myślach odtworzyłam całą rozmowę, ale niewiele mi to dało. Otrząsnęłam się z zadumy:

- Jak to? Coś się stało? Masz jakieś kłopoty?

- Kłopoty? Lu, jestem w szpitalu w Swindon. Mam złamaną lewą rękę, milion szwów na policzku, pęknięte żebro i prawdopodobnie jestem w szoku.

- W szoku? Mój Boże!

- Cóż, jeszcze tego nie stwierdzili. Ale uwierz mi na słowo, plaster i gaza tu nie wystarczą.

- O Boże! - pisnęłam, gdy w końcu do mnie dotarło. - Miałeś wypadek! O Boże! Wszystko w porządku? To znaczy, poza ręką, żebrem i szwami? O Boże? Jak się czujesz?

- A jak myślisz? - ryknął. - Jestem w pieprzonym Swindon! Mam tu czekać na policję, żeby złożyć zeznania, a o wpół do trzeciej miałem być na spotkaniu w banku. Nie zdążę za żadne skarby świata, prawda? W dodatku nie mogę prowadzić, więc muszę jechać taksówką na dworzec i tłuc się pociągiem do Cardiff, jakoś wdrapać się do biura i...

Chyba rzeczywiście jest w szoku, pomyślałam. Gadał jak nakręcony.

- Joe! - przerwałam mu stanowczo. - Nie mogą odwieźć cię karetką?

Ściszył głos.

- Wracaj na ziemię, Lu.

- Ale przecież jesteś ranny! To skandal! Posłuchaj, ja to załatwię, porozmawiam z kim trzeba i...

- Lu, nie potrzebuję karetki. Ale mam pomysł. Może... tak, tak będzie najlepiej. Zrobimy tak. Zadzwoń do wypożyczalni samochodów, nie wiem, Budget, Avis, do której chcesz, wynajmij wóz i przyjedź po mnie. To tylko godzinka w jedną stronę, za dwie będziesz z powrotem, a ja nie będę musiał tłuc się pociągiem. Tak, to doskonały plan. Załatw to i

zadzwoń na komórkę, dobrze?

I tak zakończyła się pierwsza część pamiętnej rozmowy. Odłożyłam słuchawkę, znalazłam w książce telefonicznej numer wypożyczalni samochodów i zabrałam się do pracy. Kiedy wszystko było już załatwione, poszłam do sąsiedniego pokoju, do Iony, i opowiedziałam, co się stało. A przynajmniej to, co sama wiedziałam.

- Wypadek?

- Tak. W Swindon. - Wymieniłam jego obrażenia.

Zaczerpnęła tchu głośno, ale bez paniki. Pracowała w JDL Ltd. chyba od milionów lat. Widać przywykła do podobnych dramatów. Chociaż i tak wyczułam w jej głosie nutkę niepokoju.

- Biedactwo! Jak do tego doszło?

- Jeszcze nie wiem. Muszę do niego zadzwonić. Zaraz to zrobię. Jak myślisz, może zadzwonić też do szpitala? Joe był bardzo zdenerwowany.

Pokręciła głową. Zdenerwowany to najwyraźniej u niego normalny stan.

- Nie, kochanie, najlepiej będzie, jeśli po prostu po niego pojedziesz. Mój Boże. Co za dzień. A co z jego jaguarem? Nie wiesz, w jakim jest stanie? Znając Joego, bardziej przejmie się samochodem niż...

Urwała i szerzej otworzyła usta. Nie bardzo, tylko na tyle, że mignęły mi jej plomby. Na tyle, żeby dać mi do zrozumienia, że i ona sobie przypomniła.

- O mój Boże! Joe jechał twoim samochodem, prawda? Twoim nowiutkim samochodem.

Moim. No właśnie. Biedactwo, dobre sobie.

Kiedy zadzwoniłam do Joego, zachowywał się normalnie, jakby wstąpił do sklepu na zakupy.

- Wszystko załatwione? - zapytał radośnie. - Jedziesz już?

- Owszem - odparłam tylko trochę złośliwie. - Ale czy na pewno cię wypuszczą? Nie chcą cię zatrzymać na obserwacji?

W tle słyszałam wycie karetki.

- Nic mi nie jest - zapewnił. - W tej chwili przesłuchują faceta z tira, potem mam być ja. Zanim tu dotrzesz, będzie już po wszystkim.

- Nic cię nie boli? - upewniałam się.

To było okropne, jak wrywanie włosów pęsetą. Musiałam jednak mieć stuprocentową pewność, że z Joem wszystko w porządku, zanim zainteresuję się losem

mojego biednego samochodziku. Inaczej po prostu nie wypadło.

- Nic a nic - oznajmił. Coś zagrzechotało. - Cocodamol - przeczytał. - Choć pewnie później będę gryzł ściany.

- Ale co się właściwie stało? Ciężarówka? Potrąciła cię ciężarówka?

Zachichotał.

- No, nie, bez przesady. Nie mnie, spaliłbym się na skwarke! Nie, nie, ciężarówka złapała gumę, facet stracił kontrolę, ja chciałem go ominąć, i rąbnąłem w forda mondeo, a potem w pół - ciężarówkę, potem zjechałem na boczny pas dzięki Bogu, nikogo tam nie było, skasowałem znak drogowy i w końcu wylądowałem na boku w rowie.

- Mój Boże!

- Tak, tak, mój Boże.

- A co z... z innymi?

- Kierowcy tira nic się nie stało, facet z półciężarówki ma wstrząśnienie mózgu i złamaną kostkę, a baba z mondeo... hm... wyszła bez szwanku...

- Hm? Co znaczy: hm?

- Bez komentarza.

Co to niby miało znaczyć? Głęboko zaczerpnęłam tchu:

- A mój samochód?

Mój śliczny, wypieszczony, ukochany samochód?

Westchnął głośno.

- Hm - mruknął po długiej chwili. - Nie najlepiej, niestety.

Zarówno jego słowa, jak i ton głosu nie zapowiadały ostatecznej wersji, którą później usłyszałam. Jechałam do szpitala jak wariatka, łamiąc wszelkie możliwe przepisy. W końcu mój szef był w szpitalu. Co prawda mój samochodzik oberwał, ale szef wyszedł z tego cało. I tak mknęłam po autostradzie, w gruncie rzeczy zadowolona, troszkę tylko zaniepokojona stanem auta. Trzeba zachować właściwe proporcje: samochód można naprawić, i nie czas się tym martwić, gdy cierpi człowiek. (Joe wprawdzie nie cierpiał, w każdym razie jeszcze nie, ale wiedziałam, jak to jest. Nieraz padłam ofiarą zdradzieckiej euforii po wizycie u dentysty; póki działa znieczulenie, chodzisz z promiennym uśmiechem i informujesz wszystkich dokoła, że było w porządku). Owszem, mówimy tu o samochodzie po ojcu, i rzeczywiście, bardzo cierpiałam i byłam zła. Ale przecież to tylko samochód, zresztą Joe nic nie zawinił.

Tego akurat nie byłam pewna w stu procentach. Znałam wówczas Joego Delaneya od niecałego miesiąca i niewiele o nim wiedziałam. Oprócz tego, oczywiście, że jest szefem prężnej firmy i rozwodnikiem. I ma dziewięcioletnią córeczkę, Angharad, której zdjęcie stoi

na jego biurku. Wiedziałam również, że ciężko pracuje, zarabia dużo pieniędzy i trudno z nim wytrzymać. Chyba że się umie z nim postępować. Tak twierdziła Iona.

Trudno wytrzymać? Z Delaneyem? Co za bzdura! Jest uroczy! - zapewniała mnie Del, moja siostra, zanim poznałam Joego. - Jest bardzo kochany. I przystojny. Ma takie zielone oczy jak... och, sama nie wiem. Nie szmaragdowe, tylko... takie świetliste. Malachitowe. Jak malachit podświetlony reflektorkiem. A jego włosy... coś pomiędzy Rettem Butlerem a Pierce'em Brosnanem. I ma cudowny uśmiech. Właściwie cały jest cudowny i bardzo miły, za to jego była żona to prawdziwa suka. Ja w każdym razie nie wypuściłabym go z łóżka.

No tak, jej to dobrze mówić. Moja siostra, szczęśliwa mężatka bez większych trosk materialnych, może sobie pozwolić na ekliwne fantazje o mężczyznach. Ja jestem bardziej wybredna. Zresztą cała ta jej paplanina nijak się miała do mojej z Joem relacji; dla mnie był po prostu szefem.

Chociaż muszę przyznać, że nie myliła się co do oczu.

Lecz fakt, iż natura wyposażyła go w narząd wzroku wyjątkowej urody, nie zdołał stłumić mojej rosnącej irytacji; coraz bardziej niepokoiłam się o mój samochód. Podjechałam pod szpital w Swindon kilka minut po pierwszej. Joe siedział na murku przed wejściem do izby przyjęć i wyraźnie podrywał pielęgniarkę. W jednej dłoni miał papierosa, w drugiej, tej w gipsie, komórkę.

- Jezus Maria, nie micra! - jęknął, gdy wysiadłam. Cisnął niedopałek na ziemię i odprowadził pielęgniarkę tęsknym wzrokiem.

- Nie mieli nic innego - poinformowałam go. - Pomóc ci przy wsiadaniu?

- Poradzę sobie - burknął, ale najwyraźniej się przeliczył. Kiedy się schylił, marynarka zsunęła mu się z ramion. W ostatniej chwili uchroniłam ją od spotkania z asfaltem. Joe był blady, czerwona rana przecinała lewy policzek niemal na całej długości, od skroni po podbródek. Kilkanaście niebieskich szwów ściągnęło oba brzegi, ale rozcięcie nadal robiło upiorne wrażenie.

- Nie najlepiej to wygląda - zauważyłam, zatrzymując drzwi od strony pasażera. - Nie powinni tego zakryć jakimś opatrunkiem? Czy to głęboka rana?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł spokojnie. - No, chodź już. Ruszamy. Muszę zdążyć na spotkanie.

W tej chwili porzuciłam myśl o przerwie na kawę i ciastko. Nie szkodzi, zatrzymamy się po drodze. Joe jednak szybko ściągnął mnie na ziemię.

- Czy to pudło nie może jechać szybciej? - warknął, ledwie wróciliśmy na autostradę.

Odparłam wyniośle, że jak na jeden dzień, wystarczy nam wypadków, zresztą żadne

spotkanie nie jest warte, żeby dla niego ryzykować życie. Wiem, trochę to patetyczne i ponure, ale wydawało mi się, że właśnie to muszę powiedzieć. Zresztą miałam rację.

- Dobra, dobra - burknął i machnął zdrową ręką. Nagle przypomniałam sobie, że jeszcze nie poruszyliśmy problemu mojego samochodu. Przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu, tylko radio paplało nieustannie.

W końcu zaczęłam delikatnie:

- Co ci powiedzieli policjanci?

Wzruszył ramionami.

- Niewiele. Jak zwykle.

Nie mam pojęcia, ile zwykle mówią, ale zatrzymałam tę uwagę dla siebie.

- A o co chodzi z tą kobietą z mondeo? Co miało znaczyć: „Bez komentarza”?

- Och, nic takiego, tylko że to wredna suka - odparł spokojnie. - Jej zdaniem ja też ponoszę winę za wypadek. Co oczywiście jest bzdurą.

- A dlaczego tak myślisz?

- Bo mnie nienawidzi, to jasne jak słońce. Pewnie to stara lesba.

Milczałam tak długo, że musiał wyczuć moją dezaprobatę, aż spytałam:

- Ale dlaczego?

- Bo ją wyprzedziłem. To znaczy wyprzedzałem, bo w końcu ją stuknąłem.

- Przez tira.

- Przez tira. Tir wyprzedzał półciężarówkę, gdy poszła mu guma. Mondeo było za tirem na środkowym pasie, a ja na zewnętrznym, właśnie chciałem wyprzedzić mondeo, ale wtedy oba zjechały na mój pas, więc wróciłem na środkowy, stuknąłem mondeo, zakręciło mną, zjechałem na lewo, skasowałem znak drogowy, walnąłem w barierkę i wylądowałem na boku w rowie. - Podkreślał słowa ruchami zdrowej ręki. - Mogę zapalić?

- Nie. Teraz rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

- Masz rację. Nie rozumiem.

- A ta suka... ta suka chyba im powiedziała, że jechałem przeszło setką.

- Przeszło setką?

- Tak, przeszło setką. To oczywiście nieprawda, bo twój samochód tyle nie wyciąga.

Owszem, wyciąga.

- Ale jechałeś za szybko. Najwyraźniej tak właśnie było. Spojrzał na mnie, starając się przybrać skruszoną minę.

- No, tak. Chyba jechałem za szybko.

- O Boże. - Odruchowo zwolniłam. - Więc policja uważa, że gdyby nie ty, sytuacja nie byłaby tak skomplikowana.

Zdenerwował się.

- Właśnie. Ale nie o to chodzi. To znaczy, o to, jeśli chodzi o punkty karne, ale najważniejsze jest ubezpieczenie.

- Twoje?

Skinał głową.

- Jeśli ubezpieczyciel tira dowie się, że jechałem za szybko, staną na głowie, żeby zapłacić jak najmniej.

- Za mój samochód?

- Jeśli w ogóle coś zapłacą.

- W takim razie musi zapłacić twój ubezpieczyciel.

Tak jest. Czyli szlag trafi moje zniżki za bezwypadkową jazdę.

Co za pech, pomyślałam. Cholera, co za pech.

- A właściwie w jakim stanie jest mój samochód? Dużo trzeba naprawiać? Ile mniej więcej wyniosą koszty naprawy? I gdzie on w ogóle jest?

Mijała nas akurat ciężarówka pełna beczących jagniąt, więc nie słyszałam ani słowa z tego, co mówił. Ale zaraz powtórzył.

- Jest do kasacji.

- Do kasacji? Jak to: do kasacji? Mój ukochany samochodzik?

- Posłuchaj, to nie twoja sprawa.

- Jak to nie moja sprawa? Jak to nie moja?!

- Bo nie. Kupimy ci nowy.

- Ale mój jest jedyny w swoim rodzaju! Poza tym... Boże, dopiero co wydałam sześćset funtów na przegląd!

- No to pech.

- Był wyjątkowy, z limitowanej serii. Perełka! Drugi laki sam znajdziesz za... bo ja wiem, może nawet trzy miesiące!

- No i co z tego? Do tego czasu wynajmiemy ci ten.

- Ten? O nie! Zresztą nie o to chodzi! To był samochód mojego ojca! A ty... ty... - Powoli do mnie docierało. - Ty go zniszczyłeś. Rozbiłeś! Tak po prostu!

Chyba reagowałam z opóźnieniem; nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam równie wściekła. Utkwiłam wzrok w przedniej szybie. Na niebie, jakże odpowiednio, kłębiły się czarne chmury. Jak on śmiał jechać przeszło setką moim samochodzikiem?

- Jestem na ciebie wściekła, słyszysz? Wściekła.
 - To nie moja wina.
 - Owszem, twoja. Gdybyś nie jechał z niedozwoloną prędkością...
 - Nie jechałem!
 - Jechałeś.
 - Sto dwadzieścia na godzinę, nie więcej.
 - Sto dwadzieścia? Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę w moim samochodziku?
 - Jezu, posłuchaj siebie, gadasz jak moja babka. Lu, odpuść sobie, dobrze? Załatwię to.
 - Nie o to chodzi. Chodzi o samą zasadę. Pożyczyłam ci mój samochód w dobrej wierze i teraz dowiaduję się, że potraktowałeś go jak... jak... cholerny bolid formuły 1!
 - Jechałem nim.
 - Rozwaliłeś go!
 - No dobrze, rozwaliłem. Ale to tylko samochód, Lu, a nie żywe stworzenie!
 - To był samochód - poprawiłam. - I to mój. Nie twój, tylko mój!
 - Był - powtórzył z naciskiem.
- Zdaje się, że usiłował w ten sposób rozluźnić atmosferę. Próżne wysiłki.
- Mężczyźni! Za grosz w was odpowiedzialności! I jeszcze sobie z tego żartujesz?
- Masz na sobie tonę gipsu, twarz jak czarnobrody... - Sinobrody.
- Pęknięte żebro i...
- Poruszył się na fotelu i zdrową ręką walnął w deskę rozdzielczą.
- No właśnie! - ryknął. - Właśnie, Lu! To tylko głupi samochód!

Planowanie nigdy nie było moją mocną stroną. Nigdy na przykład nie planowałam, że będę uczyła francuskiego, podobnie jak nie planowałam zakochać się w draniu. A już z pewnością nie planowałam zająć z nim w ciąży. Kiedy już do tego doszło, żywiłam przez pewien czas, przyznaję to ze wstydem, młodzieńcze marzenia z serii „Żyli długo i szczęśliwie”. Ale niedługo się łudziłam. Bo on miał inne plany. Inną panią.

- Mam plan - powiedziałam do siostry. Teraz, dziesięć lat później. A dokładnie mówiąc, powiedziałam to pół roku temu, w pochmurne listopadowe popołudnie.

- Plan? - Zmrużyła oczy. - Jaki plan?

Siedziałyśmy u niej w kuchni. Szykowała, o ile dobrze pamiętam, paszteciki z mięsem. Tylko Del mogła się zabrać do czegoś tak pracochłonnego.

- Plan na życie - wyjaśniłam. - Podjęłam decyzję. Odchodzę z pracy.

Przestała wycinać kółka z francuskiego ciasta. Spojrzała na mnie znad okularów.

- Boże drogi. To dosyć radykalny plan, Lu. Odejdiesz z pracy i co dalej? Poszukasz sobie innej?

- No, nie. Pomyślałam... cóż, pomyślałam, że mogłabym wrócić na studia.

- Na studia? A niby po co?

- Właściwie sama nie wiem. Chciałabym robić coś twórczego. Coś... och, nie wiem. Po prostu czuję, że nie pozwoliłam mojej kreatywności rozwinąć skrzydeł, rozumiesz? I pomyślałam sobie, że mogłabym studiować malarstwo. - Malarstwo? - Zamrugnęła szybko i ponownie zajęła się pasztecikami. - No tak. To rzeczywiście zmiana planów, Przepraszam, że o to pytam, ale z czego razem z Leo będziecie żyli, podczas gdy ty, hm, rozwinięsz skrzydła?

Nerwowo żułam kawałek surowego ciasta.

- Pewnie uznasz, że to głupota, ale przemyślałam to dokładnie i moim zdaniem rzecz jest do wykonania. Naprawdę. Oczywiście najpierw muszę się dostać, a pierwszym krokiem do tego jest skompletowanie teczek moich prac. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli znajdę sobie inną pracę, taką normalną, od dziewiątej do piątej, a poza tym zapiszę się na kurs przygotowawczy.

Sprawnie układała gotowe paszteciki na blasze.

- Hm. Strasznie dużo dziur w tym twoim planie. Nie lepiej, żebyś na razie została w szkole i zapisała się na kurs wieczorowy? Żeby zobaczyć, jak ci się to podoba?

Energicznie pokręciłam głową.

- Nie, właśnie tego nie chcę. Nie mogę. Widzisz, jeśli teraz nie zaryzykuję, nigdy nie

zdobędę się na odwagę. Wiem to. Znam siebie. Będę żyła z dnia na dzień, jak zawsze, i ani się obejrzę, a Leo dorośnie - przy odrobinie szczęścia wyjedzie na studia - a ja będę nadal w szkole, której nie znoszę... I... och, nie mogę i już.

- I pewnie tatuś zgodziłby się z tobą?

Del miała rację. Śmierć ojca rzeczywiście wpłynęła na moją decyzję. Umarł, zupełnie nieoczekiwanie, poprzedniego lata. Umarł bez uprzedzenia, w deszczowy czerwcowy ranek, i zostawił nas obie w żałobie, samotne. Za to z pieniędzmi. Nie, nie odziedziczyłam fortuny, ale i tak więcej, niż w życiu widziałam. Tyle w każdym razie, że obudziły się dawne tęsknoty. Tyle że co rano witałam szkołę jedną myślą: marzyłam, żeby być gdzie indziej.

Nawet najlepsze plany zawodzą. Chyba że, ma się rozumieć, ich autorka jest osobą równie rozsądną i rozważną, jak moja siostra, która zresztą planuje tylko rzeczy solidne i namacalnego typu remont. Zaczęłam zgodnie z planem: odeszłam ze szkoły i złożyłam dokumenty na uniwersytet. Wtedy pojawiły się pierwsze przeszkody; okazało się, że uzyskanie indeksu jest nieco bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało, głównie dlatego, że chyba wszyscy ludzie na świecie zapragnęli nagle studiować sztukę. Więc muszę czekać. A na razie mam fantastyczną i fascynującą tymczasową pracę w firmie, która instaluje systemy grzewcze. Mam także samochód do kasacji.

Lecz nie wszystko stracone. Na moim, raczej ponurym, horyzoncie artystycznym widnieje jeden jasny punkt. Otóż zgodnie z radą Del, zapisałam się jednak na kurs dla dorosłych. Na kurs „Impresje o impresjonistach”, który wbrew tej pretensjonalnej nazwie, okazał się bardzo pouczający. Zajęcia odbywają się we wtorki. Co prawda, nie skompletuję sobie tam całej teczki, ale otwierają się przede mną perspektywy rozwoju w całkiem innej dziedzinie.

Nazywa się Stefan Llewellyn i jest nauczycielem. A ja, która do niedawna tak starannie i rozsądnie wszystko planowałam, zadurzyłam się jak nastolatka.

Ale wróćmy do tematu. Joe Delaney wcale nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. To tylko głupi samochód, dobre sobie! Owszem, tym mianem można by określić paskudztwo, którym teraz jeżdżę. Jest koloru starego budynku i prowadzi się równie łatwo, jak zardzewiały czołg. A wygląda, jakby z trudem przetrwał ostrzał artylerii. I przez lata wożono nim owce na niedzielny piknik (niewykluczone, zważywszy, że jesteśmy w Walii). W popielniczkach jest popiół. W schowku znalazłam wiekowe opakowanie po hamburgerze. Pod siedzeniem kierowcy ktoś przykleił jadowicie zieloną gumę do zucia. A najgorsze, że to tylko micra. W tak krótkim czasie nie miałam szans na inny samochód. A to oznacza, że dzisiaj zaparkuję na tyłach muzeum, nie podjadę, jak dawniej, dumnie pod same drzwi.

Czy to nie dziecinne? I głupie? Wiem o tym, ale nic na to nie poradzę. Zdaję sobie sprawę, że to dziecinada, ale mój wypieszczony samochód jest - był - moją wielką dumą. To ostatni samochód mojego ojca, jego ostatnia ekstrawagancja, zmarł wkrótce po tym, jak go kupił. I zostawił mi go w spadku; w samochodzie nadal unosił się jego zapach i dzięki temu tęsknota za tatą nie była tak dotkliwa. A teraz siedzę w strasznej, brudnej, śmierdzącej mierze. Okropne.

Wysiadam i patrzę na wejście do muzeum.

Jest. Stefan. Czeka na schodach. Siedzi na stopniu, spiął złote włosy w kucyk, uniósł piękną twarz do słońca. W ręku trzyma szkicownik. Właściwie nie wiem, czemu na „Impresje o impresjonistach” przynosi szkicownik, nigdy niczego nie rysował. Może dzięki niemu czuje się ważniejszy? A w każdym razie wyróżnia się spośród gromadki dorosłych uczniów. On, nauczyciel. Człowiek, któremu wszyscy powinniśmy okazywać szacunek. Nie wiem dlaczego, ale to czyni go jakby bardziej wrażliwym. I za to go kocham.

Boże, ależ się zadurzyłam. To głupie, ale rozkoszne. Jak on. Po pierwsze, jest artystą. Człowiekiem sztuki. Twórcą piękna. I, jakby tego było mało, sam jest piękny. Stefan to prawie metr dziewięćdziesiąt fantastycznie umięśnionego męskiego ciała. Oczywiście, nie ma pojęcia, ile dla mnie znaczy; zaledwie w zeszłym miesiącu wypłatał się z nieudanego związku z jedną ze studentek (która, na szczęście, porzuciła marzenia o jakiegokolwiek aktywności artystycznej). Na razie nic mu nie powiem. Wprawdzie pojawiło się między nami pewne napięcie, ale chyba oboje boimy się brać pod uwagę ewentualność, że być może w niedługim czasie będziemy parą. W końcu umówiliśmy się dopiero cztery razy; nasz związek nie jest jeszcze na takim etapie, żebym mogła mu bezkarnie, beztrosko wyznać, jak za nim szaleję, ani też interpretować jego uczucia, w czym, co się zresztą później okaże, jestem beznadziejna. Obecnie wystarczy, jeśli będzie wiedział, że mi się podoba.

Stefan i tak nie zauważył samochodu. Samochody go nie interesują. Stefan jeździ na rowerze.

- Jesteś dzisiaj wcześniej - mruczy od niechcenia. Ale uśmiecha się i pokazuje stopień koło siebie, więc wnioskuję, że cieszy się na mój widok.

Przyjechałam wcześniej, bo musiałam zawieźć Joego do pubu w Pontcanna; uznał, że tam odpreży się lepiej niż w domu, w łóżku. Wrzuciłam kluczyki do torebki i przysiadłam na nagrzanym stopniu.

- Mój szef miał wypadek - mówię. - Na autostradzie. Wracał z Londynu. Złamał sobie rękę i skasował mój ukochany samochód.

Stefan kiwa głową, jakby wypadki były zasłużoną karą dla tych głupców, którzy

jeżdżą samochodami. Potem pyta, jak do tego doszło. Opowiadam mu, nieśmiała jak nastolatka. Nie do wiary, że jeszcze potrafię tak reagować.

- No cóż - zasłania oczy od słońca. - Moim zdaniem zachowałam się bardzo głupio.

Wstaję i jęczę głośno:

- Wiem.

- No bo dlaczego ten twój szef nie wynajął samochodu, tylko pożyczał twój? - Stefan uśmiecha się pod nosem. Uprzejmie, ciekawie, spokojnie. Tak, że mam ochotę zaraz go pocałować.

- Bo jego samochód był u mechanika. Nie wiedział, czy go zreperują do siódmej, a musiał jechać do Londynu na spotkanie i...

Macha komuś za moimi plecami.

- Więc czemu nie pojechał pociągiem?

- Bo... chyba dlatego, że...

- Przecież to byłoby... cześć, Cerys... najprostsze.

Odwracam się i macham koleżance z kursu. Ma dwadzieścia parę lat, nadwagę, śliczne rysy i zamiłowanie do ogrodniczek w jaskrawych kolorach. No, tak. Pewnie, że tak byłoby prościej. Ale Joe był najwyraźniej innego zdania. Podróż pociągiem oznacza towarzystwo innych ludzi w przedziale, konieczność kupienia biletów, dostosowanie się do rozkładu jazdy. Mówiąc krótko, podporządkowanie się. Wzruszam ramionami.

- Poprosił cię o samochód, a ty się zgodziłaś, tak?

- No, przecież wtedy nie był mi potrzebny. To znaczy był, ale tylko po to, żeby dojechać do domu. Joe powiedział, że zapłaci za taksówkę, i uznałam, że... no... zgodziłam się.

Stefan tylko kiwa piękną lwią głową. Wpatrzony gdzieś w dal, przeciąga się powoli. A potem ściska mnie za ramię. I głaszcze. Jezu.

- Jesteś za dobra, wiesz o tym? - mówi czule. Jest boski. - Powinnaś była odmówić, Lu. Ludzie cię wykorzystują.

- O cholera - mówi moja siostra Del, gdy mniej więcej godzinę później przyjeżdżam do niej po Leo. Jest kilka minut po siódmej, noc jeszcze nie zgasiła jasnego wiosennego dnia. Zaglądam przez okno saloniku; Simeon i Leo budują, zdaje się, wigwam na środku pokoju. Machają mi na powitanie i wracają do zabawy.

- Co cholera? - Cholera, właśnie sobie uświadomiłam, że jutro jest już środa, a jeszcze nie obszyłam stroju Harry'ego Pottera dla Simeona. - Nie odrywa wzroku od micry.

Samochodzik wydaje się jeszcze mniejszy, jakby skulony ze wstydu.

- Czyj to samochód?

Wzdycham, mijam ją i wchodzę do przedpokoju.

- Z wypożyczalni. Mój podobno nadaje się tylko do kasacji.

Otwiera usta ze zdumienia.

- Co?

- Och, Del - jęczę. - Jestem idiotką. Wczoraj pożyczyłam go Joemu i...

- Dlaczego? - Zamyka za mną drzwi wejściowe i pcha mnie do kuchni. - Dlaczego Joe pożyczał od ciebie samochód? - Sprawdza dłonią temperaturę czajnika i włącza wodę na herbatę.

Więc jej opowiadam. A ona słucha i prycha.

- Jesteś niesamowita - stwierdza. - Na Boga, w co ty się pakujesz!

- Wiem. Wiem, Del. Jezu, co mnie opętało? No ale co miałam zrobić? Nie, nie odpowiadaj. Niby jak miałam mu odmówić? Przecież nie prosił o nic specjalnego, zresztą nie on spowodował ten wypadek. Och, dość już tego. Sama nie wiem, czemu go bronię. Ale obiecał, że jutro się tym zajmie, a jeśli nie...

Del zalewa torebkę z herbatą i znowu prycha. Już przed laty opanowała do perfekcji sztukę pobłażliwego prychania starszej i mądrzejszej siostry na młodszą i głupszą.

- A tymczasem mam micrę - kończę. Spoglądam na drzwi do saloniku. - Leo! Za dziesięć minut jedziemy! - Wzdycham. - Tylko że ta sprawa może się ciągnąć miesiącami.

Del kręci głową i z rozmachem stawia przede mną kubek z herbatą.

- Boże, Lu, co my z tobą zrobimy? - zastanawia się na głos.

- Aurora? Lucienne Aurora? Naprawdę?

Nie widziałam miny Joego, bo rozmawialiśmy przez telefon. Krzyczał do słuchawki.

Wróciłam właśnie od siostry i z trudem zagnałam Leo do łóżka. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, że jego plany na ten wieczór obejmowały wyprawę do Swindon i natychmiastowe oględziny wraku mojego samochodu. Ponoć zostawił dwadzieścia sześć kart z pokemonami w schowku. Odmówiłam stanowczo i moje notowania znacznie spadły.

Byłam w kiepskim humorze. Ciężko usiadłam na podłodze ze słuchawką w dłoni.

- Oczywiście. Moja matka była Francuzką.

- Coś takiego! - dziwił się głośno. - Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś miał tak na imię. Lucienne? I Aurora. Takie imię w ogóle istnieje?

- To rzymska bogini.

- Czyżby?

- To po łacinie „światło poranka”, „brzask”...

- Aha. No tak. Jak *aurora borealis*, zorza polarna.

- No właśnie. Joe, czy te pytania mają jakiś związek z...

- Pewnie! - Szelest papierów w tle. - Załatwiam sprawę tego ubezpieczenia.

Zerknęłam na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- O tej porze?

- Oczywiście. A niby kiedy mam się tym zająć?

- Ale co ma do tego moje ubezpieczenie? - zdziwiłam się. - W wypożyczalni mają moje dane.

- Owszem. Ale postanowiłem, że umieszczę cię w mojej polisie.

- Dlaczego?

Gdyby Joe był w posiadaniu przenośnej wyrzutni raketowej, w tej chwili w moją stronę mknąłby zabójczy pocisk, tego byłam pewna.

- Bo mam pomysł.

Pomysł.

- O Boże.

- Owszem. Doskonały pomysł. Zmienimy ci zawód. Na pewien czas zostaniesz moim szoferem. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Nie, nie szoferem, szoferką. Czy jak tam to nazwać. Nieważne, najważniejsze, żeby załatwić sprawę z twoim samochodem.

- Jak?

- Dziś jest twój szczęśliwy dzień, Lucienne **Auroro**. Pozwolę ci prowadzić mój samochód.

To wszystko przez moją siostrę.

Moja siostra prowadzi ożywione życie towarzyskie. Ma mnóstwo przyjaciół i znajomych. Ma także, między innymi, przyjaciółkę imieniem Julia, która z kolei przyjaźni się z niejaką Lily, która jest Francuzką i kiedyś pracowała u niej jako opiekunka do dziecka. Rzeczona Lily, z powodów, których nie jestem w stanie pojąć, została w Cardiff, zamiast wrócić do słonecznego, pięknego Bordeaux. Wyszła za Malcolma, nauczyciela stolarstwa. Lada dzień przyjdzie na świat ich drugie dziecko. I dlatego Lily jest na urlopie macierzyńskim. I dlatego JDL, firma, której jednym z ważniejszych klientów jest sieć francuskich hoteli, gorączkowo szukała asystentki z biegłą znajomością francuskiego, póki Lily nie wróci do pracy. I dlatego jestem ja. Dlatego *moi*. Bo ja też znam francuski.

I doskonale przeklinam w tym języku.

- *Merde!* - wrzasnęłam. - Nie wsiądę do jaguara!

- A niby dlaczego? - zdziwił się Joe.

- Bo nie. To kretyński pomysł!

- Ale dlaczego kretyński?

- Bo... no, bo tak. Bo nie chcę. Po pierwsze, jest za duży. Bo się nie zmieści do mojego garażu. Bo czułabym się idiotycznie w jaguarze. Bo to symbol... och, sama nie wiem. Bo to samochód w twoim tyłu. A nie w moim. Bo... bo czułabym się... naciągana.

- Naciągana?

- Tak, właśnie tak. To...

Chichot w słuchawce.

- To tylko głupi samochód, Lu.

- Już to przerabialiśmy - warknęłam.

- No właśnie. A ty gadasz i gadasz, założę się, że po prostu się boisz.

Niemal widziałam jego uśmiech pełen wyższości.

- Co?

- Nie ma czego.

- Nie boję się. Po prostu nie uśmiecha mi się myśl...

Parsknięcie.

- Owszem, boisz się. Chociaż, jak już powiedziałem, nie ma czego. Ten samochód właściwie jeździ sam.

- Więc niech sam cię wozi.

Cmoknięcie.

- Ależ z ciebie głuptas. Posłuchaj, czy nie wydaje ci się, że to najrozsądniejsze rozwiązanie naszego problemu?

- Naszego problemu? O nie! To jest twój problem! Ja mam ręce całe i zdrowe.

- I zatrudnione - wpadł mi w słowo. - I dlatego twoje ręce będą kierowały moim samochodem. Poza tym, będę cię miał pod ręką.

- Pod ręką? Co to niby ma znaczyć?

- Pod ręką do tłumaczenia, ma się rozumieć. Gdyby zaszła taka potrzeba. No dobra - zakończył. - Teraz się upiję, a potem spróbuję zasnąć, więc dobranoc.

- Możesz pić, kiedy zażywasz leki przeciwbólowe?

- Racja. Więcej ich nie wezmę.

Środa, 25 kwietnia

Czy to wszystko mi się tylko śniło?

Dzyń! Dzyń!

Śniło mi się czy nie?

Dzyń! Dzyń!

Więc jak?

Dzyyyń!

I nagle sobie przypomniałam. Nie, nie śniło mi się.

A może tak? Może nadal śnię? Może śni mi się taki długometrażowy koszmar, który się ciągnie przez całą noc? Samochodożerne potwory opanowały świat... Może ten dźwięk to zgrzyt miażdżonej karoserii, a łupanie w skroniach to odgłos pękających opon... Albo coś w tym stylu. Błagam, niech się okaże, że śnię. Niech się okaże, że mój samochodzik grzecznie czeka przed domem. Sięgam po słuchawkę i usiłuję przytknąć ją do ucha. Ponieważ jednak jestem leworęczna, i co za tym idzie, niezdolna dotknąć sznura telefonu, nie skręcając go w krótki, zbity pejcz, oprócz słuchawki ściągam także inne rzeczy ze stolika nocnego: cały telefon, listek ibuprofenu, ostatnią powieść Joanny Trollope oraz (o cholera!) pół szklanki soku żurawinowego.

- Świetnie - odzywa się Joe. - Nie śpisz już. To dobrze. Słuchaj uważnie. Oddasz micrę do wypożyczalni, złapiesz taksówkę i przyjedziesz po mnie. Potem razem odbierzemy jaguara i pojedziemy do pracy.

Nie, nie, nie, nie. Wcale jeszcze nie wstałam.

- Masz pojęcie, która jest godzina? - chrypię w słuchawkę.

- Owszem - odpowiada dziarsko. - Ósma siedemnaście.

Cholera.

Ósma czterdzieści sześć.

Cholerne pokemony! Zamorduję tego tłuszciocha Pikaczu własnymi rękami.

- Ale mamo, musisz!

- Już ci mówiłam, nie mogę!

- Ale jeśli tam nie pojedziesz, ktoś je ukradnie.

- Na pewno nie.

- A właśnie że tak. Mamo, nic nie rozumiesz. Miałem tam bardzo rzadkie brytyjskie karty! Poza tym obiecałem Owenowi Daviesowi, że się z nim zamienię! Mamo, musisz tani pojechać.

- Leo, dzisiaj nie pojedę do Swindon, jasne?

- Ale musisz!

- Wkładaj kurtkę.

- Mamo!

- I weź strój na wf.

- Mamo!

- Co to za plama na bluzie? Podejdź tutaj. Posłuchaj mnie, Leo. Zadzwoń na policję i poproszę, żeby sprawdzili. No, dobra. Nie zapomnij drugiego śniadania. A jeśli znajdą karty, poproszę, żeby nam przesłali... - Ale to strasznie długo potrwa!

- Nieprawda.

- Właśnie że tak.

- Nie.

- No, dobra. Ale za to kup mi nowy zestaw kart.

- Słucham?

- Kosztuje tylko siedem czterdzieści dziewięć. Jest w Smith i jeszcze w tym sklepie w Llanishen. Ale musisz załatwić to dzisiaj, bo Liam mówił, że jego mama też się wybiera, a Richard twierdzi, że został już tylko jeden zestaw. Więc pojedziesz prosto ze szkoły. Prosto, dobrze?

- Siedem czterdzieści dziewięć? Leo, nawet się nie łudź, że...

- O raju, mamo, policja? Naprawdę? Przywiozą moje karty radiowozem? O raju...

Odebrałam Simeona od Del, zawiozłam chłopców do szkoły, przejechałam przez całe

Cardiff do wypożyczalni, pozbyłam się micry, czekałam na taksówkę, która zawiezie mnie do domu Joego, pojechałam do wyżej wymienionego (mieszka w potężnym gmaszysku, niby - tudor, z krzakami magnolii itp.), czekałam, aż Joe zakończy dziwny układ akrobatyczny z użyciem faksu, komputera i kanapki z bekonem, pojechałam razem z nim taksówką na drugi koniec Cardiff, po drodze grzebałam w jego kieszeni, do czego normalnie nie miałabym żadnego prawa, żeby odnaleźć jego portfel, aż przyjechaliśmy do ekskluzywnego mechanika, skąd odebraliśmy jego jaguara. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Chrzanię taką pracę.

Rozcięcie na policzku zbladło przez noc i nie wyglądało już tak strasznie, ale nadawało mu groźny, agresywny wygląd. W każdym razie wywarło należyte wrażenie na recepcjonistce, gdy Joe zakwestionował dwa punkty na rachunku.

Po załatwieniu sprawy (czyli usunięciu rzeczonych punktów z rachunku) pokonaliśmy drogę do wyjścia po miękkiej, puszystej wykładzinie (czego innego spodziewać się w serwisie jaguara?) - i znaleźliśmy się w zwykłym szarym świetle. Samochód Joego, co natychmiast zauważyłam, już na nas czekał. Lśnił czystością w bladym słońcu.

Wyszliśmy przez szerokie drzwi. Joe wyjął kluczyk z kieszeni i skierował w stronę samochodu. Breloczek zapiszczał. Samochód odpowiedział. Podeszliśmy bliżej (tablica rejestracyjna głosiła: JDL 3). Obeszliśmy potężne czarne cielsko. Jezu, jaki on duży. Joe otworzył drzwi od strony pasażera. Ustąpiły z cichym sykiem pneumatycznego zamka. Ja też złapałam za klamkę. Pociągnęłam. Nic z tego. Joe szepnął:

- Mocniej. Pociągnęłam mocniej. Na nic.

- Mocniej - powtórzył.

Więc szarpnęłam mocniej. Klamka ustąpiła z sykiem rozczarowania. Wsiadłam. Poczulałam zapach skóry. Zapadłam się w fotel. I odkryłam, że moje oczy są na poziomie tablicy rozdzielczej, natomiast stopy dzieli od pedałów dobre dwadzieścia centymetrów.

Przez kolejne kilka minut ustawialiśmy fotel, jako że ja za żadne skarby nie chciałam dostosować się do samochodu i nagle urosnąć do stu osiemdziesięciu paru centymetrów. To była skomplikowana operacja: musiałam ustawić wysokość fotela, wysokość oparcia, kąt nachylenia oparcia, pozycję kierownicy i bocznych lusterek. Niewykluczone, że wzięliśmy także pod uwagę koniunkcję Saturna i Urana, a być może uwzględniliśmy też Wielką Niedźwiedzicę i pas Oriona. Zabrakło natomiast, choć okazałby się bardzo przydatny, barku dla kierowcy z ginem i tonikiem oraz automatycznej wycieraczki do zroszonego potem czoła. Boże, tyle opcji. I tyle już zrobiliśmy, a jeszcze nawet nie jedziemy.

Ale to się wkrótce zmieniło. Joe poczekał, zdaje się, aż cały personel serwisu wyjdzie na dwór na papierosa, po czym wręczył mi kluczyki i radośnie zasugerował, że chyba czas na

nas.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i bestia ożyła. Wydała niski, gardłowy pomruk. Zwolniłam hamulec ręczny i nacisnęłam pedał gazu. Zaryczał głośniejsze. I nic. Nic a nic.

- Jezus Maria! Ty naprawdę nie umiesz jeździć!

Nie słyszałam już silnika, ale wiedziałam, że nie można zajechać silnika z automatyczną skrzynią biegów. Więc jeśli ten zdechł, to jego wina. Powiedziałam to głośno.

- Nie - poprawił mnie Joe słodziutko. - Z silnikiem wszystko w porządku. Tylko samochód nigdzie nie pojedzie, póki nie wyłączysz opcji „parkuj”. Widzisz? - machnął zdrową ręką. - „Jazda”. Wciśnij to i zobaczysz, co się stanie.

- Nie jestem taka głupia - warknęłam. - Słuchaj, po raz pierwszy i ostatni robisz uwagi na temat mojej jazdy, rozumiemy się? Umiem jeździć, jasne? Mam prawo jazdy! I poradzę sobie z twoim głupim samochodem!

- Świetnie - spokojnie skinął głową. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Zanim wyruszyliśmy w drogę, pojawił się następny jaguar. Jego właściciel, niski gruby facet w różowym krawacie, zaparkował na ostatnim skrawku podwórza, na którym jeszcze nie stały samochody po pięćdziesiąt tysięcy funtów. Teraz miałam dwa wyjścia. Albo wyjechać tyłem na ulicę i zginać, albo wykręcić tutaj i zginać, patrząc śmierci prosto w oczy.

Przy siódmej próbie obrotu (z serii, jak się później okazało, piętnastu) przemknęło mi przez głowę, że w gruncie rzeczy mam jeszcze jedno wyjście. Jeśli zechcę, mogę po prostu zatrzymać samochód, wysiąść, trzasnąć drzwiami i odejść. Ryzyko, że w przyszłości kiedykolwiek spotkam ludzi, którzy teraz są świadkami mego poniżenia, jest niewielkie. Tak jak nauczyciele odkrywają dobrobyt dopiero na emeryturze, tak artyści, jeśli nie liczyć kilku wyjątków, klepią biedę do samej śmierci. Zresztą, nawet gdybym pewnego dnia obudziła się nieprzyzwoicie bogata, i tak nie kupię sobie jaguara. A że stracę pracę? Trudno. Znajdę sobie coś innego. Będę dawała korepetycje z francuskiego rozpuszczonym nastolatkom. Albo, to mniej niebezpieczne, zostanę górnikiem w walijskich kopalniach. I oskarżę Joego o znęcanie się psychiczne czy coś takiego. Tak, zrobię to.

Kiedy już wszystko dokładnie przemyślałam (tak koło jedenastej próby, o ile dobrze pamiętam), co innego przyszło mi do głowy; jeśli teraz wysiądę, do końca życia będzie mnie dręczyła świadomość, że gdzieś tu, nie tak daleko mojego domu w Cefn Melin, stanę się, ilekroć rozmowa zejdzie na ten temat, pośmiewiskiem mężczyzn. I kolejną bohaterką męskich anegdot o kobiecej ignorancji w kwestii prowadzenia samochodu.

O nie, na to nie pozwolę.

I tak, nie zważając na coraz bardziej nerwowe rady Joego, w końcu zawróciłam i

wyjechałam na jezdnię. Trzeba mu przy - znać, że przez jakieś dziesięć metrów milczał. A kiedy się w końcu odezwał, wyznał udręczonym szeptem:

- Obawiam się, Lu, że jestem niezdolnym pasażerem więc jeśli masz zamiar dalej tak jechać, nie musisz się obawiać moich komentarzy, bo nie będę w stanie się wypowiedzieć.

A potem odrzucił głowę do tyłu (i tak siedział dobre pół metra za mną, więc miałam wrażenie, że jest na tylnym siedzeniu) i ryknął śmiechem. Śmiał się głośno i serdecznie, przyciskając zdrowe ramię do boku. I pewnie wysiadłabym bez względu na wszystko, gdyby nagle nie przełknął głośno śliny i nie jęknął:

- Jezu! Moje żebro! - zgiął się wpół, pobladł i zacisnął zęby. I dobrze mu tak. Cha, cha, cha.

Przez całe dziesięć minut jechaliśmy w milczeniu.

Potem zapytał:

- Mogę zapalić?

Jakimś cudem dotarliśmy do centrum Cardiff. Mówię: jakimś cudem, bo nie wydaje mi się, bym miała z tym cokolwiek wspólnego. Tylko troszeczkę ruszałam kierownicą, samochód, cóż, samochód jechał sam. Poza tym nie miałam kiedy zajmować się jazdą, bo przez cały czas się kłóciliśmy. A wszystko dlatego, że nie pozwalałam mu zapalić.

- Słuchaj - jęczał - otworzyłem okno.

- To niczego nie zmienia.

- Jak to nie? Dym wyleci na zewnątrz.

- Nieprawda. Pęd powietrza wepchnie go z powrotem.

- O Jezu, to włącz klimatyzację. - Zaczął szukać zapalniczki.

- Joe, pewnie uznasz, że przesadzam - powiedziałam spokojnie - ale nie znoszę, kiedy ktoś pali w moim samochodzie...

- Ale to mój samochód.

- ...bo od dymu robi mi się niedobrze.

- A mnie już teraz jest niedobrze.

- Więc papieros ci nie pomoże.

- A właśnie że tak.

- Na pewno nie. Poczujesz się jeszcze gorzej.

- Słuchaj, i bez tego czuję się fatalnie. Nie musisz mi mówić, jak się poczuje.

- Nie mam zamiaru. Chodzi mi tylko o to, że jeśli naprawdę mam cię wozić, muszę postawić sprawę jasno. Nie zniosę dymu tytoniowego w samochodzie. I tyle.

- Hm.

- Słucham? No, jasne?

Ponieważ miejsc parkingowych jest w centrum Cardiff tyle co na lekarstwo, Joe dobił targu z sąsiednim biurem rachunkowym i korzysta z ich wolnego miejsca. Problem w tym, że ten parking jest na tyłach wiktoriańskiego budynku, w ciasnej uliczce wyłożonej kocimi łbami. Może to dobra nawierzchnia dla bryczek i dorożek, natomiast dla człowieka zmotoryzowanego oznacza naderwane rury wydechowe i porysowane zderzaki. Chociaż nie zauważyłam, żeby to komukolwiek przeszkadzało. Oprócz biura rachunkowego mieści się tu także zakład tapicerski, firma montująca ekskluzywne kominki i antykwariat. Jak się można domyślić, na uroczej ciasnej uliczce panuje wieczny ruch i jeżdżą miliony samochodów. Wiem to wszystko, bo jedziemy nią w ślimaczym tempie. A jakby tego było mało, miejsce Joego jest na samym końcu. I jest przerażająco wąskie.

Węższe niż samochód. Na pewno. Jakim cudem, pytam się, jakim cudem mam tam wjechać? Na co mi tyle nerwów? No na co, pytam?

Wciągam głęboko powietrze i uśmiecham się fałszywie.

- Więc to tu.

- Tak jest. Właśnie tu. Musisz wjechać tyłem.

O Boże. O mój Boże.

- Och, a nie mogę przodem? - rzucam lekko.

Kręci głową.

- Nie. Widzisz tego fiata?

Wskazuje go palcem.

- Och. - No i po co mi tyle nerwów? - Jesteś pewien?

- Na sto procent, Lu. Jeśli spróbujesz przodem, otrzymasz zderzaki. Chyba że zaczniesz się cofać i równać, a wtedy już na pewno walniesz fiata.

Spogląda na mnie z wyższością i czeka.

- No dobrze - mruczę. - Hm. A niby jak mam wjechać tyłem? Jak mam się tu odwrócić?

- To proste. Wjedziesz o, tam.

Wskazuje kierunek. Wrr.

- Tam? Naprzeciwko? Ale tam już jest samochód!

- No, tak - przyznaje. - Ale mały, a jeśli podjedziesz bliźutko, przekonasz się, że dasz radę wykręcić.

Po co mi tyle nerwów? Głęboki oddech. Bardzo głęboki oddech. Zaciskam dłoń na

kierownicy, żeby nie widział, jak drżą.

- Mam wjechać tam?

- Tak jest. No, dawaj.

Naciskam pedał gazu. Samochód rusza do przodu.

- Tak?

- Prawie. Lu, jeszcze dalej. O, tak.

Hamuję.

- Już?

- Nie, co ty. Nie bój się, Lu. Przed tobą jeszcze metry wolnej przestrzeni, całe metry.

O tak, o tak... stop! Jezu.

- Nie musisz wrzeszczeć, i tak bym zatrzymała.

Przejechał włosy palcami.

- No dobra. A teraz wjeżdżamy tyłem. Tyłem. - Ruszam. - O tak. Uważaj na zderzaki.

Ślicznie. Nie, nie! Nie, nie, nie. Musisz wyjechać i wyrównać...

- Widzę sama, wielkie dzięki.

- No dobrze, dobrze... Jezu! Uważaj na zderzak, dobrze? Boże! Pamiętaj, że masz...

- Wiem, co mam, nie musisz mi przypominać.

- No, dobra. Wjeżdżamy jeszcze raz. Ostrożnie. Ostrożnie, Lu. O tak. Kosze na śmieci, pamiętaj, masz z tyłu kosz na śmieci. Zwolnij, Lu! Jezu! Wolniej...

- Na Boga, przestań marudzić. Widziałam te kosze, jasne?

- Ale masz tylko...

- Mam metry, zapomniałeś? Całe metry.

I nagle jakaś nić porozumienia. Jakby delikatny pocałunek. Joe na pewno tego nie wyczuł, nie zauważył.

- Proszę! - krzyczę głośno. - Chyba dobrze, co? Bułka z masłem.

Patrzę na niego. Jest blady i milczący.

- Głowa do góry - pocieszam. - Jak ci się jechało?

Przemierzyliśmy już z połowę Queen Street i Joe wreszcie zaszczyca mnie rozmową

- I tak miałem rzucić palenie - mruczy.

W biurze Iona wita go szerokim uśmiechem:

- Jak to miło. Jak to miło - przesuwa sobie okulary na czubek głowy i całuje go w zdrowy policzek. Spogląda na mnie: - Twardziel z naszego Joego, co? Zawsze powtarzam, że lepiej polec w walce, niż od razu się poddać. Za to mój Dai - ty, Lu, zdaje się jeszcze go nie

znasz? Mój Dai to mięczak. Ponad dwie paczki, dzień w dzień. Te papierosy w końcu go zabijają. No, kochani - nagle wróciła na ziemię. - Właśnie zaparzyłam kawę i przyniosłam ciastka.

Joe przewraca oczami i idzie do swojego gabinetu.

I dobrze, tam jego miejsce. Twardziel, też mi.

Wiesz, moim zdaniem kompletnie ci odbiło. Przecież to jak W spełnienie marzeń. Niby dlaczego wolisz tkwić w biurze, zamiast rozbijać się jaguarem? Szczęściara z ciebie! Zazdroszczę ci, naprawdę!

Kiedy skończyłam pracę, wydobyłam samochód z wąskiego gardła w zaułku (dosadnie tłumacząc Joemu, że przy prędkości kilometra na godzinę szkody wynikłe z bliskiego spotkania zderzaka i kosza na śmieci są zauważalne najwyżej na poziomie molekularnym), zawiozłam Joego do domu, pojechałam do Del i doszłam do wniosku, że nie dla mnie kariera za kierownicą. Co prawda praca szofera okazała się nieco mniej nudna niż tłumaczenie na francuski opisów term grzewczych, ale uznałam, że po pierwsze, na Wyspach Brytyjskich nie ma miejsca na samochody wielkości pałacu Buckingham, po drugie, umieszczanie mnie i pana Delaneya w ciasnej przestrzeni na dłuższy czas niewątpliwie zakończy się śmiercią tego ostatniego.

Del, kochana, słodka Del widziała w moim nowym zajęciu spełnienie marzeń. Ja tam widziałam jedynie korki na ulicach i nieprzyzwoicie wąskie miejsca parkingowe.

Czule pogłaskała samochód dłonią w gumowej rękawiczce. Guma zapiszczała nieprzyjemnie na karoserii.

- Ale nazwał mnie zrzędą. Słyszysz? - zrzędą!

Nie wiadomo dlaczego wybuchnęła śmiechem, aż się za brzuch złapała. Jezu, dlaczego dzisiaj wszyscy się ze mnie śmieją?

- Bo nią jesteś, kochana. Potrafisz nieźle dopiec. A kiedy ci to powiedział?

- Nie wiem, to znaczy, nie powiedział tego do mnie. Chyba dlatego, że nie pozwalałam mu palić w samochodzie. Mruknął pod nosem: „Jezu! Ale zrzęda”. Gryzło mnie to od rana.

Del zdjęła rękawiczkę i starła plamkę z maski, a potem wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do domu. W kuchni unosiły się smakowite zapachy. Simeon i Leo bawili się w ogrodzie, radośnie okładając się patykami.

- Nie przesadzaj - skarciła mnie, powiesiła ścierkę na poręczu i dopiero wtedy zdjęła drugą gumową rękawiczkę. - Biedak miał okropny wypadek. Pewnie nadal jest w szoku. Na pewno nie chciał cię urazić. Nie, proszę, nie patrz na mnie w ten sposób. Sama wiesz, jaka jesteś.

- Ale...

- Już, zmienmy temat. Są gorsze wyzwiska. Poza tym mam wspaniałe nowiny.

Najpierw muszę powiedzieć wam coś więcej o mojej siostrze. To wariatka. Nie

wariatka w sensie klinicznym, ma się rozumieć, ale często stanowi bardzo wyczerpujące towarzystwo. Na szczęście wystarczyło jej rozumu, by wyjść za mąż za faceta spokojnego, rozsądnego i w miarę zrównoważonego. Chociaż muszę tu przyznać, że Ben, lekarz z zawodu, od dziewięciu lat co miesiąc odwiedza psychologa, niejaką panią MacDougall. Zresztą to żadna tajemnica, Ben zawsze wyraża się o niej z nabożną czcią. Zaczęło się dziewięć lat temu, kiedy narodziny Simeona (przed terminem i z komplikacjami) zbiegły się z egzaminem Bena na specjalizację. Egzamin oblał, musiał do niego podchodzić ponownie, i od tego czasu... o Jezu! Stres przedegzaminacyjny! Ratunku! I tak dalej. Klasyczny przypadek. W każdym razie od tego się zaczęło. Teraz chyba traktuje panią MacDougall jak środek antystresowy. Szkoda, że jej nie znam.

- Słucham? - zainteresowałam się.

- Udało się! Dostałyśmy się! - oznajmiła radośnie.

- Dostałyśmy się? Dokąd?

- No, to jeszcze nie jest pewne na sto procent, ale prawie. Wierzę, że nam się uda!

Hura! Super!

Usiadłam na taborecie. Na stole piętrzyły się jeszcze ciepłe ciasteczka, z pieca dochodził zapach czegoś smakowitego i zapewne zdrowego. A ja jestem zrzęda.

- Dokąd się dostałyśmy? - powtórzyłam.

Del pokręciła głową.

- O rany, do *Kto was tak urządził?! Spójrz!* Dostałam list!

Spojrzałam. Dostrzegłam zamaszyste logo stacji telewizyjnej. O Boże. No tak. Jezus Maria.

- Chyba uznałyśmy, że jednak damy sobie spokój?

Del usiadła koło mnie, wbiła zęby w ciasteczko i powoli pokręciła głową.

- Nie. Uznałyśmy, że pewnie i tak nas nie wybiorą, ale zawsze można spróbować. Nie pamiętasz?

Pamiętałam coś zupełnie innego, ale sprzeciw i tak nie miał teraz sensu.

- Przecież to było rok temu.

- No właśnie! Fantastyczna niespodzianka, prawda? Spójrz. - Wyrwała mi list z ręki. - Ktoś się wycofał, a jak wiesz, od dawna byliśmy na liście rezerwowej. - Nie miałam o tym zielonego pojęcia, co chyba umknęło jej uwadze. - Musimy do nich zadzwonić, potwierdzić udział w programie i umówić się, kiedy mają tu przyjechać i wszystko obejrzyć. Wiem, to wszystko dzieje się tak nagle, ale nadal w to wchodzisz, prawda?

- Och, Del, sama nie wiem. Masz rację, to rzeczywiście strasznie nagle... o rany! Nie

możemy! Przecież tam muszą być pary! Cztery osoby! A Marka już nie ma.

Przez znaczną część ubiegłego roku spotykałam się z Markiem. Uczył w tej samej szkole co ja, był uprzejmy, czuły, pogodny. Niestety, jak było do przewidzenia, po śmierci mojego ojca nasz związek szybko się rozpadł. Nagle okazało się, że nasze plany życiowe (ja: zmiana zawodu, kreatywność, nirwana, realizowanie młodzieńczych marzeń i tak dalej, Mark: urlop pod namiotem w Bretanii i renault espace) różnią się całkowicie.

Już zaczęłam dostrzegać pewne korzyści z faktu, że jestem singlem, dzięki temu nie wystąpimy w telewizji, ale niestety moja radość nie trwała długo.

- Nie. - Del cedziła słowa, jakby cały czas intensywnie myślała. - Marka już nie ma, ale jest Stefan.

- Stefan! - Dobrze, że akurat nie jadłam ciastka, bo udławiłabym się, jak amen w pacierzu. - Stefan! Del, żartujesz sobie. O nie.

- Phi! - prychnęła. - O co ci chodzi? Nie będzie miał nic przeciwko temu. W końcu wyklada sztukę, prawda?

Nawet nie próbowałam wnikać, co ma jedno do drugiego. ' Spróbowałam za to wyobrazić sobie moją rozmowę ze Stefanem:

- Stefan, zdaję sobie sprawę, że spotykamy się dopiero od niedawna, ale czy zgodziłbyś się udawać, przed, bagatelka, piętnastoma milionami telewidzów, że mieszkamy razem? Widzisz, chodzi o to, żeby moja siostra mogła wyżyć się artystycznie w moim saloniku, a ja w tym czasie pomaluję jej sypialnię.

Odpowiedź przecząca wydawała mi się przerażająco prawdopodobna.

- Stefan o niczym się nie dowie. Nawet go nie zapytam.

- Och, Lu, daj spokój. Będzie fajnie.

- Wcale nie. To będzie koniec dobrze zapowiadającego się związku. Uciekałby gdzie pieprz rośnie. Nie. Przykro mi, Del, ale nie.

Wstała i założyła rękawicę kuchenną. Zły znak. Wyraźnie zbierała siły przed nowym atakiem.

- Słuchaj - ciągnęłam - ja nie mówię, że nie chcę wziąć udziału w tym programie. - Nie o to chodzi; ten pomysł podobał mi się znacznie mniej niż wtedy, a przecież nawet wtedy, rok temu, nie skakałam z radości. - Wiem po prostu, jak to będzie wyglądało. Po pierwsze uzna, że to głupie, po drugie pomyśli, że chcę go usidlić. Uwięzić. Zamknąć w klatce. Rozumiesz? I tak nie jest łatwo, zwłaszcza że... - chciałam powiedzieć: zwłaszcza że mam Leo, ale te słowa utkwiły mi w gardle. Nie będę szła przez życie, wstydząc się mojego syna. Zaczęłam jeszcze raz: - Chodzi o to, że jesteśmy ostrożni, dajemy sobie dużo czasu i...

- I to błąd. - Del wpadła mi w słowo. - Źle postępujesz. - Pogroziła mi rękawicą. Otworzyła drzwiczki piecyka i jej okulary zaszczyły parą.

- O co ci chodzi?

- O przesadną ostrożność. - Skrzywiła się, wycierając szkła.

- Chciałam powiedzieć, że...

- Wiem doskonale, co chciałaś powiedzieć - nie dała mi dokończyć. - Zawsze tak postępujesz z facetami. Ledwie na horyzoncie pojawi się ktoś, kto ci się podoba, tracisz głowę i stajesz się bezwolną idiotką. Więcej asertywności. Rób to, co chcesz, to, na co ty masz ochotę. Bądź, jaka chcesz. Jeśli chcesz, bądź zrzędą. Dzisiaj z szefem poszło ci całkiem, całkiem.

- Niezłe posunięcie, Del. Zmasowany atak. I to skuteczny.

Uśmiechnęła się, ale zorientowała się po mojej minie, że dzisiaj niewiele wskóra.

- Wielkie dzięki.

- Zrozum, namawiasz mnie, żebym poprosiła faceta, którego prawie nie znam, żeby się ze mną bawił w dom. Tu nie chodzi o dyskusję, kto zapłaci za kolację!

Zatrzasnęła piecyk.

- Wiem. Ale posłuchaj, Lu. Umówiłaś się z nim na dzisiaj, prawda? Nie możesz go przynajmniej zapytać?

- Nie! A ty nie możesz sobie znaleźć kogoś innego? Przecież któraś z twoich przyjaciółek na pewno się zgodzi! - Nie byłam o tym przekonana. O ile wiem, zaproponowała mi to właśnie dlatego, że nikt z jej znajomych nie wpakowałby się w taki pasztet.

Przeczący ruch głową.

- Julia miała nawet ochotę, ale Richard się kategorycznie nie zgadza. Zresztą jest teraz w Niemczech, a Julia ciągle wyjeżdża na zlecenia, więc nawet jej nie pytałam. Ale mam inny pomysł: może namówimy matkę Bena, żeby przyjechała? Uda, że mieszka z tobą. To się musi udać! Tylko że...

- Daj spokój, Del! Ona ma osiemdziesiąt lat!

Uśmiechnęła się.

- No właśnie. Sama widzisz. Nie ma innego wyjścia, tylko ty i Stefan. Zgódź się, proszę. A przynajmniej go zapytaj. Dobrze?

- Zastanowię się.

Wcisnęła mi list do ręki.

- Obiecujesz?

Co za dzień.

Jestem zrzęda. Wredną zrzęda. I chyba nawet tak się czuję.

W domu dzwoni telefon. To opiekunka Leo, Emma, z wiadomością, że dzisiaj nie może przyjść. Świetnie. Jako że matką Emmy jest wspomniana wcześniej Julia, kusi mnie, żeby poprosić ją do telefonu i zaproponować okrągłą sumkę za udział w tym cholernym programie. Ale i tak nic by z tego nie wyszło. A Emma nie przyjdzie, bo musi się zająć młodszym bratem. Matka wychodzi. Szczęściara.

A ja? Zrzęda. Wredna zrzęda. Bez faceta.

No, przynajmniej to ostatnie okazało się niezgodne z prawdą. Zadzwoiłam do Stefana, żeby odwołać randkę, bo nie mogę wyjść z domu, na co on uprzejmie zaproponował, że przyjedzie do mnie. To dobrze, chociaż nie za bardzo. Dobrze, bo się zobaczymy. Nie za bardzo, bo najbliższe kilka godzin, które zamierzałam poświęcić na renowację skóry i kąpiele w aromatycznych ziołach, zajmie mi sprzątanie. Że już nie wspomnę o konieczności przekupstwa; może dzięki temu Leo pójdzie spać na tyle wcześniej, żebyśmy mieli spokój.

Ale Stefan mi to wynagrodzi, jestem przekonana.

- Przykro mi, że musiałeś jechać taki kawał - zaczynam, gdy widzę go na progu.

- Nie ma sprawy. - Uśmiecha się i w niebieskich oczach pojawiają się iskierki. - Nie ma sprawy. Może nawet tak będzie lepiej.

Stefan zdejmuje zabytkową skórzaną kurtkę i podaje mi butelkę wina. Przywiózł ze sobą blok rysunkowy w reklamówce. Ma rozpuszczone włosy, jest trochę zaczerwieniony. Cóż, z Canton do Cefn Melin jest spory kawał, na dodatek ciągle pod górę. Za to, pocieszam się, będzie miał łatwą drogę powrotną.

Uśmiecha się, jakby chcąc mi udowodnić, że stroma droga nie stanowi dla niego problemu, i idzie do saloniku.

Del oczywiście uważa mnie za szczęściarę. Wydaje się jej, że ponieważ mam więcej niż osiemnaście lat i mężczyźni nie uważają mnie za maskarona, nieustannie przeżywam dzikie przygody erotyczne, o których ona może najwyżej poczytać w gazetach.

A to wcale nie tak. Naprawdę. Po pierwsze, mam dziecko. Po drugie, właściwie rzadko kiedy poznaję kogoś nowego. A po trzecie, powoli ucę się żyć w stanie permanentnej frustracji seksualnej, która nieprzyjemnie przybiera na sile, ilekroć w moim życiu pojawia się ktoś nowy. Nie, nie było ich zbyt wielu. Słowo „dziecko” nie działa bynajmniej jak afrodyzjak. Choć Leo dawno wyrósł już z pieluch, moje życie nadal kręci się wokół niego.

Nigdy sobie nie radziłam z facetami, właściwie nie wiem dlaczego. Po prostu zawsze wszystko psuję.

Zresztą dosyć tego. Zaraz zacznę sobie wmawiać, że jestem do niczego. A to nieprawda. Po prostu chodzi o to, że związki jakoś za szybko się kończą.

W każdym razie sytuacja wygląda następująco: oto ja w połowie drogi do siedemdziesiątki tracę głowę, bo w moim domu jest mężczyzna. W co się ubrać? Co powiedzieć, do czego zmierzać, a nawet, wstyd się przyznać, czy zapalić to cholerne światło czy nie? Boże, czemu nie jesteśmy u niego? Tutaj nie mogę się rozluźnić. Jestem spięta, niespokojna. I czuję się taka... obnażona.

Tracę głowę, koniec kropka. Del ma rację, zgłupiałam do reszty. Ledwie na niego spojrzę, nogi się pode mną uginają. Zakłada złoty kosmyk za ucho i rozgląda się po pokoju. Patrzy na kanapę zarzuconą poduszkami, paterę z owocami i miseczki z pot - pourri.

Coś go rozbawiło.

- O rany - rozwała się na mojej kanapie. - Lu, sprzątasz zawodowo czy to twoja obsesja?

Czuję się okropnie. Ale fakt, na jego miejscu poczułabym się podobnie w moim saloniku. Nie tylko dlatego, że jest zabójczo przystojny, przede wszystkim dlatego, że ma artystyczną, hedonistyczną duszę, gwasz na spodniach i farbę olejną we włosach. Ściągam gumkę z włosów i udaję, że też taka jestem.

- Wina? - pytam. Stefan delikatnie dotyka jabłek.

- Nie, dziękuję - słyszę w odpowiedzi. - Wino jest dla ciebie, ja poproszę wodę. Masz niegazowaną?

Skądże, nie mam żadnej.

- Na pewno - ćwierkam radośnie. - Zaraz przyniosę.

Chociaż nie miałam najmniejszego zamiaru rozmawiać z nim o programie, temat wypłynął sam. Stefan idzie za mną do kuchni. Udaję, że szukam nerwowo wody mineralnej po wszystkich szafkach, a kiedy odwracam się, żeby mu zakomunikować jej brak, widzę, jak opiera się o pralkę, czyta list od producenta i kiwa głową.

- Daty realizacji - czyta na głos. - A kto jest gwiazdą?

- Och, to nic takiego - zapewniam. - Moja siostra chce się dostać do programu *Kto was tak urządził?* - No proszę. Zadanie wykonane. Mniej więcej. Otwieram wino. - Wracamy do salonu?

- *Kto was tak urządził?* - Spogląda to na mnie, to na list. - Nie rozumiem.

- No wiesz - zaczynam i kątem oka dostrzegam skarpetki Leo, które najwyraźniej wypadły z kosza z brudną bielizną. Nerwowo wypycham Stefana na korytarz. - To taki program, w którym ludzie wzajemnie remontują sobie mieszkania. Na pewno to widziałeś.

Jest bardzo popularny.

Ściąga brwi. Może nie ma telewizora? Ale zaraz kiwa głową.

- A, już wiem - siada na kanapie. Kręci głową, jakby nie pojmował, że ludzie robią coś takiego dla rozrywki. - Jest tam ta dekoratorka... jak ona się nazywa? Z pasem na narzędzia wysadzonym brylancikami.

Wzruszam ramionami:

- Africa O'Brien?

- Nie, nie. To prezenterka, prawda? Nie, ta druga.

- Nie wiem. Nie oglądam zbyt często. Moja siostra to lubi, ja niespecjalnie. Nie za zimna woda?

Odkłada list na stolik i prostuje długie nogi.

- Usiądź przy mnie - prosi.

Siadam, oczywiście, bo nie jestem w stanie mu się oprzeć. Ale Stefan zaraz wstaje, idzie do przedpokoju i wraca ze szkicownikiem. Wyciąga z reklamówki garść ołówków i siada w fotelu.

- Chciałbym cię naszkicować - mówi, szukając czystej kartki.

- Och! - Odstawiam kieliszek na stolik. Trochę mi głupio. - Jeśli chcesz.

- Od dawna miałem na to ochotę. Masz cudowną twarz i ciało. Bardzo zmysłowe. Hm, bardzo kuszące. - Uważnie ogląda ołówek. - Oprzyj się, o tak, i połóż ramię na oparciu. Świetnie. Podciągnij prawe kolano. Dobrze, tak. A teraz obróć się lekko i pochyl, żeby piersi... Świetnie. I teraz się nie ruszaj. Super.

Nie przypominam sobie, by ktoś mnie rysował od czasów szkoły podstawowej, mieliśmy wtedy po czternaście lat i rysowaliśmy się wzajemnie w parach. Trafiła mi się jako partnerka dziewczyna, z którą walczyłyśmy o względy tego samego chłopaka. Z zemsty z przesadnym realizmem narysowała wszystkie moje pryszcze. Tak mnie to zdenerwowało, że jak tylko wróciłam do domu, zrobiłam z nimi porządek za pomocą igły z kompasu. Po tej operacji przez kilka tygodni wyglądałam jak po ospie.

Ale teraz to co innego. Nie minęło dziesięć minut, a Stefan jest już koło mnie na sofie i podaje mi prosty, ale jakże doskonały portret. Wszystko jak trzeba, garbek na nosie, włosy, ciężkie, faliste, spływają na jedno ramię. Uśmiech w oczach. Jestem prawie ładna.

- Och, Stefan, świetne! Mogę to zatrzymać?

Przyciska szkic do piersi.

- O nie. Nie oddaję moich prac. - Grozi mi ołówkiem. - Ty też tego nie rób.

- Nie robię. - Uśmiecham się. - Wszystkie są na strychu.

Rozgląda się dookoła.

- Więc tu nic nie ma?

- W domu? Broń Boże!

Szkicuje mnie jeszcze pięć razy, za każdym razem w innej pozie. O dziwo, cieszę się, że nigdzie nie poszliśmy. I nie posiadamy się z radości, że odrzucił moją pierwotną propozycję domowej kolacji. Tak jest o wiele lepiej. Czuję się jak zawodowa modelka. Stefan nadal odmawia mi choćby jednego szkicu, ale co tam.

- Za to nie odmówię ci - mówi, kiedy w końcu wraca do mnie na kanapę - samego siebie.

W innej sytuacji taka uwaga przyprawiłaby mnie o falę potu i palpitanę serca, ale teraz wydaje się jak najbardziej na miejscu. Stefan jest taki piękny, taki mądry, taki swobodny.

I mój, tak mi się przynajmniej wydaje. Odstawia wodę i przyciąga mnie do siebie.

- Jesteś bardzo opalona - mruczy. Dotyka mojej skóry między koszulką a dżinsami. Ma zimne palce - od szklanki.

- To dziedziczne, po mamie.

Obejmuje mnie w talii.

- Ciemna karnacja, ciemne włosy, a jednak taka jasna. Całuje mnie i lekko przegina do tyłu. O rany. Nie mogę złapać tchu. Jego dłonie wędrują na moje piersi. Oddycha coraz szybciej, chyba już rozpiął mi stanik.

Chcę coś powiedzieć, ale Stefan podnosi palec do ust. A potem zaczyna się rozbierać.

Zdjął koszulkę - ma pod nią podkoszulek. Dopiero kiedy rozpiął suwak dżinsów, oprzytomniałam, rozsądek zwyciężył nad namiętnością. Opieram się na łokciu.

- Stefan, chyba... chyba nie powinniśmy się rozbierać... - Przewracam oczami i wskazuję głową na schody.

- Ach tak - mruczy. - Racja. - Wraca do całowania mnie jego ręce wracają na moje piersi. Po chwili czuję podejrzaną machinację w okolicach podbrzusza. Zdaje się, że chodzi o suwak moich dżinsów. Odrywam się od jego ust.

- Stefan - szepczę. - Nie możemy. Nie tutaj.

Zamyka mi usta pocałunkiem.

- Więc gdzie? - pyta.

O Boże.

- Nigdzie. Nie teraz.

- Nie teraz? - Podnosi głowę. - Chyba żartujesz.

Mrugam nerwowo.

- Nie.

Przygląda mi się uważnie.

- Lu, ty mówisz poważnie.

I tak kończy się na filizance kawy. Stefan ma lekko wilgotne włosy, prawie tak samo jak na początku wizyty. Zaczyna się zbierać. Co prawda jest wcześniej, dopiero wpół do jedenastej, ale on ma daleko do domu. Nawet się cieszę, że sobie pójdzie. Zbyt duża pokusa. Zbyt wiele napięcia jak na jeden wieczór.

- Przepraszam - mówię. - Ale wiesz, jak to jest.

- Wiem - przyznaje, przyciąga mnie do siebie i całuje. - Ale nie ustąpię. Wiesz o tym, prawda, Lu? Masz jakieś plany na sobotę?

Kręcę przecząco głową.

- To dobrze. - Wkłada kurtkę. - Teraz masz.

Patrzę, jak podchodzi do roweru. Dawno nie byłam taka podniecona. Stefan mocuje szkieletnik na bagażniku, wsiada, włącza reflektor. Nagle odwraca się w moją stronę.

- Przypomniałem sobie! - woła. - Tia Slater.

- Słucham?

- *Kto was tak urządził?* Przypomniałem sobie. Tia Slater. Ta z pasem. Na razie.

Czwartak, 20 kwietnia

SMW.

- Słucham?

- SMW. Samotna Matka z Wyboru. Czytałam taki artykuł w „Timesie”, wycięłam go dla ciebie. Jesteś przedstawicielką nowego rodzaju - jak się z tym czujesz? Podobno coraz więcej kobiet świadomie decyduje się na samotne macierzyństwo. To niezły artykuł, na pewno ci się spodoba.

Przez okno widzę, jak wreszcie słońce odbija się w chromowanych powierzchniach samochodu przed domem, samochodu wartego chyba tyle co mój dom. Oczywiście przy obecnych cenach nieruchomości w Cardiff mogłabym sprzedać mój dom i kupić dwa podobne, ale i tak jaguar wygląda nie na miejscu na moim małym podjeździe. Jak ropucha na ścieżce. Los potrafi płatać niezłe figle.

- Del - poprawiam ją. - Nie jestem SMW. Chociaż, poczekaj, jestem SMW, ale tylko dlatego, że miałam do wyboru albo to, albo ŻUBS.

- ŻUBS?

- ŻUBS, no wiesz. Albo ŻBL.

- Co?

- Życie Bez Leo. Co wtedy nawet wchodziło w grę. - Wzdrygam się na samą myśl.

- No tak, ale co to jest ŻUBS?

- Życie U Boku Sukinsyna.

Parska śmiechem.

- Jesteś dzisiaj złośliwa. Dobra. Przejdźmy do rzeczy. *Kto was tak urządził?* - Niełatwo się z tego wymigam. - No, wal. Co powiedział kochaneczek?

Tłumaczę Del, że na razie badam grunt i że w sobotę zrobię, co w mojej mocy. Kochaneczek, też mi. Boże, długo jeszcze do soboty?

Dobrze chociaż, że rano nie muszę jechać po Joego. Super, jadę do pracy, nie słuchając jego złośliwych uwag, a jak zechcę, mogę sobie parkować i pół dnia. Joe pojechał taksówką, bo ma śniadanie służbowe o siódmej rano. Podobno ludzie interesu tak postępują. Kiedy wreszcie dotrę do pracy (po drodze zaliczając wizytę u Del, tradycyjną już awanturę o pokemony, mękę parkowania i spacer Queen Street), na moim biurku siedzi wielki różowy miś.

- Jaki śliczny - zachwyca się Iona, wchodząc z naręczem korespondencji. - Co prawda

to chłopczyk, ale chyba nic nie szkodzi.

Wnioskuje z tego, że Lily urodziła synka. Teraz rozumiem, dlaczego Emma nie mogła wczoraj zająć się Leo. Mąż Lily, o ile sobie przypominam, ma zakaz wstępu do sali porodowej, bo za pierwszym razem okazało się, że mniej więcej tyle z niego pożytku co z kanapek z mielonką, więc w najtrudniejszych chwilach zastąpiła go Julia.

- A ja myślałam, że to twój - odpowiadam, machinalnie głaszcząc miękkie pluszowe ucho. Usiłuję znaleźć numer telefonu policji w Swindon (cholerne pokemony!); może dzięki temu nie stanę się ofiarą matkobójstwa.

- To mój - odpowiada Joe. Jest tego dnia niepokojąco blady, a jego krawat i temblak tworzą interesującą kompozycję, Iona natychmiast poprawia niestaranny węzeł z taką swobodą że domyślam się, że gdyby było trzeba, wyprasowałaby mu spodnie.

- To znaczy nie mój. Poślij go do szpitala, dobrze? I dołącz bilecik, gdzieś tam powinien być.

- Nie ma sprawy - wtrąca się Iona. - W południe sama się przejdę do szpitala.

Iona wychodzi i dopiero wtedy dostrzegam karteczkę na moim biurku.

Zajmij się kwiatami, dobrze? I przy okazji wyślij też bukiet Jeannine Carver. Adres w moim terminarzu.

Pismo Joego jest takie jak on, wysokie i niezrozumiałe. Nie zawraca sobie głowy stawianiem poprzecznych kresek czy kropek, o nie. A jego podpis? Zajmuje chyba z połowę czeku. W terminarzu jest adres w Cyncoed. Poznaje go. Już kilka razy wysyłałam tam kwiaty.

Rzut oka do terminarza Joego wystarcza, bym oblała się zimnym potem; co prawda dzisiaj jest spokojny dzień, nie czeka mnie nic gorszego niż wyprawa do Ely, za to piątek... kosz - « marny dzień w samochodzie. Najpierw badanie w szpitalu (duży ruch, brak miejsca do parkowania i, o Jezu, piętrowy parking), spotkanie z ludźmi z Luxotel w hotelu Royal (mikroskopijny parking, zarozumiały parkingowy i idiotyczne klomby, o które łatwo zahaczyć), a na koniec wyjazd do Newport na inspekcję - to chyba mówi samo za siebie? Mam wrażenie, że dopiero co zrobiłam prawo jazdy.

Posyłam koszyk niebieskich kwiatów do Lily i Malcolma i wiązankę róż i ozdobnych gałązek do Jeannine. Nie wiem właściwie, kim jest, ale jej dom nazywa się Cedar Folly i jest w tak drogiej dzielnicy, że na pewno nie zachwyciłby jej koszyk zwykłych kwiatów.

- Kto to ta Jeannine? - pytam Ionę, gdy wchodzi z herbatą.

Puszcza do mnie oko i podnosi misia.

- Jeszcze nam tego nie zdradzono, moja droga. Jeszcze nie.

- Jego kochanka?

Uśmiecha się.

- Jeśli już, to jedna z.

Dzisiaj jednak Joe nie wybiera się na randkę - mam go wcześniej zawieźć do domu. W czwartki spotyka się z córeczką. Zazwyczaj sam odbiera ją z ekskluzywnej szkoły na przedmieściu Newport, ale dzisiaj, co tłumaczy mi podejrzenie jak na niego uprzejmym głosem, jego była żona przywiezie ją do niego. Skręcamy właśnie w Cyncoed Road, gdy zaczyna wrzeszczeć:

- Cholera! Cholera, cholera, cholera! Zatrzymaj się! Zawracaj !

Zjeżdżam na bok. To chyba normalne, gdy pasażer wpada w szal, prawda?

- O co ci chodzi?

Wali się pięścią w głowę.

- Cholera! Jezu! Nie, nie tu! Skręć w Bryn Gwyn Road! Pierwsza w prawo! Szybko!

Wracam na jezdnię i posłusznie skręcam w prawo. Joe nerwowo ogląda się do tyłu.

- Mam się zatrzymać?

- Tak. Dobrze. Ale jeszcze dalej, za latarnią, tu przed tym zielonym. Dobrze. Tak będzie bezpieczniej. A teraz myśl. Joseph, na rany boskie, myśl!

Gaszę silnik i przyglądam mu się ze zdumieniem. Ociera czoło zdrową ręką. Chyba wziął się w garść.

- Dobra - mruczy. - Komórka. Tak.

- Tak?

- O Boże! Nie, w porządku. Nic się nie stało. - Nerwowo wybiera numer.

- Tak, to ja - zaczyna zupełnie innym głosem. - Nie, mamy kłopoty w pracy. Już jedziemy. Będę za... pół godziny? Nie, raczej za czterdzieści pięć minut. Tak. Tak. Tak, wiem. Ale czasami... Nie, nieprawda. Lunch! Też coś! Ledwo zdążyłem na spotkanie, cały ranek zmarnowałem, czekając na prześwietlenie! - Chwila ciszy. - Jezu, powiedz to służbie zdrowia! - Znowu milczenie. - Dobrze! Nie, nie. Gdzie jesteście? OK... U mnie, u mnie... Nie. Piąta piętnaście? Doskonale. Nie, nieprawda! Nie!

Odkłada telefon i powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- Przepraszam - zaczynam ostrożnie - czy o czymś zapomniałam?

Przeoczy ruchem głowy.

- Nie. Słuchaj. Więc... Dobrze, wszystko w porządku. Jeszcze nie wyszły. Niech pomyślę - zerka na zegarek. - Doskonale. Zmiana planów. Wracamy do miasta. Wyszadysz mnie i poczekasz albo pojeździsz w kółko, jak chcesz. Tak, tak będzie najlepiej. Jedziemy.

- Dokąd, Joe?

Patrzy na mnie jak na głupią.

- Jak to dokąd? - dziwi się. - Do sklepu z zabawkami, ma się rozumieć.

I tam, ma się rozumieć, jedziemy.

A oprócz nas chyba wszyscy rodzice dziesięciolatków w Cardiff i okolicy. Zdaje się, że w sklepie odbywa się jakaś giełda kart z pokemonami, bo na parkingu nie ma gdzie szpilki wetknąć, a rodzice z obłędem w oczach biegają po całym sklepie. Pod dom Joego zajeżdżamy dopiero dziesięć po szóstej. Czeka tam na nas lawendowy hatchback. Joe mamrocze:

- O cholera - i każe mi zaparkować za nim. Drzwi od strony pasażera otworzyły się, zanim zgasiałam silnik, i w naszą stronę biegnie mała dziewczynka. Joe stęka głośno i wysiada. Uśmiech łagodzi jego rysy. Ja też wysiadam.

- Tatusiu! Tatusiu!

- Cześć, kochanie - odpowiada. Z samochodu wysiada także kobieta. Ma szopę kasztanowych włosów, szczupłe nogi i chęć mordy wypisaną na twarzy o fantastycznie regularnych rysach.

Joe bawi się w jowialnego tatuśka i schyla się, żeby mała mogła z bliska obejrzeć szwy na policzku, a kobieta sunie chodnikiem i posyła mu mordercze spojrzenia.

- Umówiliśmy się kwadrans po piątej - syczy i zerka na mnie z ukosa. Właściwie nie wiem, jaka jest moja rola w tej uroczej rodzinnej scenie, więc otwieram bagażnik i powoli wydaję kolorowe pakunki.

Dziewczynka, mała ślicznotka z włosami matki i cudownymi zielonymi oczami ojca, dźga go paluszką w ramię.

- No właśnie - szczebioce - spóźniłeś się.

- I to bardzo - dodaje matka i syczy: - Już miałam do ciebie dzwonić. Chyba sobie wyobrażasz, że nie mam nic ciekawszego do roboty, niż sterczeć przed twoim domem i czekać, aż łaskawie raczysz się pojawić. - Na chwilę zawiesza głos. - Skąd my to znamy, co?
- To zapewne nawiązanie do ich niezbyt szczęśliwej wspólnej przeszłości.

Joe prostuje się, spogląda na mnie i cmoka z dezaprobatą. Cmoka?

- To nie moja wina. - Stara się mówić swobodnie, żeby rozluźnić atmosferę. Jego była żona i ja wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, czego jednak nie zauważa.

- Angharad, to moja asystentka - przedstawia mnie. - Zastępuje Lily. Ma na imię Lu. Przywitaj się.

Dziewczynka przygląda mi się badawczo.

Posyłam Joemu mordercze spojrzenie i zwracam się radośnie do małej:

- Cześć, Angharad. Przepraszam, że się spóźniliśmy. Musiałam zapakować twoje

prezenty, bo tatuś nie dawał sobie z tym rady - wskazuję jego rękę w gipsie.

- No właśnie, zapakowała je, a potem zostawiła w biurze! - dodaje Joe z wyrzutem.

Ach, więc to tak. Mruga do mnie porozumiewawczo, ale odpowiadam ponurym spojrzeniem.

Angharad kiwa główką.

- Ach, tak - mówi.

- Ach, tak - powtarza jak echo jej matka.

Angharad energicznie potrząsa pierwszym pakunkiem i skacze entuzjastycznie; jak na mój gust trochę zbyt entuzjastycznie. Jakby grała rolę. Jakby uważała, że właśnie tak powinna się zachowywać dziesięcioletnia dziewczynka w swoje urodziny.

- Prezenty, prezenty - piszczy, w miarę jak na chodniku rośnie sterta pudeł.

- Hm - mruży jej matka, spogląda na mnie i celuje w Joego kluczykiem do samochodu. Zniża głos. - A jak wróci do domu? Pewnie liczysz, że po nią przyjadę, co?

Joe podchodzi bliżej. Już się nie uśmiecha.

- Owszem, chyba że chcesz, żebym ją odprowadził na piechotę.

- Nie mogę. Przywieziesz ją taksówką. Najpóźniej o wpół do dziesiątej, jasne?

Pochyla się, całuje Angharad w czoło, kiwa mi głową na pożegnanie i odjeżdża.

- Co jej kupiliście?

Del siada koło mnie w swojej kuchni. Dostrzegłam coś strasznego - próbki farb na komódce, ale opowieść o Joem i jego eks przynajmniej chwilowo oderwały ją od myśli o programie.

- Domek dla Barbie, rower dla Barbie, zestaw do makijażu dla Barbie, Barbie z magicznymi włosami, konia dla Barbie i coś jeszcze. Aha, i jeszcze Daisy, kucyka, który naprawdę je.

- Teraz pewnie wszystkie dziewczynki się tym bawią?

- A niby skąd mam wiedzieć? Nie znam się na dziewczynkach. Wiem tylko, że niewiele mu wydali z trzystu funtów.

- No pewnie. Właściwie wszystkie fajne zabawki kosztują koło tego. Pomyśl: odtwarzacz DVD, rower górski, Playstation 2. I co dalej?

Korzystam z okazji i opowiadam jej o pokemonowym szaleństwie w sklepie.

- A po drodze musieliśmy się jeszcze zatrzymać, żeby to wszystko zapakować.

- Biedaczek.

- Biedaczek, akurat! Del, spójrz, która godzina! Jeszcze nawet nie byłam w supermarkecie! Jak on śmiał! I jak mógł zapomnieć o urodzinach własnej córki? Przecież nie

ma ich na pęczki! - Z drugiej strony, kto go tam wie. - Biedna ta mała. Wyczuła, że coś jest nie tak - jej matka na pewno się zorientowała.

- Ach! Więc poznałaś osławioną Rhiannon!

- Przelotnie. Już czekały, kiedy przyjechaliśmy. Joe nie całkiem uczciwie przedstawił sytuację. Wyszło na to, że to wszystko moja wina. Co za bezczelność! Powiedział, że dał mi prezenty wczoraj do zapakowania, i zostawił je w biurze, więc musieliśmy po nie wracać. To się w głowie nie mieści! A ja nie protestowałam. Co miałam powiedzieć? Biedna mała, czuła się pewnie jak na froncie. Ale nie jest głupia. Zresztą jego eks też nie. Wiedziała, że to stek kłamstw.

- I pewnie świetnie się przy tym bawiła.

- O, nie wątpię. Chyba nie tęsknią do siebie. Właściwie wcale się nie dziwię. Zobacz, rano zdażył wpaść do sklepu po misia dla dziecka Lily - co prawda pokręcił kolory, bo kupił różowego dla chłopca, i jeszcze kazał mi posłać kwiaty jakiejś kobiecie, pewnie kochance, za to na śmierć zapomniał o urodzinach własnej córki. Żałosne, nie sądzisz?

- Moim zdaniem typowe.

- No jasne, cały Joe.

- Nie, Lu. Nie typowe dla Joego, tylko dla wszystkich mężczyzn, koniec kropka. Masz wobec nich strasznie wygórowane wymagania. Nic dziwnego, że nie możesz sobie nikogo znaleźć.

A jednak Del jest w błędzie, tak. Wracamy z Leo do domu, a tam czeka na nas bukiet kwiatów oparty o drzwi. Wygląda trochę jak wiązanka złożona na miejscu niedawnej zbrodni, zwłaszcza że, przyznaję, kwiatki są już trochę przywędłe, ale za to są dla mnie. I to od Stefana. Pięć ciemnoniebieskich irysów. I jeszcze bilecik:

Szkoda, że cię nie zastałem. Nie mogę się doczekać soboty

Całuję - S

- A fuj! - krzywi się Leo, czytając na głos. - Obrzydlistwo! Czy to ten facet, co tu wczoraj przyjechał na takim obciachowym rowerze?

- Leo - karczę go i wyjmuję mu kwiaty z dłoni. - Kwiatki są śliczne!

Wchodzi za mną do domu i rzuca plecak przy schodach.

- Prawie zwiędły. I śmierdzą.

- Właśnie że nie, pachną - szczebiocę i wtulam twarz w niebieskie płatki. Och, jaka

jestem szczęśliwa. - Zresztą nie o to chodzi, Leo. Liczą się intencje.

Krzywi się tylko i zdejmuje kurtkę.

- Kochasz go, mamó?

Zatrzymuję się w pół kroku. Mój mały synek nagle poważnieje, a ja zaczynam się zastanawiać, dlaczego nawet nie przyszło mi do głowy, że to go w ogóle obchodzi.

Nie wiem, jak się zachować. Brak praktyki. Leo zresztą też jej nie ma. Pieszczotliwie czochram mu włosy.

- Skądże znowu - zapewniam lekko. - To tylko przyjaciel, Leo. Jest wyjątkowy, ale nie kocham go, skądże. W porządku?

A on się uśmiecha, zerka na kwiaty i odpowiada:

- W porządku, mamó. Chciałem się tylko upewnić.

Piątek, 27 kwietnia

Od rana lało. Pogoda dodała nowy wymiar do greckiej tragedii, jaką stawała się moja relacja z upiornym samochodem. Kosmiczna tablica rozdzielcza oferowała niezliczone możliwości i na pewno dotyczyło to także pracy wycieraczek. Już dawno odkryłam, gdzie znajduje się przycisk uruchamiający wycieraczki - włączałam je, ilekroć szukałam kierunkowskazu. Gdyby padało normalnie, powoli i jednostajnie, nie byłoby problemu, ale dzisiaj lało jak z cebra. I wszystko, co moje wycieraczki ściągnęły z szyby, wracało na nią w postaci błota. A ja za nic nie mogłam znaleźć przycisku z płynem do mycia szyb.

Na szczęście, zanim dojechałam do domu Joego, odkryłam nie tylko spryskiwacz, ale też ze sto innych bardzo zaawansowanych funkcji.

- Hm. Więc o co chodzi z tą plastyką?

Jest kilka minut po jedenastej. Jedziemy do szpitala, tym razem na prawdziwą wizytę. To dziwny tryb życia. Rano jadę do pracy, zaczynam. Przerywam, jadę gdzie indziej, nudzę się, wracam, znowu zaczynam pracę, przerywam... Nigdy niczego nie kończę. Z plastyką, dobre sobie. Joe tak sobie chyba wyobraża niezobowiązującą rozmowę jako sposób załagodzenia napięcia po poprzedniej wymianie zdań na temat tego, czy okiełzanie wścieklej byłej żony wchodzi w zakres moich obowiązków. Pokonuję skrzyżowanie i odpowiadam spokojnie:

- To nie plastyka, tylko kurs malarstwa... A co?

- Nic, tak tylko się zastanawiam, o co w tym chodzi. No wiesz, kurs, studia...

Nie jestem pewna, czy podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa, a przecież jeszcze się nawet nie zaczęła.

- No właśnie. Masz coś przeciwko magistrom sztuki?

Unosi jedną brew.

- Więc do tego zmierzasz?

- No, tak. Kiedyś. Mam nadzieję w październiku zacząć kurs przygotowawczy.

- Dlaczego?

- Dlaczego w październiku?

- Nie. Dlaczego kurs przygotowawczy?

- Bo muszę skompletować teczkę moich prac, zanim przyjmą mnie na wydział.

- Hm - mruczy. - Dziwne. A właściwie po co ci te studia?

Boże! Czemu ludzie w kółko o to pytają? Co w tym takiego dziwnego? Stoimy przed przejściem dla pieszych. Obrzucam Joego stekiem wyzwisk w myślach. Przez pasy tymczasem przetacza się staruszka z wózkiem na zakupy w szkocką kratę.

- Bo zawsze tego chciałam - odpowiadam w końcu. Zawsze chciałam studiować malarstwo. Chcę... Chcę malować.

Nie muszę nic dodawać, bo Joe wpada mi w słowo.

- Tak, wiem. Ale po co?

- Jak to: po co?

- No, po co studia? Nie możesz malować w wolnym czasie?

Mówi tak spokojnie, że wiem, po prostu wiem, że sama myśl doprowadza go do szału. Szybko się uczę, jeśli o niego chodzi.

- Bo - tłumaczę spokojnie - chciałabym spędzić trzy lata życia, robiąc tylko to, na co mam ochotę. I tak właśnie będzie. Coś ci się nie podoba?

- Ależ skąd - zapewnia łagodnie. - Po prostu wydaje mi się to dziwne, wiesz, w twoim wieku...

- Wiek nie ma nic do rzeczy.

Nie odpowiada, tylko stęka, schylając się, żeby włączyć za mnie kierunkowskaz. Nie zostawię tego tak, muszę coś powiedzieć. Muszę.

I mówię.

- Słuchaj, tutaj jest zielona strzałka, widzisz? To znaczy, że nie muszę włączać kierunkowskazu.

- Niby tak, ale kierowca zawsze okazuje swoje zamiary.

- Moje zamiary są jasne jak słońce.

- Niekoniecznie. Mogłabyś...

- Skręcam w lewo na strzałce. Zresztą - zerkam w lusterko - nikogo za mną nie ma.

- Nie o to chodzi.

O Jezu!

Burczy coś pod nosem.

- A co to za kurs wieczorowy?

- Po prostu kurs wieczorowy.

- Na jaki temat?

- Malarstwo.

Wyłączam kierunkowskaz. Patrzy przez chwilę na guzik.

- Ale to nie jest kurs przygotowawczy?

- Nie. To dwusemestralny kurs poświęcony malarstwu impresjonistów. Traktuję go jako rozgrzewkę przed kursem przygotowawczym.

- Czyli kurs przygotowawczy do przygotowawczego. Hm.

Tak sformułowane to rzeczywiście brzmi głupio. A co tam.

- Co hm? - parskam. - Coś ci się nie podoba? Zresztą wcale nie muszę robić tego kursu. Chodzę sobie, bo...

- Wiem. Bo chcesz. - Ustawiamy się w kolejce na wielopoziomowy parking. Przejazd między budkami bileterów wydaje się koszmarnie wąski.

- Hm - mruczy znowu i kiwa głową.

- Co znowu za hm? - odwracam się do niego.

Wzrusza ramionami.

- Ciekawe plany.

Najbliższą godzinę Joe spędzi u lekarza, a ja mam kilka możliwości: mogę wyjechać z powrotem do miasta, jeździć bez celu i potem na nowo męczyć się na wąskim przejeździe. Mogę też rozmyślać o moich ciekawych planach życiowych. Albo oglądać wystawy w nowo otwartym sklepie przy szpitalu. Albo iść na kawę. Albo wdać się w dyskusję z nieznanym na temat sytuacji kobiet w dzisiejszym świecie i przy okazji złapać jakąś chorobę zakaźną. W każdym razie wygląda na to, że czekanie stanie się integralną częścią mojego życia przez następne kilka tygodni, więc na przyszłość muszę się odpowiednio przygotować. Następnym razem wezmę banana, powieść, szkicownik i ołówki i będę udawała artystkę.

- Boże, tu jest jak na cholernym bułgarskim lotnisku - jęczy Joe.

Zakładam, że przemawia przez niego osobiste doświadczenie. O ile pamiętam z dokumentów biurowych, termy JDL opanowały Europę Wschodnią.

- Myślałam, że masz prywatne ubezpieczenie - zauważam nieco złośliwie, gdy przeciskam się za nim.

Zerka na mnie spod oka.

- Mam. Niestety, nawet majątek, który im płacę, nie wystarczy na zakup odpowiedniego sprzętu. Podobno aparatura do USG jest obecnie „na objeździe”, zdaje się, w Abergavenny.

Wraca półtorej godziny później, z pękatą kopertą w rękę - zapewne wyniki badań.

- No, chodź. Wstawaj. Ruszamy - burczy. Posłusznie biorę torebkę.

- I co? - pytam.

- Nie pytaj.

- Dlaczego?

- Hm.

- Coś nie tak?

- Jak zwykle. - Idzie w kierunku wyjścia. Ludzie rozstępują się przed nim. Może to przez bliźnię, ale wydaje mi się, że tak zeszliby mu z drogi. - Lekarze nie są pewni, czy kość się dobrze zrasta - tłumaczy. - I niepokoi ich odłamek w łokciu.

- O Jezu.

- No właśnie. Dają mi jeszcze tydzień, potem jeszcze jedno USG. Jeśli nie będzie poprawy, czeka mnie operacja. A poprawy nie będzie, bo w moim wypadku zawsze działa prawo Murphy'ego i tym razem też zadziała. Do tego muszę tu przyjechać we wtorek na zdjęcie szwów. O wpół do dwunastej. Jakbym nie miał nic lepszego do roboty. Co za koszmar. Co za... tędy?

Prawie mi go szkoda. Prawie.

- Nie, to oddział położniczy. - Skręcam na parking. - O Jezu! - powtarzam. - Czyli będziesz w gipsie dłużej, niż sądziłeś.

- No właśnie.

- O Jezu.

- Przestań powtarzać „o Jezu”, dobrze?

Idzie szybko, a ja niemal biegnę, chcąc dotrzymać mu kroku.

- Przepraszam, chciałam tylko...

- Lu, mam prośbę: bądź już cicho.

- Cóż - zaczyna łona, gdy wracamy do biura. Prawdopodobnie zinterpretowała moją naburmuszoną minę jako wyraz troski. - To niedobre wieści, co, Lu? Ale nie martw się, Joe, zajmiemy się tobą, prawda, Lu? A, i dzwonił z policji. Masz oddzwonić jak najszybciej. Bardzo miły człowiek. Niejaki Evans. Tu jest jego numer. - Podaje mu karteczkę.

- Miły, akurat - warczy Joe.

Sytuacja samochodowa się komplikuje. Komplikuje, zarówno jeśli chodzi o mój ukochany samochód, jak i położenie Joego: jeśli kobieta w mondeo zeznała, że Joe jechał za szybko, policja może jednak uznać, że to on ponosi winę.

Zresztą co mi za różnica. Miałam mg, będę miała mg. Teraz tylko pytanie, kto za niego zapłaci, facet z półciężarówki czy niefortunni ubezpieczyciele Joego.

- O nie, nie moi - zarzeka się, gdy wyruszamy z biura do hotelu Royal, gdzie jesteśmy umówieni z trzema przedstawicielami sieci Luxotel. Na szczęście to niedaleko, więc idziemy piechotą. - Teoretycznie sprawa jest jasna. Wypadek spowodowała ciężarówka, więc facet

płaci.

Podnoszę odrobinę spódnicę - jest obcisła, wąska i długa, i absolutnie nieprzystosowana do długich kroków, jakie muszę robić, żeby za nim nadążyć. Bo nie będę przecież drobila jak gejsza.

- No dobrze. A jeśli policja uwierzy kobiecie z mondeo i uzna, że jednak ponosisz winę za zniszczenie twojego, to znaczy mojego samochodu?

Naciska guzik na przejściu dla pieszych.

- Nie uzna.

- A jeśli?

Naciska guzik drugi raz. I trzeci.

- Wtedy ubezpieczyciele ciężarówki nie zapłacą. - Mówi zirytowany, jakby odpowiadał na pytania namolnego dziecka.

- W każdym razie - naciskam - to i tak bez znaczenia, prawda? Bo masz polisę. No, pewnie stracisz zniżkę za bezwypadkową jazdę, ale chyba...

- Hm - mruczy i ciągnie mnie na jezdnię. Samochodów nie ma, ale światło nadal jest czerwone. - Nie do końca.

- Dlaczego? Przecież masz ubezpieczenie autocasco, prawda? Mówiłeś, że masz. - Patrzę na niego uważnie. - Tak mówiłeś.

Przystajemy na wysepce na środku jezdni. Joe jednocześnie kiwa głową, macha na przejeżdżające samochody i posyła kierowcom mordercze spojrzenia. To, zdaje się, jego sposób na ruch uliczny. Nawet skuteczny; facet w wozie meblowym pokazał mu wprawdzie środkowy palec, ale jednak się zatrzymał.

- Bo mam - tłumaczy. - Tylko nie obejmuje ono sytuacji, gdy prowadzę cudzy samochód.

- Co?

- Tak samo zareagowałem. Ale niestety nic z tego. Ubezpieczenie pokrywa wszystko, jeśli jesteś właścicielem samochodu, który prowadzisz.

W tej chwili przypominam sobie z najdrobniejszymi szczegółami naszą rozmowę przed wypadkiem.

- Czyli kłamałeś. Powiedziałeś, że masz ubezpieczenie. Że możesz jechać czym chcesz! A to było...

- Spokojnie, Lu. Uważaj!

Wchodzę na chodnik.

- Jezu! Nie powinnam była cię słuchać! Wiedziałam! Jezu, jak mogłam ci pożyczyc

mój samochód! Jak mogłam być taka głupia!

- Słuchaj, to nie problem, jasne? Dostaniesz swój samochód, to znaczy drugi taki sam, choć czemu chcesz coś takiego, nie mieści mi się w głowie. Ale to żaden problem.

- Żaden problem? Żaden problem? Po prostu wejdiesz do salonu i mi go kupisz, tak?

Przeciąga dłonią po włosach i prowadzi mnie na zatłoczony parking hotelu Royal.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, tak. Oczywiście.

- Ale...

Przytrzymuje mi drzwi.

- Nie ma żadnego „ale”. Dostaniesz swój samochód, Lu.

No i dobrze. Dostanę mój samochód. Ale i tak postąpił głupio i bezmyślnie. Nieważne, ile ma pieniędzy, to idiotyzm, żeby szedł do salonu i bulił dziewięć tysięcy funtów za samochód. Idiota.

Recepcja hotelu jest przestronna, zimna i nieprzytulna. Mijamy stertę bagażu drużyny, na moje oko, hokejowej, ja czekam, a Joe pyta o coś lodowatą lalkę w recepcji. Właściwie nie wiem, co tu robię. Jestem przekonana, że wszyscy trzej Francuzi mówią po angielsku, więc nie wniosę absolutnie niczego do zagadnienia term i bojlerów, które będą omawiali. Na dzisiejszym spotkaniu, jak Joe wyjaśnił mi po drodze, mają ustalić terminy robót, które JDL wykona dla Luxotel. Bardzo korzystne zlecenie, nie wątpię. Hotel tej sieci jest chyba w każdej francuskiej miejscinie, także w innych europejskich krajach ich nie brakuje. Co więcej, intensywnie rozwijają się dalej. Tylko w tym miesiącu rozpatrują budowę pięciu nowych hoteli, z czego dwóch w Anglii. Nie wiem, o jakie sumy tu chodzi, ale z pewnością o potężne.

Hm. No i dobrze. O, uwaga. Już wiem, czemu tu jestem. Stanowię element dekoracyjny.

Dyrektor sieci Luxotel nazywa się Jean - Paul Deschamps, jest wysoki, ma pod pięćdziesiątkę, podejrzanie czarne włosy, cienki wąsik i lniany garnitur koloru musztardy. Nie lubię go od pierwszego wejrzenia. Ledwie Joe nas sobie przedstawił i powiedział, że znam francuski, a monsieur Deschamps już przeszedł na ten język. To bardzo nieuprzejme - jesteśmy w towarzystwie, że już nie wspomnę o tym, że w Cardiff, nie w Cannes. W dodatku trudno było nie zauważyć, że zamiast omawiać kotły, termy i zawory, wolałby ściągnąć mi bluzkę i poobmacywać.

- Posłuchaj - zwracam się do Joego, gdy monsieur Deschamps poszedł nadać faks, a pozostali panowie dyskutują zawzięcie o wyżej wspomnianych zaworach. - Może lepiej będzie, jeśli wrócę do biura i spróbuję nadrobić zaległości? Przecież nie jestem ci tu potrzebna,

wrócisz na piechotę, a tłumaczyć nie trzeba.

Kręci przecząco głową.

- Wolałbym, żebyś została - upiera się i spogląda na Francuzów. - Pomogła mi ich zabawiać.

- A niby jak, przepraszam bardzo?

Jestem wściekła i wcale tego nie kryję, ale Joe albo nic nie zauważa, albo tylko udaje. O ile go znam, raczej to drugie, zwłaszcza że mówi:

- Monsieur Deschamps zaproponował, żebyśmy kontynuowali dyskusję w restauracji.

Zapewne nie będziesz miała ochoty do nas...

Energicznie kręć głową. Jest dziesięć po trzeciej.

- Święta racja, nie będę miała.

- Wiesz, co ci powiem? Wcale się nie dziwię, że go zostawiła.

Del męczy się nad pieczonym kurczakiem, próbuje usunąć kości, słuchając mojej relacji z koszmarne go dnia. Triumfalnie podnosi długą kość.

- Cicho! Pomyśl życzenie! - przerywa mi.

Zamykam oczy i posłusznie układam życzenie, krótkie, ale treściwe, w którym rolę główną odgrywają genitalia monsieur Deschamps'a i piła mechaniczna. A potem mówię:

- Wiesz, chyba rzucę tę pracę. Naprawdę nie uśmiecha mi się obwożenie Joego Delaney'a przez najbliższe tygodnie. To straszne, rozumiesz? On jest okropny, Del. W ogóle się nie rozumiemy.

- Joe? Okropny? Niemożliwe! Jest cudowny!

- Cudowny to on może jest na proszonych kolacyjkach, może towarzysko jest ósmym cudem świata, co uparcie powtarza Iona, ale w pracy to co innego. Na dodatek rzucił palenie, a to tylko pogarsza sprawę. Słuchaj, powiem krótko: jest przemądrzały, uparty i...

Del cmoka z dezaprobatą.

- A ty nie, prawda?

Najeżam się.

- Nie tak jak on, o nie. I mam już po dziurki w nosie wożenia go.

- Przecież lubisz jeździć - dziwi się. - A teraz jeździsz jaguarem, na miłość boską. Lu, czy ty w ogóle masz pojęcie, ile ten samochód kosztuje? Ben się ślini na sam jego widok.

- Więc niech sobie kupi. Stać was na to.

- Po moim trupie. Zaplanowałam sobie ogród zimowy. Zresztą to chyba bardziej pasjonujące niż tłumaczenie na francuski opisów term? - Wyciera blat stołu wilgotną szmatką

i wstawia wodę na herbatę. - Poza tym, zdaje się, chodzi tylko o kilka tygodni? A potem dostaniesz nowy samochód, a później to już tylko kilka miesięcy i zaczniesz kurs przygotowawczy na studia. To chyba ciekawsze niż uczenie francuskiego?

Zaczynam podejrzewać, że Del miała rację od samego początku. Że rozsądniej byłoby zostać w szkole. Nie tak wyobrażałam sobie te miesiące. Myślałam, że będę się dobrze bawiła. Chciałam pracować gdziekolwiek, byle nie w szkole pełnej znudzonych nastolatków. Z dorosłymi. Miałam dosyć sprawdzania prac domowych i odpytywania ze słówek. Chciałam umawiać się na lunch w restauracjach, a po pracy wyskakiwać na drinka - przynajmniej raz w tygodniu, kiedy Leo chodzi na taekwon do. Ale nic z tego. Niestety. Albo zostanę w JDL, albo muszę szukać innej pracy. A jeśli odejdę, co z moim samochodem? Joe prawdopodobnie będzie mi musiał kupić nowy. Tylko kiedy mi go kupi? I co mam robić do tego czasu? I czy naprawdę kupi mi nowy samochód, tak po prostu? Wyobrażam sobie rozmowę na ten temat i robi mi się słabo na samą myśl. O Boże, dlaczego życie jest takie pogmatwane?

Pomyślę o tym w poniedziałek.

A kiedy wracam do domu... zgadnijcie! Znowu kwiaty. Ale te... no tak, mogłam się tego spodziewać - pochodzą z tej samej drogiej kwiaciarni, w której zamawiałam bukiety w poniedziałek. Przy bukiecie z lilii i róż mały bilecik z napisem: *Przepraszam za kłopot. Joan.*

Jak się domyślałam, miało to wyrzucić na mnie wrażenie. A w każdym razie przynajmniej mnie ułagodzić. Kwiaty to zawsze kwiaty, i gdyby nie irysy od Stefana, pewnie spojrzałabym przychylniejszym okiem na imponujący bukiet od Joego. Ale Stefan był pierwszy i kwiaty nic Joemu nie pomogły. Ani odrobinę. Drań. Pewnie nawet nie zamówił ich osobiście, tylko po moim wyjściu z restauracji zadzwonił do Iony, żeby to załatwiła. Joan, dobre sobie. Poza tym przypomniały mi, czego w nim tak bardzo nie lubię - pewności, że każdą kobietę przekona wiecheć wart czterdzieści funtów. Wyciągnęłam róże z bukietu, resztę wstawiłam do toalety na dole. Nie znoszę zapachu lilii.

Sobota, 28 kwietnia

Mieszkanie Stefana mieściło się na czwartym piętrze zabytkowego wiktoriańskiego budynku niedaleko college'u. Od frontu spoglądały na ulicę wielkie okna, drzwi strzegły kwiaty w wielkich donicach. Jak wiele innych domów, składających się z wielu mieszkań, budynek sprawiał przygnębiające wrażenie podupadłej rezydencji, lecz w tym zaniedbaniu był pewien smutny urok. Jakby mieszkańcy świadomie unieśli się ponad tandetne luksusy. dwudziestego wieku. Jakby żyli na wyższej płaszczyźnie intelektualnej. Przesunęłam palcem wzdłuż listy lokatorów. Llewellyn. Głęboko zaczerpnęłam tchu i nacisnęłam dzwonek.

Stefan, którego jedynym ustępstwem na rzecz dwudziestego wieku było, zdaje się, nowoczesne siodelko przy rowerze, miał na sobie białą koszulkę z napisem MIĘSO TO MORDERSTWO i wystrzępione dżinsowe szorty. Nad wycięciem koszulki dostrzegłam jasne włosy na jego piersi i zrobiło mi się gorąco. Wziął mnie za rękę i bez słowa wciągnął do ciemnego przedpokoju, gdzie potknęłam się o jego rower. Serce waliło mi jak oszalałe.

Zaprowadził mnie do sporego pomieszczenia i ustawił, uważnie i powoli, przed wielkim płótnem. Potem przyłożył palec do ust i szepnął:

- Ćś!

Posłusznie milczałam.

Przez całe pięć minut.

- Hm - mruknął w końcu. - To jeszcze nie to, o co mi chodzi, ale chyba uchwyciłem istotę.

Cofnął się o krok, przechylił głowę.

- Jakieś skojarzenia, Lu? Wrażenia? Impresje? Czy ten obraz do Ciebie przemawia?

Znajdowaliśmy się w pokoju, który Stefan, gdyby nie był tak cudownie bezpretensjonalny, nazwałby swoim atelier. Było tu jasno i przestronnie, na drewnianej

podłodze stał stół poplamiony farbami, pod ścianami dostrzegłam wiele płócien odwróconych tyłem. Były to wielkie płótna, naprawdę olbrzymie. Co najmniej dziesięć razy większe niż akwarelki, które produkowałam przy kuchennym stole. Nagle moje poczynania wydały mi się nieważne, ot, amatorszczyzna. W każdym razie nie prawdziwa sztuka. Przypomniała mi się książeczka, którą czytałam Leo, gdy był mały. Była to bajeczka o malutkim smoku, w którego nikt nie wierzył, aż urósł tak bardzo, że wszyscy, wszystkie mamy, tatusiowie, mleczarz, piekarz i listonosz, nie mieli wyjścia, musieli go zauważyć, choćby dlatego, że odleciał z domem na grzbiecie. Czy tak jest z każdym artystą? Czy wielkość jest miarą sukcesu? Przecież obrazu na sztalugach naprawdę nie sposób nie zauważyć. Był wielkości materaca na małżeńskie łóżko. Poszło na niego mnóstwo farby. Co prawda w jednym kolorze.

- Hm - mruknęłam, grając na zwłokę. Rozpaczliwie starałam się dostrzec coś mądrego w obrazie, który, przynajmniej na pierwszy rzut oka, przedstawiał jasniebieskie tło z ciemniejszą plamą w środku. Balonik? Kałuża? To niesprawiedliwe. Co prawda nie spodziewałam się nowego Pissarra, ale jak to możliwe, że człowiek, który z taką pasją rozprawia o impresjonistach, maluje obraz składający się z niebieskiej plamy?

- Ojej - zaczęłam - nie wiem, czy jestem właściwą osobą, żeby się wypowiadać na ten temat. Nie znam się na sztuce współczesnej.

Stefan przeciągnął się, splótł palce za głowę.

- Na sztuce współczesnej? - powtórzył z uśmiechem i troszeczkę jakby zawstydzony, co mnie uspokoiło. - Czy aby na pewno? - Podeszedł do mnie, od niechcienia objął mnie ramieniem. - Spójrz - wskazał niebieski kleks na niebieskim płótnie. Kleks był odrobinę ciemniejszy niż niebieskie tło.

- Czy ten kolor - tak jest, proszę państwa, błękit - to kolor współczesny? Z tym ci się kojarzy? Nie z głębią? Uciskiem? A może melancholią?

Kojarzył mi się z niebieskim. O Boże, muszę się bardziej postarać, pomyślałam w panice. Usiłowałam sobie przypomnieć, co mówił we wtorek na zajęciach o kolorze, ale myślałam jedynie, jakie ciężkie i ciepłe jest jego ramię. Jak pyton. Jak... odchrząknęłam, starałam się skupić.

- Wydaje mi się... - zaczęłam - że... to piękny kolor. A w kontraście z tłem...

- Tłem? - Znowu zmarszczył brwi. - Postrzegasz to jako tło? - Cofnął się jeszcze o krok, przy czym zdjął ramię z moich pleców. - Hm - zamyślił się. - Nieźle. Ale czy nie masz też wrażenia, że ten obraz upada, że część się od ciebie oddala?

Pomagał sobie zamaszystymi ruchami rąk. Nie mogłam dojść, która część powinna upadać, ale miał rację: upadek to słowo - klucz. Skinęłam głową.

- O tak - oznajmiłam z przekonaniem. Wreszcie wczułam się w rolę, poza tym ogarnęła mnie desperacja. Przecież i tak nieważne, co powiem, ważne, żebym reagowała, Żebym... on ręka! Gdzie ja o tym czytałam? Żebym miała do obrazu osobisty stosunek. Odchrząknęłam. Intensywny wysiłek umysłowy sprawiał, że co chwila zasychało mi w gardle.

- Tak - powtórzyłam. - Mówiąc tło, miałam na myśli kosmos, przestrzeń, wszechświat, który jest tłem dla dramatu czarnej dziury, rozumiesz? Mam wrażenie, że tło jest głębokie, nieprzeniknione, a jednak to czarna dziura jest... - O cholera. Zaplątałam się. - ...najgłębszym, najbardziej przejmującym upadkiem, jaki można sobie wyobrazić. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jest nieskończona.

Za naszymi plecami mucha monotonicznie obijała się o szybę. Chyba przesadziłam. Dużo czasu upłynęło, zanim odpowiedział.

- Nieskończona - powtórzył w zadumie. Ściągnął gumkę z włosów i rzucił na podłogę. - To mi się podoba, Lu. Nie myślałem o tym w tych kategoriach, ale chyba wiem, o co ci chodzi.

Świetnie, przynajmniej jedno z nas wie. Odwróciłam się, skinęłam głową i generalnie starałam się sprawiać wrażenie osoby tajemniczej, inteligentnej i błyskotliwej, a nie tej, którą byłam, czyli napalonej i nieprzytomnej. Stał za mną, oparł podbródek na moim ramieniu. Nasze cienie padały na obraz, ciemny błękit stawał się jeszcze ciemniejszy, a jasny niepokojąco szarzał. Jego włosy łaskotały mnie w twarz.

- Wiesz - objął mnie w talii. - Jest w tym obrazie coś szalenie erotycznego. Wyczuwasz to? Może to stopniowe nasilanie się koloru? Nie zdawałem sobie z tego sprawy podczas malowania, ale ty to czujesz, prawda? Jakaś jasność w zetknięciu dwóch odcieni. Zmysłowość. Intensywność. - Wziął mnie za rękę i nakreślił nią łuk w omawianym fragmencie obrazu. - Tutaj - szepnął. - Widzisz?

Cóż, szukałam w obrazie intensywności, ale nie było mi łatwo. Intensywnie to ja odczuwałam coś innego: jego oddech na szyi i biodra na moich pośladkach.

- Tutaj, tak? Ja... tak. - Za nic nie mogłam się skoncentrować.

Z westchnieniem ponownie pochylił się nade mną. Jego dłoń powróciła na miejsce na mojej talii. Czulałam przyspieszony puls - nie wiem, jego czy mój.

- Cieszę się, że ci się podoba, Lu. Sztuka, tworzenie sztuki to bolesny, trudny proces. Starasz się stworzyć coś ważnego, znaczącego, coś, co zarazem ucieleśnia absolut i jednocześnie jest przekaznikiem energii... Rozumiesz? Ale nikt cię nie rozumie. Chyba że nazywasz się Chapman albo Emin - a i przy nich czasami mam wątpliwości. Chodzi o

zrozumienie. Tylko tego pragnę. Oczywiście, nie miałbym nic przeciwko sukcesowi komercyjnemu. Ale przede wszystkim zależy mi na zrozumieniu. Dobrze chociaż, że ten obraz ma już dom. - Stefan pochylił głowę, tak że dotykał mojego policzka.

Zastanawiałam się, czy aby przypadkiem nie jest pijany. A może zechce obdarować mnie niebieskim malowidłem? Lepiej nie, bo jak ja dowiozę do domu to arcydzieło? Ale na szczęście powiedział:

- Exo.

- Exo?

Poczułam, jak skinął głową.

- Wiesz, nowe centrum odnowy biologicznej nad zatoką - szeptał mi do ucha. - Mój znajomy robi im wystrój wnętrza i zamówił u mnie kilka prac. Miedzy innymi tę. Ta, ma się rozumieć, zawiśnie w atrium. - No tak, u rzeźnika na przedmieściu z całą pewnością wyglądałaby idiotycznie. - I jeszcze coś do poszczególnych sal i salonu piękności. Właściwie zostawił mi wolną rękę, chodzi tylko o to, by te prace oddawały ducha postmilenijnego, rozumiesz? Dlatego zdecydowałem się na różne odcienie niebieskiego. - Czyli dlaczego właściwie? - Gorąco mi, a tobie nie? Może się czegoś napijemy?

Wypuścił mnie z objęć, spojrzał jakoś tak nieśmiało i szepnął do ucha:

- Kochaj mnie... Nie jak anielice podniebnych kochanków... nie jak syreny swoich marynarzy... Kochaj mnie... - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. - Kochaj mnie i zdejmij maskę.

Chyba miałam niewyraźną minę, bo wyjaśnił:

- Dylan, Lu. Proszę, tu jest piwo.

Nagle zaskoczyłam.

- Dylan Thomas! - krzyknęłam radośnie.

Spojrzał na mnie z podziwem.

- Więc go znasz. I jak, Lu, zdejmiesz maskę? - Wskazał koc leżący na podłodze.

Byłam z siebie dumna. Może nie wymagało to wielkiej erudycji, ale i tak o mały włos nie powiedziałam: Bob Dylan. Jeszcze nie zdążyłam ochłonąć, kiedy przerwał ciszę.

- No, dobra. Zabieramy się do pracy?

Skinął głową w stronę koca.

- Pomyślałem, że usiądziesz tu, na kocu, przed kanapką... nie martw się, to tylko farba... O tak, odchyłona do tyłu. Zobaczymy. Pójdę po szkicownik, a ty się rozbierz, dobrze?

- Słucham? - Przełknęłam łyk piwa. - Mam się rozebrać?

Uśmiechnął się lekko. Założył kosmyk za ucho.

- No pewnie. A jak mam cię szkicować?

Cóż, rozumiem jego punkt widzenia. W końcu Botticelli nie namalował Wenus w koszulce. Ani Renoir swojej *Nimfy* w staniku. Poza tym, prawdę mówiąc, przyszedłam tu z zamiarem pozbycia się wszelkiej odzieży. Ale tak po prostu się rozebrać? Ściągnąć majtki i usiąść na kocu? Jeszcze się nawet nie ściemniło. A w oknie nie ma zasłon.

- Hm... tak... - mówię w końcu. - Po prostu nie myślałam, że...

A on podchodzi do mnie, szepce do ucha kolejny wiersz i całuje.

Cholera.

Poszedł po szkicownik. A ja rozłożyłam koc przy kanapie, później zaś upozowałam się na nim, czując się strasznie głupio i pretensjonalnie, zwłaszcza że pocałunki Stefana bardzo na mnie podziałały. Mościłam się i mościłam, aż w końcu oparłam głowę na łokciu, założyłam nogę na nogę i zakryłam piersi ręką. Teraz widoczne były jedynie paznokcie u nóg, które niedawno, co za szczęśliwy zbieg okoliczności, pomalowałam na niebiesko. Milczałam. Zupełnie przeszła mi ochota na seks - czułam się nie tyle jak nieśmiała lania, co jak świnia na półmisku.

Stefan milczał, chociaż liczyłam, że coś powie, że znowu będzie mi szeptał wiersze do ucha. Ale on patrzył mniej więcej z takim zainteresowaniem, jakbym była stosem jabłek. Wybierał ołówki, ostrzył je, mocował papier. Potem usiadł. I ściągnął koszulkę.

- W porządku? - zapytał. - Nie zimno ci? - Przechylił lekko głowę. - Na pewno ci tak wygodnie?

Nie, nie było mi wygodnie. Ale wolałam to niż próbę rearanżacji trzęsących się elementów mojej anatomii.

- W porządku - mruknęłam. Zarumieniłam się. Właściwie zarumieniły się różne części mojego ciała.

Pochylił się nad arkuszem, ale zaraz znowu podniósł głowę.

- Nie pogniewasz się, jeśli trochę zmienię pozę? - zapytał i podszedł do mnie.

Och.

Wziął moją rękę i ułożył wzdłuż boku, a potem delikatnie, ostrożnie, ale mocno, rozsunął mi uda do pozycji, która zachwyciłaby ginekologa.

Wpadłam w panikę, gdy lekka bryza owiała części mego ciała, które z bryzami zazwyczaj nie mają kontaktu. Stefan zadumał się, a ja uparcie gapiłam się na rzepkę w kolanie.

- Super - mruknął z uśmiechem. Musnął moje udo i wstał. Drżałam. - Lepiej, dużo lepiej. Wytrzymasz, Lu?

Wytrzymałam. Leżałam tak przez dobre pół godziny. Gapiłam się w przestrzeń, a on

szkicował, wycierał, poprawiał, mierzył coś, mruzczał do siebie. Jego stopy w niebieskich klapkach wyglądały jak wyrzeźbione z alabastru.

W końcu podniósł głowę, wytarł ręce w szmatę.

- Już - ustawił szkic na sztalugach.

Usiadłam.

- Skończyłeś?

Wstał, przeciągnął się. A potem zdjął klapki, szybko ściągnął dżinsowe szorty - pod którymi nic nie miał - i pokonał dzielącą nas przestrzeń trzema dużymi krokami.

- Ależ skąd - mruknął, osuwając się na koc koło mnie. - Jeszcze nawet nie zacząłem.

Niedziela, 29 kwietnia

Przez całą noc dręczyło mnie nieprzyjemne uczucie, że chcę studiować sztukę nie dla sztuki jako takiej, tylko dlatego, że zwariowałam na punkcie pewnego malarza. Rano pojechałam do Del po Leo. I znowu się zaczęło. Bo Del zna mnie jak nikt.

- Nie zrobiłaś tego!

- Zrobiłam.

- Rany! Nie do wiary! Jakie to erotyczne. Jakie romantyczne. - Zniżyła głos. - Spałaś z nim?

- Del!

- Jezu, Lu, nie bądź taka święta! I jak, dobry jest?

- Del!

- Jako malarz, idiotko! Sprawnie posługuje się pędzlem? Oj, moja droga, naprawdę myślisz tylko o jednym... (grozi mi palcem i przez chwilę rozkoszuje się moim rumieńcem. Więc jaki jest? Zawsze chciałam mieć w rodzinie artystę. Zostaniesz na obiedzie? A propos, za tydzień Ben chce zaprosić wszystkich stażystów, więc będzie impreza. Bez grillu i, mam nadzieję, medycznych dyskusji, ale nie odmówisz mi siostrzanego wsparcia? Jak chcesz, przyprowadź Stefana. To znaczy koniec z nie go przyprowadź.

Usiłuję sobie wyobrazić mojego wspaniałego, wrażliwego Stefana wśród rubasznych lekarzy, kolegów Bena - i nie mogę Och, chciałabym wszystkim go pokazać, chciałabym się nim chwalić, lecz jakaś część mnie chce go ukryć, zachować tylko dla siebie, jak cennego, pięknego motyla. Jest taki delikatny, tak łatwo go urazić. Może po prostu powiem, że nie mogę przyjść?

- Nie będę ci potrzebna.

- Ależ owszem. Zresztą będziecie się setnie bawić. I ty, i on.

Poniedziałek, 30 kwietnia

Na pewno kiedyś polubię sztukę abstrakcyjną. Przecież to nie takie trudne. Na pewno w końcu mi się uda. Zwłaszcza że jedyną przeszkodą między mną a bogactwem treści sztuki abstrakcyjnej jest mój ograniczony umysł, przez lata tresowany odmianą francuskich czasowników nieregularnych. No i marnowanie czasu na koszmarnie nudne rutynowe czynności, jak zakupy i prasowanie. Moja wina. Za mało czasu poświęcałam na myślenie, dywagacje, refleksje. Ale od dziś będę się bardziej starała.

Nie mam też pojęcia o bojlerach. Co gorsza, nie mam ochoty czeokolwiek się dowiadywać na ich temat. Systemy grzewcze? Są. I dobrze. Raz do roku przychodzi facet, spisuje stan licznika, pije herbatę i sobie idzie. A ciepło dalej płynie. O, i jeszcze czasami cieknie kaloryfer. Co prawda bojler JDL to nie ta liga co mój domowy kaloryfer. To sprzęt przemysłowy, instalowany w hotelach, szpitalach, biurach. Wiem z kolorowej broszurki, którą Lily mi podesłała na tydzień przed tym, jak zaczęłam pracę. Ale mimo wszystko urządzenia grzewcze nie budzą we mnie żywszych emocji.

A może jestem wyniosła i przemądrzała? W końcu są bojlerki i bojlerki. Nie powinnam zakładać, że sama idea bojlera i w ogóle instalacji grzewczych jest pozbawiona wszelkiego liryzmu, prawda? Joe Delaney chyba je lubi. Ale z drugiej strony, wyczuwam w nim kulturowego analfabetę.

Siedzę za biurkiem, gapię się na formularz i głowię się, czy dziwaczne sformułowania to kwestia specyfiki języka systemów grzewczych, czy luki w moim francuskim. Do tego stopnia pochłonęły mnie ciepłownicze problemy lingwistyczne, że kiedy zadzwonił telefon, odezwałam się po francusku.

Dzwonił mechanik. W związku z formalnościami dotyczącymi resztek mojego samochodu. I z pytaniem, co zrobić z laptopem Joego, który co prawda nie działa, ale czeka na jego biurku. Nie znam się na komputerach, więc powiedziałam, że do niego oddzwonimy.

- O, przy okazji - przypomniałam sobie. - Nie znalazł pan przypadkiem kart z pokemonami?

- Słucham?

- Dzwoniłam wczoraj. Pytałam, czy nikt nie znalazł kart z pokemonami. Mojego syna.

Chwila ciszy.

- Jakich kart?

- Z pokemonami.

Cisza.

- Chyba nie wiem, o co pani chodzi. Czy to jakieś karty kredytowe?

- Nie. Karty z pokemonami. Na pewno pan o nich słyszał. Jest taka kreskówka. Gra komputerowa. A także...

- Czyli mam szukać gry komputerowej?

- Nie, tylko kart. Takich jak do gry. Były w schowku, Koło trzydziestu.

- Karty, tak? Chwileczkę. Zapiszę. Karty z pokemonami. Pani jeszcze poczeka?

- Tak, tak.

- Dobra. Moment.

Iona przemknęła z naręczem dokumentów.

- A, tu jesteś - mruknęła, jakby spodziewała się mnie na drugim końcu świata. - Joe cię potrzebuje. Przy telefonie. Szybko. - Pognała korytarzem, nucąc pod nosem *Sex bomb*.

- Zaraz przyjdę! - zawołałam za nią. - Rozmawiam z mechanikiem o moim samochodzie. Poszedł szukać kart z pokemonami.

Wróciła.

- Czego?

- Kart z pokemonami.

- Co to takiego?

- No, karty z pokemonami. Taka kreskówka. I gra, i... - Umilkłam. To bez sensu.

- Lu!

- Już idę! - wrzasnęłam.

W telefonie dziwne odgłosy, to nic, poczekam jeszcze chwilę.

- Lu! Idziesz?

- Chwila!

Dalsze łomoty. A potem pisk. I cisza. I głos:

- Halo?

- Jestem, jestem. I co?

- Nic z tego. Znaleźliśmy cukierki mleczne, książkę, zaraz, spojrzę, *Na zakręcie*, żadnych poke... coś tam.

Będę musiała wydać fortunę w najbliższym sklepie z zabawkami. Odłożyłam słuchawkę i przesłałam do drugiego aparatu. Joe siedział przy telefonie i notował coś szybko.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - mruknął.

- Cześć - zaczęłam grzecznie, kiedy wreszcie skończył rozmowę. - Chciałeś mnie widzieć?

Pisał dalej. Trzydzieści sekund. Trzydzieści znaczących sekund, o ile się nie myłę.

- A, Lu - podniósł głowę. - Jak dobrze, że wreszcie znalazłaś dla mnie chwilę. Amiens.

W czwartek. Możesz?

- Amiens?

- Amiens.

- We Francji?

Odłożył długopis.

- No oczywiście, że we Francji. A znasz inne Amiens? Hotel sieci Luxotel, dokładnie mówiąc. Mam tam ważne spotkanie. Wrócimy w piątek. Możesz?

Gapiałam się z głupią miną.

- Jak to... jechać do Francji? Z tobą?

Kiwnął głową.

- Możesz?

- Chcesz, żebym cię zawiozła do Francji?

Chyba zaczęło go to nudzić.

- Tak, Lu, chcę, żebyś mnie zawiozła do Francji. Samochodem, rozumiesz? - Udał, że rusza kierownicą.

- W czwartek?

Wziął do ust gumę z nikotyną.

- W czwartek, czyli ten dzień po środzie. Tak. Możesz?

- Cóż, ja...

- Świetnie. Zarezerwuję hotel i przejazd tunelem. Gdzieś koło południa, co?

- Ale... ja nie mogę tak po prostu jechać do Francji. Co z Leo?

- No tak, rzeczywiście. Wiem! Weź go ze sobą.

- Nie mogę. A szkoła?

Sięgnął po długopis.

- Nie pomyślałem. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Nie może przenocować u twojej siostry?

- To... no, nie wiem... Nie mogę od niej wymagać, żeby...

- Ale chyba się zgodzi, co? Zapytaj ją.

- Nie mogę go tak podzucać...

Obruszył się.

- Nie chcę, żebyś go podzucała, Lu. Zaproponowałem tylko, że mógłby przenocować u Del. Tylko tyle.

- Tak, ale nie o to chodzi. To nie w porządku wobec...

Przewrócił oczami.

- Lu, zadzwoń do niej, dobrze?

- To cudnie, Lu! - wrzasnęła, gdy powiedziałam jej o nieoczekiwanej ekspedycji francuskiej. - Wiesz, że zawsze chętnie zajmę się Leo. To wspaniale! Jezu, twoje życie się coraz ciekawsze! I najwyższy czas, tyle ci powiem. Lu, ile ja bym dała... Wiem! To jest myśl!

- Jaka myśl?

- Zrobisz mi zakupy! Zatrzymacie się przy hipermarkecie, prawda? Dam ci listę. W czwartek, mówisz? Super!

A więc załatwione.

- A tak przy okazji, pamiętasz o sobocie? Ze Stefanem, ma się rozumieć. Temat - lata szkolne.

- Słucham?

- Motyw przewodni wieczoru. Wiesz - białe podkolanówki, spodenki gimnastyczne, warkoczyki i tak dalej. Na pewno coś wymyślisz. No, muszę lecieć.

O Boże.

Czwartek, 3 maja

No, dobra. Jesteśmy na miejscu.

Przejechaliśmy te trzysta kilometrów do Folkestone, potem przez tunel i już Francja. Było nawet przyjemnie, czego się zupełnie nie spodziewałam. Tyle miałam wątpliwości co do tej podróży, a tu proszę, podobała mi się zarówno przejażdżka tym monstrem na czterech kołach, jak i perspektywa noclegu w hotelu. Nie byłam we Francji od pogrzebu babci. A w podróż bez syna wypuściłam się ostatnio, zanim Leo przyszedł na świat. Przyjechaliśmy na miejsce późnym popołudniem. Byłam trochę zmęczona, ale też przyjemnie podekscytowana, jak zawsze na początku wakacji.

Oczywiście nie bez znaczenia pozostaje tu fakt, że przez większą część podróży Joe powstrzymywał się od złośliwych uwag, pomruków i komentarzy. Siedział z tyłu i w skupieniu stukał w klawiaturę nowego laptopa. Ograniczał się do cichych mruknięć i przekleństw, które zresztą kierował do siebie. Czasami zachnął się głośniej, ale nie zwracałam na niego uwagi - przecież nie do mnie mówił - i ze spokojnym sumieniem podziwiałam widoki.

Widok monsieur Deschamps na wysokim barowym stołku był o wiele mniej przyjemny. Ześlizgnął się z niego, ledwie weszliśmy, i przywitał się z nami (zwłaszcza ze mną), jakbyśmy byli ukochanymi krewnymi, którzy, o dziwo, wrócili cali i zdrowi z ekspedycji na Saharę czy z serca amazońskiej dżungli.

- Dotarliście prędko! - oznajmił z uśmiechem i klasnął głośno. Nie wymówił poprawnie żadnego „r”. Do tego dodał trzy cmoknięcia w policzek. Na moje szczęście panów czekała poważna rozmowa o termach, więc miałam kilka godzin spokoju i samotności.

- Za to później - podkreślił Joe - powinnaś do nas dołączyć. Zapraszam Jean - Paula i Claude'a na kolację. Co ty na to?

Monsieur Deschamps znacząco uniósł brew.

W odpowiedzi zmarszczyłam czoło.

- Sama nie wiem - wahałam się. - To był męczący dzień...

- Nalegam - wtrącił oślizgły Francuz. - Nie możemy pozwolić, żeby mademoiselle Fisher nie poznała uroków naszego miasta.

- Zobaczymy. - Joe chyba dostrzegł moją minę. - Zrobisz, jak zechcesz.

Było za ciepło, żeby siedzieć w pokoju, nawet późnym wieczorem, więc po samotnej

kolacji w pustawej restauracji hotelowej zabrałam mój ostatni nabytek - książkę o sztuce dwudziestego wieku, i poszłam na taras. Nie omieszkałam przedtem zamówić dużej brandy, która, jak mi podpowiadał umysł, nieco już zamroczony po pół butelce wina, pomoże mi zasnąć.

Hotel, dla wygody znużonych podróżnych usytuowany blisko autostrady, składał się z wielu mniejszych budynków. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, młode słoneczniki leciutko kołysały się na tle jasnych ścian. Wsadziłam nos w książkę i już wkrótce moją uwagę całkowicie pochłonęli postminimaliści i Fluxus. Co, przyznaję ze wstydem, nie oznacza wcale, że moja wiedza na ich temat powiększyła się znacząco.

- Aha! A cóż takiego czytamy, Lucienne?

Do tego stopnia oderwałam się od rzeczywistości, że podskoczyłam nerwowo, słysząc męski głos za plecami. Mówił po francusku, więc pomyślałam, że to kelner. Idiotka, jego woda kolońska (nuta głowy: testosteron, nuta serca: stara popielniczka) powinna była wzbudzić moją czujność. Odwróciłam się i zobaczyłam monsieur Deschamps - najwyraźniej już wrócili z miasta, on jednak nadal był w szampańskim humorze. Joe i monsieur Dumas zamawiali drinki przy barze. Deschamps zaciągnął się papierosem i przysiadł koło mnie.

- Och. - Zamknęłam książkę. - To o sztuce. O...

- Mhm - mruknął, ale nie raczył nawet zerknąć na okładkę. - I taka ciekawa, że nie mogłaś się od niej oderwać ani na chwilę? Byłem bardzo, bardzo rozczarowany. - Zaciągnął się jeszcze mocniej i spowił nas oboje obłokiem cuchnącego dymu. Zdusił niedopałek w popielniczce. - Dlaczego z nami nie poszłaś?

Wstałam.

- Miałam za sobą długą drogę. Byłam zmęczona i...

- Zmęczona, ale jeszcze nie śpisz - zerknął na Joego, który szedł do nas z pękatym kieliszkiem brandy. I szczyrzył zęby, drań. - Nie dopiłaś jeszcze koniaku, zostaniesz z nami. Joe! Znalazłem twoją asystentkę - krzyknął, przechodząc na angielski. - Chodź tu, namów ją, żeby została trochę dłużej. Niech upiększy nasze smutne, szare życie!

Monsieur Dumas też podszedł i powiedział coś, czego nie dosłyszałam, ale zdaje mi się, że dotarło do mnie słowo „pyton”. Sądząc po męskim rubasznym rechocie wszystkich trzech, było to nawiązanie do ich dzisiejszych przeżyć. Założyłam sweterek, zapięłam się pod samą szyję.

- Bardzo mi przykro - jednym haustem wypięłam całą brandy - ale naprawdę padam z nóg. Do zobaczenia rano. Dobranoc.

Ale nie wróciłam do pokoju. Kiedy wyszłam z restauracji (i przestałam dławić się,

krztusić, prychać, parskać, wachlować się, ocierać łzy i przypominać sobie, nie wiem czy prawdziwe informacje, że zdrowy jak ryba szczur umiera po spożyciu łyżeczki czystego alkoholu), uznałam, że świetnie mi zrobi energiczna przechadzka na świeżym powietrzu. Znalazłam wąską ścieżkę. Wiła się wśród jaskrawo oświetlonych krzewów, aż doprowadziła mnie na tyły hotelu, do sporego ogrodu. Z góry, z tarasu restauracji dobiegły stłumione głosy, ale nie można było mnie stamtąd zobaczyć.

Basen, otoczony leżakami i parasolami w pogodne biało - żółte pasy, kusił gładkim błękitem, woda wyglądała jak rozpuszczona niebieska czekolada. Zdjęłam sweterek, powoli, ostrożnie przedarłam się przez rzędy leżaków, zdjęłam sandał i sprawdziłam czubkiem stopy temperaturę wody. Aż mnie zatrzęsło, taka była zimna. Zdjęłam drugi but, usiadłam na brzegu i zanurzyłam obie nogi prawie po kolana. Fale rozchodziły się, zwinne i szybkie jak srebrzyste węgorze. Sięgnęłam po książkę, ale było za ciemno, żeby czytać, więc siedziałam sobie i rozmyślałam o Stefanie. Ostatnio bardzo często mi się to zdarzało. Odkąd poszliśmy do łóżka, wspomnienie jego klatki piersiowej pojawiało się w najmniej odpowiednich momentach. I jeszcze miękkość jego włosów, jak niesformnie rozsypywały się na ramionach, i dotyk jego szorstkich dłoni na mojej skórze... lekko podcięta, zapatrzona w blask księżyca, bawiłam się naprawdę świetnie.

No właśnie, bawiłam. Czas przeszedł.

- Cześć. - Tym razem głos był miękki, cichy, niemal szept. Joe. Trzymał kieliszek w ręce w gipsie. - Cicho, bo nas usłyszą - podniósł palec do ust. - Co robisz?

Wyrwana z grzesznych marzeń, wyjęłam stopę z wody i patrzyłam, jak srebrne krople wpadają do basenu.

- A jak myślisz?

- No, mówiłaś, że idziesz spać. - Podał mi kieliszek, żebym pottrzymała, po czym z trudem usiadł obok mnie na obramowaniu basenu i zabrał się do rozwiązywania prawego buta. Przestałam machać nogami. Może nie wypada? Joe postanowił dotrzymać mi towarzystwa, a ja wcale nie była przekonana, czy mi się to podoba. Abstrahując od faktu, że bardzo dobrze było mi samej, nie bardzo podobała mi się myśl, że będę w tak intymnej sytuacji z własnym szefem, i to w dodatku z szefem na bosaka. Zaraz przypomniały mi się piękne opalone stopy Stefana. Stopy Joego okażą się na pewno blade, z odciskami i do tego śmierdzące. Co więcej, podejrzewałam, że panowie planu - ją wykręcić mi jakiś paskudny numer, może lada chwila z krzaków wyskoczy Jean - Paul Deschamps w skórzanych slipkach? Ale nie, wszystko w porządku, słyszałam obydwu Francuzów na tarasie nad nami. I dlatego nie ruszyłam się z miejsca. Było mi dobrze. Byłam odprężona. Nie chciało mi się iść.

Jeśli Joe chce, niech sobie tu posiedzi.

- Jest za gorąco, żeby spać - powiedziałam. - Zresztą i tak bym nie zasnęła. Nie przywykłam do takiej beczynności.

Nadal mocował się z butami.

- Szkoda, że z nami nie poszłaś. Spodobałoby ci się.

- Daj spokój - przewróciłam oczami i wskazałam na taras.

- Jean - Paul? Och, nie zwracaj na niego uwagi. Znam go od lat. Ma żonę i pięcioro dzieci.

- I to wszystko zmienia, tak? Jest obleśny.

- Wiesz, o co mi chodzi. Leci na ciebie, nie przeczę, ale nic nie robi. Posłuchaj, czy mogłabyś mi pomóc?

Zdjął już buty i skarpetki (notabene, ozdobione miniaturowymi wizerunkami Homera Simpsona - czyżby prezent od Angharad?) i usiłował, jedną ręką, podciągnąć spodnie. Nie najlepiej mu to szło. Niechętnie odstawiłam kieliszek, pochyliłam się i podwinęłam pierwszą nogawkę. Miał ciemne, gęste włosy na nogach. A stopy owszem, blade - wszak, w przeciwieństwie do Stefana, nie bardzo może chodzić do pracy w sandałach i szortach - ale, o dziwo, zadbane i wcale nie obrzydliwe. Zatrzymałam się nagle - nie chciałam pognieść kantów.

- Jak daleko mam się posunąć?

Wyszczerzył się w uśmiechu, zęby błysnęły w świetle księżyca.

- Ho, ho! Czyżby nadszedł mój szczęśliwy dzień? Ale nie zapominaj, że jestem biednym bezradnym inwalidą, więc bądź ostrożna, dobrze?

- Cha, cha, cha - prychnęłam i przerwałam w połowie łydki. Nie zwrócił na to uwagi, ostrożnie wsunął stopy do wody. Moje wydawały się przy jego różowe i małe.

- Dziękuję. Och, jak dobrze - mruknął. - Szkoda, że nie zabraliśmy kostiumów kąpielowych, co?

Oparłam się łokciach i dalej machałam nogami w zimnej wodzie. Nie, za bardzo kręciło mi się w głowie. Wyprostowałam się szybko.

- Przecież ty i tak nie możesz się kąpać - zauważyłam. - Nie z gipsem.

- Racja - westchnął. - Zaraz poszedłbym na dno. Jezu, ale gorąco jak na maj, co? Nie masz ochoty się wykapać, tak od razu, w czym stoisz?

Miałam. Czułam, że mam też wypieki. Zamoczyłam rękę i przetałam rozpalone czoło.

- Chyba już pójdę - odezwałam się. - Jutro musimy rano wstać.

Zmarszczył czoło. Blizna, już bez szwów, wygięła się na policzku. Byłam ciekawa, ile

potrwa, zanim zblednie.

- Nie idź - poprosił. - Nie ma jeszcze jedenastej. Proszę - szukał czegoś w kieszeni koszuli - zjedz gumę z nikotyną.

Wydawał się taki szczery, że nagle zrobiło mi się go żal. Chyba, wbrew pozorom, jest bardzo samotny. Biuro, termy i raz w tygodniu Angharad. Pokręciłam przecząco głową, wyjęłam stopy z wody, żeby przeschły, ale nie wstałam.

- Jak wytrzymujesz? Pewnie trudno, zwłaszcza kiedy ci dwaj odpalają jednego gitana od drugiego.

- To już dziesięć dni. - Wyjął paczkę gum z kieszeni, ale zmienił zdanie i sięgnął po koniak. - Uda mi się. Choć niewykluczone, że w międzyczasie popełnię morderstwo. Albo sam padnę ofiarą - roześmiał się po chwili. - Wiem, że chwilowo trudno ze mną wytrzymać. Jeśli ty mi darujesz - zerknął na mnie kątem oka - wykończy mnie Iona.

Upił łyk i podał mi kieliszek, a ja automatycznie podniosłam go do ust i pociągnęłam spory haust, zanim skonsultowałam się z mózgiem. Pokręciłam głową.

- Iona jest kochana.

- Kochana? To potwór. Ależ ona mnie gnębi.

- Gnębi cię?

- Żebym pamiętał, gdzie moje miejsce. Chyba uważa, że trzeba mnie krótko trzymać. - Uśmiechnął się. - Zwłaszcza że w domu już nikt nie skraca mi smyczy.

Niedługo się wahałam.

- Od dawna jesteś rozwiedziony?

- Od pięciu lat. A ty?

- Ja? Nie jestem rozwódką.

- A Leo?

Pokręciłam przecząco głową.

- Nie wyszłam za jego ojca. Mniej więcej w tym samym czasie okazało się, że ja jestem w ciąży, a on ma inną. Więc... no, uznałam, że nie ma sensu mu mówić.

- Aha. Więc go rzuciłaś?

- Tak.

- I nic mu nie powiedziałaś?

- Nic. - Zapadła cisza. Mogłabym jeszcze powiedzieć, że postąpiłam rozsądnie, rozstając się z ojcem Leo na samym początku i że dzięki temu ja i Leo uniknęliśmy losu Rhiannon i Angharad. Ale powiedziałam tylko: - Masz coś przeciwko?

- Nie - odparł spokojnie, ale nie byłam pewna, czy szczerze. Przechylił głowę, żeby na

mnie spojrzeć. - Co Leo wie o ojcu?

- Poza tym, że to sukinsyn? - Machnęłam ręką. Joe spojrział na mnie ostro. - Nie, nie, tego akurat nie wie. No, nie wie wszystkiego - przyznałam. - Jeszcze nie. Po prostu mam nadzieję, że kiedy przyjdzie czas na tę rozmowę, będę wiedziała, co i w jaki sposób mu powiedzieć. Rozumiesz?

Skinął głową w milczeniu. Zapatrzona w barwy w kieliszku, zorientowałam się nagle, że znowu moczę nogi w wodzie.

- Właściwie to bez znaczenia. Cokolwiek bym powiedziała Leo i tak nie ma ojca. I nic nie mogę na to poradzić.

Milczał przez chwilę. A potem się roześmiał.

- Co cię tak ubawiło?

- Po prostu pomyślałem sobie...

- Co?

- Rhiannon ma dokładnie odwrotny problem. Dla niej najgorsze jest to, że Angharad ma ojca.

- Na pewno nie.

- Och, nie, jeśli chodzi o pieniądze, to nie. Ale chyba wolałaby, żeby mnie nie było. Psuję jej starannie wyreżyserowany wizerunek ofiary. Ofiary! Akurat! Ale wiesz co? - Odchylił głowę do tyłu, zapatrzył się w gwiazdy. - Mam to w nosie!

Też spojrzałam w górę. Miliardy gwiazd. Takie wielkie niebo, a my tacy mali. Niewiarygodne, prawda? Księżyc mrugał twierdząco.

- Tak - usłyszałam swój głos. - Ja też mam wszystko w nosie. Niech się bujają, oboje!

Słowa, które jeszcze przed chwilą wydawały się takie mądre i właściwe, zawisły złowieszczo w ciepłym wiosennym powietrzu. Czerwona ze wstydu, zerknęłam ukradkiem. Joe patrzył na mnie uważnie. Pociągnęłam spory haust brandy i zaczęłam się tłumaczyć.

- To znaczy, kiedy powiedziałam, żeby się bujali, nie miałam przy tym na myśli Rhiannon, to jest twojej byłej żony. To znaczy, rzeczywiście myślałam o Patri... o ojcu Leo, tak, ale nie o niej. Przecież wcale jej nie znam. Na pewno jest bardzo miła i w ogóle... nie mam prawa snuć przypuszczeń na temat jej czy waszego małżeństwa, czy... czy czegokolwiek. Mówiłam ogólnie, no, chciałam wyrazić, podkreślić naszą solidarność i...

Właściwie nie wiem, czemu zapragnęłam podkreślać moją z nim solidarność. Bo przecież to raczej z Rhiannon powinnam się solidaryzować, prawda? W każdym razie teatralnie wymachiwałam brandy. Joe uśmiechnął się i wyciągnął rękę po kieliszek.

- Nie przejmuj się - mruknął. - Wal śmiało.

Zacisnęłam usta. Patrzyłam w wodę i nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam na sobie jego wzrok. Spojrzałam na niego. Był jakiś taki rozmazany.

- Co? - zapytałam.

- Co „co”?

- Co się gapisz?

- Na ciebie. - Uśmiechnął się szerzej. I gapił się dalej.

- Aha - stwierdziłam. - A dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Bo nie chcę.

- A ją chcę i się gapię.

- Nie.

- No, niestety tak.

- Nieładnie się tak gapić.

- Wcale się nie gapię, tylko patrzę. To nie to samo.

- A właśnie że tak.

- Nie. Masz ładną twarz i sobie na nią patrzę. - Wyjął jedną nogę z wody i oparł się na kolanie, żeby mnie lepiej widzieć. Jakby dla podkreślenia swoich słów.

- Czy... - odstawił kieliszek - masz coś przeciwko?

Na szczęście nie musiałam udzielać mu odpowiedzi, bo nagle syknął:

- Jezu! Co to było, do cholery?

Podskoczyłam nerwowo:

- Co?

Wyjął z wody drugą nogę, machając nią przy tym wściekle..

- Przepraszam, ale... cholera! Co to jest! Jezu, Lu, spójrz! Tam!

Spojrzałam i na wszelki wypadek podkuliłam nogi pod siebie. Słyszałam plusk wody, ale nic nie widziałam.

- Boże drogi! - jęknął. - To szczur! Popatrz!

Rzeczywiście, w wodzie niedaleko nas szamotał się histerycznie niewielki niewyraźny kształt. Podkasałam spódnicę i uklękłam.

- To nie szczur - orzekłam. - Ma za krótki ogon. To mysz polna.

- Chyba jakaś gigantyczna! Jezu! Płynie na nas! - Cofnął się o pół metra. Zwierzak chyba wyczuwał naszą obecność, szamotał się coraz bardziej rozpaczliwie. Rozejrzałam się za pustym kieliszkiem. - Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął.

Roześmiałam się.

- Bawię się w ratowniczkę.

- Co? Czy twoim zdaniem ten potwór wygląda, jakby potrzebował pomocy? Boże, co za pomysł! Chyba mnie ugryzł! - Uważnie oglądał swoją łydkę. - Na pewno ma wściekłość.

- Ale z ciebie mięczak! - Z uśmiechem zanurzyłam kieliszek w wodzie. Obramowanie basenu było wysokie i gładkie, zwierzak nie wyszedłby sam. Wymyśliłam więc, że zganić go kieliszkiem i dociągnę do brzegu. Już prawie mi się udało, ale mysz nagle wysmyknęła się z kieliszka i uciekła. Pewnie na widok przerażonej miny Joego.

- Jezu! Fuj! Zostaw to! - syknął.

Spojrzałam na niego groźnie.

- Nie mogę. Utopi się.

- No to niech się topi! Jeśli była taka durna, że wpadła do basenu, jej problem.

- Nie wpadła, głupolu. Myszy umieją pływać. Ale w basenie nie znajdzie nic do jedzenia i sama się nie wydostanie. - Uparcie starałam się wyłowić stworzonko kieliszkiem. - Zresztą, niby skąd mysz ma wiedzieć, czy to basen, czy strumień? No, mam cię! - Szybko wyjęłam kieliszek i wylałam jego zawartość, w tym przerażoną myszkę, na ziemię. Myszka przez chwilę wiała się na grzbiecie, ale zaraz stanęła na łapki i błyskawicznie zniknęła w ciemnościach. Po drodze o mały włos nie' nadepnęła Joemu na stopę.

- Fuj - prychnął. - I przestań tak rechotać. Gdyby to ciebie ugryzła, nie byłoby ci tak wesoło.

Przysiadłam na piętach i uśmiechnęłam się szeroko.

- Daj spokój, na pewno cię nie ugryzła.

- A właśnie że tak.

- Gdzie?

Wysunął nogę. Obejrzałam ją dokładnie.

- Bzdura. Ani śladu. Pewnie się tylko otarła o twoją łydkę. Ale z ciebie mięczak.

- Ha! Teraz tak mówisz, ale poczekaj. - Pogroził mi palcem. - Teraz ten potwór jest tam - wskazał otaczającą nas ciemność. - Nie będzie ci do śmiechu, kiedy nagle wleci ci pod spódnice.

Pokręciłam tylko głową. Był taki zabawny. Śmiałam się i śmiałam, aż przyszedł czas wstać, a wtedy okazało się, że jakoś tak, pod moją niewagę, usunięto mi kości z nóg. Zachwiałam się, oparłam na leżaku i ciężko na niego opadłam.

- Ha! - triumfował Joe! - Ha!

Sięgnęłam po sandały.

- No co „ha”, ty tchórze? Podaj mi książkę, dobrze?

Ledwie to zrobił, zgasły wszystkie światła. Odwrócił się.

- Bomba. Pewnie wyłączają się o określonej godzinie. Ale nie martw się, kiedy się ruszymy, zapalą się światła bezpieczeństwa.

Wsunęłam stopy w sandały i podniosłam z ziemi sweter. Joe sięgnął po swoje buty i skarpety.

Znacząco spojrzałam w ciemność.

- Pomóc ci je włożyć?

Chyba wyczuł kpinę w moim głosie, bo zdecydował dzielnie:

- Nie trzeba, poradzę sobie na bosaka, dziękuję ci bardzo.

Wsunął sobie buty pod pachę, przytrzymał je gipsem i tak wyruszyliśmy przez nieprzeniknioną ciemność, jako że światła nie miały najmniejszego zamiaru się zapalić. O Boże, moja głowa! Moja głowa! Do tej pory sądziłam naiwnie, że kiedy zajdzie taka potrzeba, odzyskam jasność myślenia. Teraz przekonałam się, że były to tylko złudzenia. Za moimi plecami Joe stękał, mruczał i prychał, co mogło oznaczać dwie rzeczy albo jest w takim samym stanie jak ja, albo zaatakowało go stado rozwścieczonych gryzoni.

- Boże, upiłam się - jęknęłam. Nagle do mnie dotarło, że już dawno nie skonsumowałam takich ilości alkoholu. - To wszystko przez ciebie. Masz na mnie zły wpływ, słyszysz? Ledwo trzymam się na nogach.

- Przeze mnie? Akurat! Już byłaś podcięta, kiedy przyszedłem! A ja jestem trzeźwy jak... au! Jezu! Cholera! Kurczę, kopnąłem się w palec!

Złapał mnie za ramię, żeby nie upaść, a ja tymczasem usunęłam kolejny leżak z drogi.

- Ha! - triumfowałam. - Trzeźwy, akurat.

Jęknął głośno i dalej masował bolącą stopę.

- Nie jestem pijany, Lu, po prostu mam zachwiania równowagi. Rany, ale boli. Ej, uważaj trochę, co? Zaraz nas wywalisz.

- Ja?

- No. - Zacisnął mi dłoń na ramieniu i tak przedzieraliśmy się razem w stronę wąskiej ścieżki. - Właściwie dokąd mnie prowadzisz? Na polowanie na myszy? A może na inspekcję hotelowych rur?

- Nie odróżniam rur od rynien. Wracamy do hotelu, ma się rozumieć. Tędy.

- Au! Lu, czy nie prościej byłoby wrócić przez taras?

- Może i tak, ale wtedy wleźlibyśmy na monsieur Deschamps, prawda?

- I co z tego?

- Przecież już z godzinę temu powiedziałam mu, że idę spać! Uważaj, ten krzak ma

kolce.

- Au! Dzięki, już zauważyłem. I co z tego? Myślisz, że rzuci się jak zwierz, zerwie z ciebie ubranie i zgwałci, nucąc *Marsylianke*?

Chyba uznałam to za szalenie zabawne, bo zorientowałam się nagle, że chichoczę na całe gardło.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale ty nie lubisz myszy, a ja oślizgłych padalców, jasne? Jest strasznie obleśny. Znam się na tym, uwierz mi. Zresztą... Au! Uważaj na kamienie! Już prawie jesteśmy na miejscu.

Rzeczywiście, przed nami widniał mniej interesujący krajobrazowo, za to o wiele bezpieczniejszy parking. Neon nad hotelem roztaczał dziwny zielonkawy blask.

- Widzisz? - Ciągnęłam go coraz szybciej. - Proszę bardzo, jesteś cały, zdrowy i z dala od myszy.

- Rzeczywiście. Witaj, cywilizacjo! Ale poczekaj...

Zatrzymałam się. Nadal trzymał mnie za ramię.

- Co?

- Czy miałabyś coś przeciwko temu... to znaczy gdybym...

- Gdybyś co?

- Gdybym...

I wtedy mnie pocałował. Namiętnie. Prosto w usta.

W głowie nagle przestało mi się kręcić. Przez dłuższą chwilę przyglądałam mu się ze zdumieniem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Uśmiechnął się.

- Och. Więc jednak miałaś coś przeciwko temu?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ba, nie wiedziałam nawet, co o tym myśleć.

- Ja... hm... tak. Tak, chyba tak.

Puścił mnie. Spoważniał.

- Och - powtórzył. - W takim razie przepraszam. Myślałem, że...

Pokręciłam głową, zupełnie zbita z tropu.

- Chyba... - zaczęłam, ale mój mózg odmówił dalszej współpracy, więc odwróciłam się i bez słowa pobiegłam do hotelu.

Piątek, 4 maja

Nie zeszłam na śniadanie. Dopiero o trzeciej karuzela w mojej głowie zwolniła na tyle,

że odważyłam się porzucić pozycję horyzontalną, a zanim mój umysł uporał się jako tako z mozolnym odtwarzaniem zdarzeń wieczoru, dochodziła czwarta. Rano miałam towarzyszyć Joemu podczas ważnej inspekcji, ale kiedy w końcu zwlokłam się do recepcji, okazało się, że już po wszystkim. I Joe, i jego bagaż czekali w holu. Towarzyszył mu niski grubas w niebieskim kombinezonie i z plikiem dokumentów. Joe, wypoczęty, rześki i gotów wiosłować w górę Amazonki, gdyby zaszła taka potrzeba, przywołał mnie gestem i dokonał prezentacji.

Monsieur Barbusse, jak się okazało, był kierownikiem gospodarczym hotelu. To z nim będę się kontaktowała telefonicznie. Porozmawialiśmy chwilę i oddalił się do swoich rur i pokręteł.

Joe powoli składał dokumenty.

- Zjesz coś? A może kawy?

Usiadłam ciężko.

- Wody.

Roześmiał się.

- Ha! Na to już za późno!

Skinął na kelnera. Upiłam ostrożny łyk. Kiedy spałam, mój żołądek padł chyba ofiarą stada słońi.

- Kac po koniaku jest okropny - stwierdził poważnie.

Podniosłam na niego wzrok.

- Po tobie tego nie widać.

- Moja wątroba wiele już przeszła.

- Czemu mnie nie obudziłeś?

Poklepał mnie po ramieniu i zamknął aktówkę.

- A twoja najwyraźniej wyszła z wprawy. W związku z tym postanowiłem być dżentelmenem i dać ci pospać.

Wyszliśmy z hotelu przed jedenastą i wyruszyliśmy w długą drogę powrotną do Calais, na prom. Mój żołądek się uspokoił, za to mózg pracował na najniższych obrotach. Na szczęście autostrada była niemal pusta i jaguar mknął szybko i spokojnie w stronę domu.

Joe, z powrotem na przednim siedzeniu, był w świetnym humorze. Jeśli wierzyć jego słowom, przyszły rok, przynajmniej pod kątem term i bojlerów, zapowiada się rewelacyjnie: Luxo - tel był największym partnerem JDL, a monsieur Deschamps podobno zapowiedział budowę kolejnego hotelu.

- Wspaniale, bo dzięki temu będę mógł zatrudnić na etat dwóch chłopaków, którzy

dotychczas pracowali na zlecenie. Świetni fachowcy, nie chciałbym ich stracić. Tak, tak - przeciągnął się. - Bardzo udany wyjazd. Pod każdym względem. - Spojrzał na mnie. - Dobrze się bawiłaś?

Potwierdziłam, przecież jestem dobrze wychowana, ale chyba z mojej miny wyczytał coś innego, bo odchrząknął i odezwał się znowu:

- Posłuchaj... ten wczorajszy wieczór... Pewnie okazałem się zadufanym bucem, ale wydawało mi się... Cóż, sądziłem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Och. Więc jednak poruszył ten temat. A już miałam nadzieję, że tego nie zrobi.

- Byłam pijana - odparłam.

Uśmiechnął się i prychnął cicho.

- Nie do tego stopnia.

- Szkoda, że moja głowa tego nie wiedziała.

- Nie do tego stopnia - powtórzył spokojnie. A potem się roześmiał. - Daj spokój, Lu. Przecież odwzajemniłaś pocałunek.

O Boże. Więc to prawda. Prawda.

Energicznie pokręciłam głową. To był błąd, mózg zatrzęsł się jak galareta.

- Nieprawda.

- Ależ tak. - Uśmiechał się od ucha do ucha. - Oczywiście, że odwzajemniłaś.

Dlaczego? Dlaczego go pocałowałam? I w jaki sposób? Z oporami? Namietnie? Czy - o mój Boże! - czy języki brały w tym udział? Co mnie opętało, na miłość boską? Ale on chyba zdaje sobie sprawę, że... Gapiłam się przed siebie.

- Cóż, nawet jeśli, nie chciałam tego. Po prostu...

- Wiesz, jeśli tak całujesz przez przypadek, zazdroścę temu, którego...

Nie dokończył tego zdania, urwał w połowie i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Pochylił się odrobinę w moją stronę. Czekał. Z nadzieją? O Boże.

- Naprawdę - ucięłam. Najwyraźniej mylnie odbierał moją powściągliwość jako dziewczęce zakłopotanie. Albo po prostu kiepsko kojarzył. Muszę być stanowcza.

- Posłuchaj, przykro mi, ale nie chciałam tego. To znaczy, ja nie... Cóż - zerknęłam na niego. - To była pomyłka, jasne?

Nagle spowaźniał. Odsunął się szybko.

- Przykro mi - odparłam, gdy w końcu do mnie dotarło, że naprawdę spodziewał się innej reakcji. - Ale...

Machnął ręką, żebym dała spokój.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Zrozumiałem aż za dobrze, Lu. Nie wracajmy do

tego więcej.

Dojechałam do Cefn Melin kilka minut po szóstej. Del stała w ogrodzie, podlewała kwiaty. Zatrzymałam się, otworzyłam bagażnik i wysiadłam. Pobieгла do tyłu i ciekawie zajrzała do środka.

- Och! Och, och, och, och! Lu, jesteś cudowna!

- Jaguar, moja droga - zauważyłam, podając jej torby - ma bardzo pojemny bagażnik.

- Och, popatrz tylko! Och! Ile ci wiszę? I zdobyłaś nawet **ser** kminkowy! Och, jak cudownie! Zaraz go zjemy! Jesteśmy gotowi na jutro - poinformowała mnie, taszcząc sześć toreb do kuchni. - Koło wpół do ósmej, dobrze? Nie będziemy siedzieć zbyt długo, bo Ben ma rano tenisa. Leo może u nas przenocować. - Trąciła mnie łokciem w ramię. - Więc możesz zabrać twojego malarza do domu i zrobić z nim, co chcesz. Ha! Ojej, jeszcze jedno: wiem, że trochę późno ci o tym mówię, ale czy mogłabyś zrobić roladę? Błagam! - Otworzyła drzwi kopnięciem i postawiła zakupy na podłodze. - A teraz siadaj i opowiadaj, jak było.

Powiedziałam jej o myszy i o kacu, ale przemilczałam pocałunek. Rozmyślałam o tym przez cały czas podczas zakupów (Joe, który chwilowo się do mnie nie odzywał, czekał w kafejce i rozmawiał przez komórkę), ale jej nie powiedziałam. To do mnie niepodobne, bo zawsze mówię Del o wszystkim. A skoro ten pocałunek był tak mało istotny - a był - czemu go przemilczałam?

Bo mnie zaskoczył. Do tej pory nawet mi przez myśl nie przeszło, że Joe mógłby interesować się mną... hm... romantycznie. Naprawdę. Jemu zresztą chyba też nie. A teraz, kiedy już o tym wiedziałam, nieswojo się przy nim czułam. Obawiałam się nawet - choć to już przesada - że i jemu głupio wobec mnie. Ale chyba robię z igły widły. Znając życie, chciał po prostu skorzystać z okazji. Byliśmy tam razem, wypiliśmy sporo alkoholu, było gorąco i duszno, byliśmy boso. Zbieg okoliczności. I tyle. Ot, przelotny romansik.

Swoją drogą, żeby Joe Delaney bał się myszy!

Sobota, 5 maja

Zresztą, kogo to obchodzi? Kogo to obchodzi? No kogo? Na pewno nie mnie. Miałam pełne ręce roboty. Walczyłam z ubijaczką do białek, robotem kuchennym i z musem cytrynowym do mojej rolady, i wszystko było w porządku. A to najlepszy symptom choroby, która rozwijała się u mnie w zabójczym tempie; zaduraenie w Stefanie. Uwierzcie mi na słowo, jeśli kobieta zabiera się do obrządków na cześć Bogini Domowego Ogniska (pieczenie bułeczek, szycie itp.) z entuzjazmem neofity, coś się święci. O, tak. Ja na przykład zadzwoniłam do Del i zapytałam, czy mam też zrobić rogaliki z nadzieniem orzechowym i babeczki?

Chyba powinnam była się zorientować już dawno, ale w wieku trzydziestu pięciu lat nie myśli się o zaduraeniu. Ja przynajmniej, z tego co mi dotąd było wiadomo, nie zaduraiałam się. Zaduraenie to jedna z tych niewygodnych dolegliwości wieku dorastania, z których się na szczęście wyrasta, prawda? A jednak byłam zadowolona. Co prawda narobiłam straszego bałaganu w kuchni, ale takie zaduraenie to jednak miła odmiana.

Niestety, nawet tak przyjemny stan ma swoje złe strony, a jedną z nich jest bez wątpienia nadmierna uwaga poświęcana każdemu słowu, które padnie z ust obiektu westchnień. Tak więc kiedy Stefan oznajmił, pod koniec wieczoru u Del, że występ w *Kto was tak urządził?* może się okazać całkiem zabawny, złapałam się na tym, że nie tylko się z nim zgadzam, ale zgadzam się entuzjastycznie. Pozwoliłam sobie nawet, Boże bądź miłościw mnie grzesznej, na chwilę fantazji, w której główną rolę odgrywały puszka farby, pędzel, Stefan i ja w stodole Del. Żałosne, ale prawdziwe. Było aż tak źle.

- Och - zaszczebiotałam. - Del ci mówiła?

Siedzieliśmy na murku przed domem, Stefan z piwem w ręku, ja z zachwyconym i (przynaję to szczerze) głupkowatym uśmiechem na twarzy.

Dopiero wtedy mogliśmy porozmawiać, naprawdę porozmawiać, bo odkąd przyszliśmy, nie było na to czasu. Przebrałam się - tylko ja się przebrałam, nie śmiałam proponować tego Stefanowi - za uczennicę, więc przez cały czas przywoływał mnie do porządku surowy dyrektor szkoły, zazwyczaj znany jako mój szwagier Ben. Totalna żenada. Nie wiem, co było gorsze, moja kretyńska spódniczka w kratę i podkolanówki czy fakt, że „pan dyrektor” ciągle mnie strofował. Byłam wściekła na Del. Takich rzeczy nie robi się na pierwszym publicznym występie z nowym facetem. To takie mieszczańskie. Takie... małżeńskie.

Zaledwie kilka razy udało mi się do niego podejść. Poza tym byłam oburzona zachowaniem pewnej lekarki z kliniki Bena, wysokiej jasnowłosej Australijki z kolczykiem w nosie i pierścionkami na kciukach. Przebrała się za pielęgniarkę, mówiła z okropnym australijskim akcentem i rozprawiała o najobrzydliwszych przypadkach medycznych, z jakimi zetknęła się w swojej karierze. A mężczyźni tłoczyli się dokoła niej jak plemniki szturmujące komórkę jajową. Wszyscy oprócz Stefana, który patrzył na to z politowaniem, stwierdził, że idzie na wagary i uciekł do kuchni pomóc Del przy jedzeniu. Nic nie szkodzi, pomyślałam sobie, za kilka godzin wrócimy do mnie, a wtedy będę go miała tylko dla siebie.

Teraz położył mi dłoń na udzie zaborczym gestem. To miłe.

- Mhm - mruknął w szyjkę butelki. - Mówiła. Zawsze mnie intrygowało, co za ludzie godzą się na publiczne upokorzenie na oczach milionów widzów i teraz wiem. Twoja siostra jest dziwna. Bardzo miła, ale dziwna. - Spojrzał znacząco na salon, z którego właśnie wyszliśmy. Goście śmiali się na cały głos. Nie wiedziałam, z czego. I nic mnie to nie obchodziło.

- Och - powtórzyłam, niepewna, jak to rozumieć. Salon obecnie przypominał skrzyżowanie najnowszego katalogu Ikei z muzeum Chitchea Itza. Mnóstwo terakoty i kutego żelaza. Del wyjęła wszystkie uchwyty z szafek i zastąpiła je pordzewiałymi gałkami. Jeśli chodzi o wystrój wnętrza, Del jest niezmordowana; miesiąc temu jej salon był kajutą luksusowego statku, a przedtem wdała się w długi i namiętny romans z wiejskimi projektami Laury Ashley. Następna na liście była sypialnia jej i Bena (obecnie impresja na temat amiszów i Dzikiego Zachodu: mnóstwo drewna i patchworki). A dokonać tej transformacji mieliśmy, tak, tak, Stefan i ja. Co prawda nie rozróżniam farby olejnej od emulsyjnej, ale nagle ogarnęło mnie przyjemne ciepło na tę myśl.

- To w stylu Del. Urządzanie wnętrza - mruknęłam. I zaraz tego pożałowałam. Zrobiłam z niej oszalałą kurę domową. - Ma do tego smykałkę, jest bardzo kreatywna - dodałam. Żeby sobie nie pomyślał, że się wywyższam. Wyszło jeszcze gorzej. - Ale to nie dla mnie. Pewnie dlatego mieszkam w wiecznym bałaganie. Cha, cha.

Nie skorzystał z okazji, by wyśmiać mój absolutny brak uzdolnień dekoratorskich. Powoli nakreślił palcem ósemkę na moim udzie i zapytał:

- A co jest w twoim stylu?

Chyba niedługo później uznaliśmy, że na nas już czas. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, zostawiliśmy jaguara na podjeździe Del i wyruszyliśmy na piechotę - to tylko półtora kilometra. Było na tyle ciepło, że nie wzięłam żakietu. Zresztą ramię Stefana skutecznie ogrzewało mi barki. Przynajmniej chwilami. Bo zachowywał się dziwnie, jakby

nagle ogarnęła go nieśmiałość. Cały czas rozwodził się na temat architektury mijanych ogrodów. W końcu dotarliśmy do skrzyżowania. Na trawniku jest tam wiekowy pień. Kiedy przed kilku laty burza złamała drzewo, radni postanowili ściąć drzewo, ale zostawić pień. Stefan przysiadł na nim i skinął na mnie, żebym podeszła bliżej.

- Tędy? - zapytał. Pochylony, staranie zamykał starą sfatygowaną metalową puszkę, po czym zapalił cienkiego papierosa, którego własnoręcznie skręcił. Nie wiedziałam, że pali. Powiedziałam to na głos.

- Nie tytoń - odparł i wyciągnął w moją stronę cienkiego skręta z rozżarzoną koniuszką. - Chcesz?

Pokręciłam przecząco głową.

- Tędy? - wskazał ścieżkę niknącą wśród drzew.

- Nie, tędy - pokazałam. - Ta prowadzi do lasu.

Zaciągnął się głęboko.

- Ale tamtędy też można dojść do ciebie, prawda?

- Tak, od drugiego końca mojej ulicy.

Wstał, znowu się zaciągnął i wziął mnie za rękę, aż znalazłam się w obłoku słodkawego dymu.

- Więc chodźmy tędy.

- Co? Przez las?

- No chodź, będzie fajnie.

- Moje buty się nie nadają...

Wzruszył ramionami.

- To zdejmij.

- O nie, nie pójdę boso. Masz pojęcie, ile tu psów w okolicy?

- No chodź - mruknął i ruszył przez wilgotną trawę do małej furtki. Nie miałam wyboru, musiałam iść za nim.

Księżyc był niemal idealnie okrągły, a noc tak jasna, że bez większego trudu widziałam ścieżkę. Wzdłuż niej rosły dzwoneczki, anemony i bujne paprocie. Po chwili otulił nas intensywny zapach lasu.

Lasek w Cefn Melin nie różni się zapewne od innych zagajników na przedmieściach; mnóstwo wydeptanych ścieżek w małym zagajniku, ze wszystkich stron otoczonym płotami sąsiednich posesji. Ale kiedy zeszliśmy ze wzgórza, między wysokie drzewa, to gdyby nie ilość pustych puszek i wydeptanej trawy, można by uwierzyć, że znaleźliśmy się w sercu puszczy. Szliśmy w dół stromą dróżką. W najniższym punkcie doliny strumień rozlewał się,

tworząc kilka płytkich stawów, które stanowiły główny cel wypraw na lekcjach biologii z tutejszej podstawówki, jak również źródło błota na ubraniach mojego syna. Ostatnio było sucho, więc woda płynęła smętnie, ledwie zakrywała dno większych stawów, leniwie przesuwała się wśród gałęzi, kamieni i śmieci.

Stefan ostrożnie przeszedł po złamanym pniu nad największym bajorkiem.

- Cudownie tu, prawda?

Mieszczuch, stwierdziłam. Ostrożnie pokonał ostatnie trzy kroki.

Zostałam na brzegu. Czułam się idiotycznie w sandałkach i spódnicy w szkocką kratę. Stefan też chyba nie miał nic więcej do powiedzenia i cisza zaczęła nam ciążyć.

- Są tu świetne kijanki - poinformowałam go. - Często tu przychodzimy. Chociaż wolę nie wnikać, co Simeon i Leo wyprawiają, kiedy są sami.

Zatrzymał się i przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

- Więc nie wnikać - poradził. - Mali chłopcy w lesie. Niegrzeczni mali chłopcy w lesie. Ja jako chłopiec wrywałem motylom skrzydełka i urządzałem im pogrzeby w dziuplach. Hm. Ślimaki, żaby i szczeniaki. I... - Znacząco uniósł palec.

Stał do mnie tyłem. Nie ruszał się. Nie wiedziałam, co robić. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest na haju. Wołałam nie pytać. Denerwowałam się coraz bardziej.

Na co dzień trudno było nadążyć za tokiem jego myśli, a co dopiero kiedy zaczynał mówić wierszem. Bo znowu coś deklamował. Stefan jak nikt umiał odchodzić od normalnej rozmowy. Co mam robić, bić brawo?

- Fajne - powiedziałam w końcu. - Bardzo nastrojowe. Pamiętam to ze szkoły.

Szybko przebiegł kładkę, zeskoczył na trawę i wziął mnie w ramiona.

O mój Boże. Na czym to polega? Stefan i poezja. Nie wiedziałam, na czym to polega; czy to moje zadurzenie, czy jego cudowna osobowość, a może Tom Cruise w filmie *Legenda*? Tak, to na pewno to. Miał wtedy długie włosy i śliczne zamszowe trzewiki. I jednorożce. A może podziały kremowe ufne anemony albo białe światło księżyca, może szum wiatru w koronach drzew, albo jego romantyczność i poetyckość, a może po prostu przekonanie, że podnieca go moja reakcja? Nie wiedziałam, wiedziałam tylko, że podziało. Całował mnie namiętnie przez kilka cudownych minut i już miałam zaproponować, żebyśmy wracali do domu, do łóżka, pod kołdrę, gdy mnie puścił i znowu zniknął w ciemności.

- Chodź! - zawołał. - Chodź tutaj! - Zachowywał się jak szczeniak.

Po lewej stronie grunt gwałtownie opadał w dół, woda wiła się po omszałych kamieniach, zanim trafiła do kolejnej sadzawki.

- Gdzie mam iść? Nie widzę cię!

Usłyszałam szelest gałęzi i nagle pojawił się przede mną. Pociągnął mnie za spódnicę.

- Tu, na dół. No, chodź. Zabawmy się w odkrywców.

Podaliśmy mu rękę i ześlizgnęłam się ze zbocza. Na dole było ciemno, wilgotno i duszno. Słabe światło księżyca odbijało się w jego roziskrzonych oczach. Prowadził mnie przez krzaki i zarośla, aż oparłam się o pień starego dębu. Stefan przywarł ustami do mojej szyi.

- Och - mruknął. - Czujesz to?

Pociągnęłam nosem.

- Co?

- Zapach życia, Lu. Zapach rozszalałej natury. - Głęboko wciągnął powietrze nosem i ustawił mnie tak, że opierałam się plecami o drzewo. - Ten las żyje. Aż tętni chęcią rozwoju, rozmnażania, wzrostu. Wszędzie nowe życie. Płodność. Rozpasanie.

Zsunął mi bluzkę z ramion i pocałował w bark.

W oddali huknęła sowa.

Czułam, jak moje obcasy zagłębiają się w miękkiej ziemi. Czułam szorstką korę pod plecami. Jego gorący oddech na twarzy i ciepłe dłonie, które teraz mocowały się z guzikami.

Posuwał się coraz niżej i nie miał zamiaru przestać.

- Stefan - zaczęłam. - Stąd już blisko do domu. Myślisz, że możemy...

- Co?

- No, cóż, robić to... tutaj?

Wyprostował się i uśmiechnął niewinnie. A potem cofnął się i rozłożył szeroko ręce.

- Co robić?

Moja bluzka, zorientowałam się, była rozpięta do końca. W świetle księżyca moje piersi były białe i intrygujące, wyglądały jak reflektory albo dwie porcje budyniu waniliowego.

- Wiesz co. - Rozejrzałam się nerwowo i otuliłam bluzką. - To.

Podszedł do mnie, wziął za rękę i splótł je na swoim karku. A potem znowu rozsunął mi bluzkę i powoli nakrył piersi dłońmi.

Uśmiechnął się lekko.

- Masz na myśli to?

Skinęłam głową. Głośno przełknęłam ślinę. Był niepoprawny.

- Jest bardzo miło - wysapałam. - Ale czy nie powinniśmy raczej wrócić do mnie i...

Pokręcił przecząco głową i przesunął usta na moją szyję.

- Ja nie. A ty?

- Po prostu nie jestem pewna, czy podoba mi się perspektywa... Chyba krępuje mnie myśl, że... Och, Stefan... Nie wiem, czy... No bo co będzie, jak ktoś przyjdzie? Z psem na przykład? Bo to nie jest miejsce na... Och, Boże, Stefan...

Zsunął się jeszcze niżej, całował moje piersi, a potem podniósł głowę i energicznie odrzucił włosy na bok.

- Lu - szeptał mi do ucha - właśnie tu powinniśmy to zrobić! Wśród bogactwa natury! Wśród kwiatów i pędów. Na młodej korze, miażdżąc młode liście. Tutaj, właśnie tutaj! Rozumiesz?

Bogactwo natury kojarzyło mi się z promocją w Tesco, a nie z seksowną szeptaniną, ale słowa szybko traciły znaczenie. Jego dłonie znalazły sobie nowy obiekt zainteresowania, teraz energicznie krążyły po moich udach i podnosiły spódnicę.

- Powiedz to - zaproponował spokojnie, gdy zadarł mi , spódnicę i zgniótł ją między naszymi ciałami. - Powiedz to, czy to dla ciebie takie trudne? - Objął mnie i zacisnął dłonie na moich pośladkach. - Może byłoby ci wygodniej, gdybyśmy się położyli. - Jego dłoń wślizgnęła się do moich majteczek. - Może będzie ci wygodniej, jeśli... poczekaj, już wiem...

Mówił coś jeszcze, ale niewiele słyszałam, bo wtulił twarz w moje włosy. Za to usłyszałam co innego. Rozsuwany suwak.

A ja suwaka nie miałam.

Niedziela, 6 maja

Naprawdę to zrobiłam? Naprawdę?

Po wszystkim pobiegliśmy do domu rozchichotani jak dzieci, ale Stefan nie został długo. Wszedł, pochłonał dwie miseczki płatków śniadaniowych, pocałował mnie, wskoczył na rower i odjechał w noc. A ja przez dobre dwadzieścia minut siedziałam na progu, próbując zrozumieć, dlaczego jestem taka zdenerwowana i smutna.

Poszłam na górę na paluszkach, na moment zapomniałam, że Leo przecież nocuje u Del, co zresztą nagle mnie zdenerwowało, umyłam zęby, rozebrałam się i już miałam wejść pod prysznic, kiedy coś przykuło moją uwagę w lustrze. Ciemne znamiona pośladku. Strzepnęłam je ręką. Spadło na podłogę.

Obrzydliwy ślimak bez muszelki.

Spałam tak, jak zapewne sypiali biedni wieśniacy w średniowieczu. Było mi niewygodnie, mokro, gnębiły mnie nienazwane strachy i, ponieważ zostawiłam otwarte okno, chmary owadów. Obudziłam się o świcie. Za kwadrans piąta.

Jako że dzień zapowiadał się pogodnie, zadzwoniłam do Del i zaproponowałam,

żebyśmy się wybrały z chłopcami do parku, skoro Ben i tak gra w tenisa. Od środy rzadko widywałam się z Leo, a jeśli nie zabiorę go z domu, ucieknie mi na cały dzień do kolegów i pokemonów. Potrzebowałam go. Po pierwsze, chciałam, żeby mi przypomniał, że jestem dorosła, jestem matką i kobietą rozsądną, a nie leśną nimfomanką, co sugerowały moje czyny z ostatniej nocy. Nie, w zasadzie nie przeszkadzał mi seks na łonie natury czy drzewa i wilgoć. Zresztą było przyjemnie, nie da się ukryć. A jednak coś mnie gryzło. I nie chodziło o tego skrepta. Dlaczego nie został do rana?

- Wiesz - Del sadowiła się w jaguarze jak kot w kuwecie - nie mogę się już doczekać. Jutro z samego rana zadzwonię do nich i powiem, że środa może być. A właśnie, środa ci pasuje, prawda? To zajmie tylko godzinę albo dwie, zgodzili się na popołudnie, oczywiście powiedziałam, że pracujesz, zresztą mogą zacząć u mnie, więc...

- Chwileczkę... - Przekreśliłam kluczyk w stacyjce. - Ta środa? Już ustaliłaś termin? Zbyła mnie machnięciem ręki.

- Och, Lu, nie marudź. Oczywiście. Rozmawiałam z nimi w czwartek. Miałam ustalić to z tobą w sobotę, ale pomyślałam, że zaraz zaczniesz jęczeć i marudzić, więc postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce i sama poprosiłam Stefana.

Jęczeć i marudzić, no ładnie. Wyjechałam na ulicę.

- Chwileczkę, Del. - Oburzyłam się. - Nie przyszło ci do głowy, że też powinnam mieć co nieco do powiedzenia? Nie uważasz, że posunęłaś się odrobinę za daleko, atakując Stefana, i nawet nie pytając mnie o zdanie?

Przyjrzała mi się uważnie.

- Więc nie chcesz? - wycedziła.

- Cóż, skoro, jak się okazuje, Stefan jest zainteresowany, nie powiem nie. Ale nie o to chodzi, Chodzi o...

- Wiem, wiem, o zasadę. Tak, tak. No dobra. Masz rację. Ale wyszło na moje, prawda? Więc wszystko w porządku. - Klasnęła w rękę. - Jezu, nie mogę się już doczekać!

Rozmaite myśli chodziły mi po głowie.

- Szczerze mówiąc, zaskoczył mnie entuzjazm Stefana. Nie przypuszczałam, że się zgodzi.

- Och, Lu, zapominasz, że to artysta. Malarz. Który maluje. Powiedziałam, że może w ten sposób zwróci uwagę na swoje prace. Nawet nie wiesz, jak się zapalił. Rozgryzłam go. Jest bardzo ambitny. Mam tylko nadzieję, że jest taki dobry, jak mówisz, nie chcę amatorskich bohomazów na ścianach sypialni.

Cóż za ironia losu. Ja oczywiście dostrzegam głębię w obrazach abstrakcyjnych, ale nie da się ukryć, że w oczach laika wyglądają na... no właśnie, na bohomazy. Nie zastanawiałem się nad tym dłużej, bo Del zaraz dodała:

- Ale muszę ci powiedzieć, Lu, i mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe, że teraz, kiedy już poznałam tego Stefana, nie pojmuję, co ty w nim widzisz? Jest taki... arbitralny, nie sądzisz?

- I nosi okropne ciuchy - odezwał się Leo z tyłu.

- Kto? - zainteresował się Simeon.

- Nowy facet mamy. Kretyn.

Łypnęłam groźnie w lustro.

- Dzięki - prychnęłam. Nie wiadomo dlaczego nagle miałam łzy w oczach. - Leo, zostaw okno w spokoju. Arbitralny? Co masz na myśli?

Del wzruszyła ramionami.

- Och, no wiesz, jest taki pewny siebie. Jezu, co on gadał: zachodni styl życia nacechowany konsumpcjonizmem, pozbawiony głębi i autentyczności, tra ta ta... Nie zaprzeczysz, że czasami strasznie nudzi.

- Wcale nie. Jest intelektualistą i ma wyrobione poglądy. On...

- Jest strasznie zadufany w sobie, może nie? Przyznaj to, Lu. Jest taki... sztuczny. Zresztą może właśnie to ci się w nim podoba. Sama nie wiem, powiedz.

- Po prostu ma ideały - upierałam się, choć równie dobrze mogłabym tłumaczyć jej budowę bomby atomowej. - Nie zapominaj, że jest wykładowcą uniwersyteckim. Dyskusje, debaty, filozofia...

- Filozofia, akurat. A my wszyscy tylko babrzemy się w przyziemnych sprawach, tak?

- Poglądziła deskę rozdzielczą wykończoną orzechem. - To mi się podoba. Ładny odcień. Wiesz, moim zdaniem facet zadziera nosa. I jest dziwny. Co on przyniósł do jedzenia?

- Mówiłam ci, jest weganem.

- Akurat, przecież pił kawę ze śmietanką, może nie?

I jadł płatki z mlekiem, przypomniałam sobie.

- No, dalej, Lu, przyznaj - naciskała Del. - Nie uważasz, że jest odrobinę pretensjonalny?

- Słuchaj, nic nie poradzi na to, że...

Cmoknęła głośno.

- Wiesz, że nie osądzam ludzi pochopnie, znasz mnie, po prostu mówię, co myślę. Może Stefan zyskuje przy bliższym poznaniu. A właśnie, przypomniało mi się: od kogo

dostałaś te fantastyczne kwiaty, które stoją w łazience? Od Stefana? Pewnie kosztowały majątek.

- A, te? Nie - energicznie pokręciłam głową. - On nie jest taki pretensjonalny. Od twojego ukochanego pana Delaneya.

- Od Joego? A z jakiej okazji? - Na tylnym siedzeniu chłopcy śmiali się głośno.

- Przysłał je w piątek, żeby przeprosić za zeszły tydzień, a dokładnie za ten cyrk w urodziny Angharad. Tak myślę.

- To miło z jego strony!

- Wcale nie. Śmierdzą trupem. - Zahamowałam na czerwonym świetle i spojrzałam na nią. - Są takie pretensjonalne.

- Pretensjonalne? Co ty opowiadasz? Moim zdaniem to piękny gest. Nie lubisz dostawać kwiatów?

- Nie o to chodzi. To żalosne. I niewłaściwe. Taki pusty gest. I wcale nie robi na mnie wrażenia. No wiesz, gdyby Joe był biedny, to co innego. Albo gdyby zadał sobie choć odrobinę trudu. A tak? Wiesz, jak to wyglądało? Jeden telefon. Posłać kwiaty i załatwić sprawę.

Del przyglądała mi się przez chwilę, a potem uniosła brwi i mruknęła:

- Spokojnie, panno drażliwa. Ja tylko zapytałam.

Szczerze mówiąc, od tamtego pocałunku byłam nieco lepiej nastawiona do Joego Delaneya. Niby nic szczególnego, ale jednak teraz widziałam pewne rzeczy w innym świetle. Ten bukiet też. Ale nie przyznam się Del. Zwłaszcza teraz, kiedy powiedziała, że Stefan jest arbitralny, dziwny, samolubny i zadziera nosa. I jeszcze że... Jezu, jak ona mogła? Gdyby wiedziała to co ja... Z drugiej strony, dobrze, że jej nie powiedziałam o ostatniej nocy.

I dzięki Bogu, że przemilczałam kwestię poezji.

Środa, 9 maja

Zgodnie z najgorszymi przewidywaniami, Joego rzeczywiście czekała operacja - mieli mu ponownie złamać i złożyć ramię. Zarezerwowano dla niego łóżko na czwartek, a ponieważ operację zaplanowano na rano, musiałam go odwiedzić do szpitala w środę wieczorem. Ustaliliśmy, że zawiozę go w drodze do domu.

- Posłuchaj - zaczął, gdy wyjmowałam torbę z jego rzeczami z bagażnika. - Chciałbym cię o coś prosić. Jutro jest mój dzień z Angharad. Czy mogłabyś odebrać ją ze szkoły i przywieźć do szpitala? Wiem, zawracam ci głowę, ale Rhiannon jest na jakimś tam seminarium czy wykładzie i będzie wolna dopiero o wpół do ósmej. A Angharad chciałaby się ze mną

zobaczyć... No więc jak?

Podalam mu torbę.

- Nie możesz sobie raz odpuścić?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, w zeszłym tygodniu się z nią nie widziałem.

- No to przełoż spotkanie na weekend. Przecież czasami zabierasz ją na weekendy?

Szpital to żadna atrakcja. Zresztą chyba powinna coś zjeść po szkole?

Zamyślił się, potem skinął głową.

- Masz rację, musi coś zjeść. Po drodze wstąpicie do Burger Kinga, co ty na to?

- A jak wróci do domu?

- Myślałem, że ją odwieziesz? Rhiannon mieszka niedaleko ciebie.

- Nie, Joe, nie mogę. Być może umknęło to twojej uwadze, ale mam na głowie jeszcze własne dziecko. - Wsiadłam do samochodu i zapięłam pas.

Pochylił się i zajrzał przez okno.

- Proszę! Bardzo, bardzo proszę! Przecież nie nadłożysz drogi.

- Nie o to chodzi. Co zrobię z Leo?

Westchnął głęboko i odstawił torbę.

- A nie możesz przywieźć go ze sobą?

- Nie.

- No to już nie wiem. A co byś z nim zrobiła w innych okolicznościach? Gdzie jest, kiedy pracujesz?

- Mówiłam ci, u mojej siostry.

- Więc podrzuć go do siostry. Proszę cię, Lu. Przecież to nie potrwa długo.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce.

- Nie o to chodzi. Joe, zrozum, nie zatrudniłeś mnie jako chłopca na posyłki i szofera.

- A tym bardziej nie jako niańkę, ale tego już nie powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- No dobra, to się trochę spóźnisz. Za to dam ci wolny ranek. Wyśpij się albo co.

- Nie chcę wolnego ranka.

- No *to* nie! - Wyprostował się, podniósł torbę. - Jezu, Lu, dlaczego ty zawsze ze wszystkiego robisz wielki problem?

Na autostradzie był jakiś wypadek, więc kiedy dojeżdżam do domu, ciągle klnąc pod nosem i narzekając na Joego, Del już na mnie czeka. Nie tylko ona - jest także rower Stefana,

mały żółty sportowy samochód i wóz z napisem HIGHTIME PRODUCTIONS. Co więcej, w moim ogrodzie uwija się tłum pięknych ludzi. Przyglądają się, jak wjeżdżam na podjazd. Ludzie z programu. No bomba. A ja nawet nie pozmywałam po śniadaniu.

- Jesteś wreszcie! - krzyczy Del, rzuca się biegiem i otwiera mi drzwiczki. Kurczę, zupełnie jakbym się spóźniła na przyjęcie. Wszyscy tacy zachwyceni, chyba się czegoś nałykali. Del szczebioce słodko i niezrozumiale. Perspektywa ogólnokrajowej sławy najwyraźniej uderzyła jej do głowy i co gorsza, wywarła piętno na jej kreacji. Moja siostra ma na sobie coś, co podejrzenie przypomina kapę na łóżko. Boże, nie tylko jej odbiło. Stefan wsadził sobie w nos wielki brylantowy kolczyk.

Jezu, Jezu, Jezu. Ludzie telewizji lśnią, tak można ująć to najkrócej. Lśnią ich zęby, oczy, włosy, buty... W całym tym oślepiającym blasku jedyny zgrzyt stanowi Damon Denton, którego rozpoznaję od razu, choć dzisiaj nie ma przy sobie nieodłącznej piły. Jest szary, zwyczajny, i do tego ma dzinsy poplamione farbą. Czule głaszczę maskę jaguara i stwierdza:

- Fajniutki. Fajniutki, nie ma co.

Nagle ktoś, kobieta, której nie poznaję, ale która lśni chyba najbardziej z nich wszystkich, spowita w płaszcz ze złotej lamy, wyciąga wąską dłoń:

- Lucy! - mruczy gardłowo. - Cudownie! Jestem Manda Producent. - Mówi to bez jakiegokolwiek pauzy między Manda i Producent i w pierwszej chwili pomyślałam, że ma kretyńskie nazwisko, jak gwiazda telenoweli meksykańskiej.

Puszcza moją dłoń i kiwa na pozostałych:

- A to Kit Davis - Donovan, będzie pracował z Del, i nasza Tia. Tia Slater, która ci pomoże.

Tia Slater nie tyle lśni, co roztacza przytłumiony blask. Ma na sobie obcisły jasnoniebieski sweter i dzinsy, które zaczynają się mniej więcej trzy centymetry pod pępkiem. Wyciąga drobną, ale zadbaną rączkę i mówi (właściwie mogłam się tego spodziewać):

- Ciao.

I tak pierwsze lody przełamane, wszyscy się znamy. Wchodzimy do domu.

W którym, jak się okazuje, czekają mnie komplikacje.

- Tyle starych tapet! Musimy wszystko zerwać - tłumaczy Kit Davis - Donovan. - Więc jak? Tak czy nie? - Cała ekipa z programu usadowiła się na moim komplecie wypoczynkowym i popija herbatę. Manda jeszcze nie zdjęła płaszcza. Słysząc pomruki aprobaty. Kit kiwa głową i zwraca się do mnie:

- A ty, Lucy? Co ty sądzisz o winylowych meblach? Zastanawiałaś się nad tym? Hm.

Od dawna tu mieszkasz? Nieco zużyty ten domek. Chyba nie gniewasz się, że to mówię?

Gniewam się, a jakże, ale obawiam się, że czekają mnie jeszcze gorsze chwile, więc tylko wzruszam ramionami i mówię, że nie mam zdania na ten temat i chętnie powierzę mój salon ich inwencji twórczej. Kiwiają głowami, mruczą coś niezrozumiale, notują, a ja się czuję, jakbym oszukiwała na egzaminach.

Zresztą chyba za mało poważnie podchodzę do problemu. Muszę wziąć się w garść. Okazuje się, że mój salon wymaga ogromnej pracy.

- Cóż - Kit uśmiecha się dzielnie - możemy zawsze nocować w wozie.

Cha, cha, cha, grucha Manda.

- Albo dajmy sobie z tym spokój - sugeruje Tia, zadowolona, że ma na głowie tylko sypialnię Del, co dwa lata gruntownie odnawianą. - Może retro? Albo kicz? - Siedzi koło Stefana na mojej kanapie. Ich kolana się stykają.

- Czy kicz nie jest aby zbyt kiczowaty? - pyta całkiem poważnie. - No, czy to nie był ostatni krzyk mody w zeszłym roku?

- Niekoniecznie - zapala się Kit. - Zależy, jak do tego podejść. No, kochani! Myślmy! Do roboty!

- Ale musicie wszystko zerwać - zauważa Tia, z dezaprobatą przyglądając się ścianom. - Nie da rady, wszystko musi zejść. No jak, Lucy? Nie uważasz, że to najrozsądniejsze?

Przewracam tylko oczami i kiwam głową na znak, że zgadzam się z nią w zupełności.

- No dobra, więc zerwijmy to i już - podsuwa Manda. - Może Lucy i Stefan zaczną?

Pierwsza scena: Lucy i Stefan w gołych ścianach. Co wy na to?

Kit marszczy brwi.

- Sam nie wiem. Trochę jak u konkurencji. *Zmień mieszkanie razem z nami, nie?*

- Kiedy kolacja, mamó? - Leo wchodzi do saloniku.

- Za piętnaście minut - mówię.

- Mówiłaś to już pół godziny temu.

- Nie, wtedy powiedziałam, że przygotowanie kolacji zajmie piętnaście minut. Nie mówiłam, kiedy zacznę. Już niedługo. Idźcie z Simeonem i...

- To daj nam batonika.

- Nie ma mowy. Możecie...

- Ale mamó, umieramy z głodu.

- I niech tak będzie. Na razie.

- Ale, mamó...

- Powiedziałam: nie.

- Ale mammo...

- Ej, mamusiu, daj im po batonie. No, daj - wtrąca się Damon Denton. - Nie bądź takie skąpiradło.

Skąpiradło, dobre sobie. Idę po batony.

Ściany w moim domku są naprawdę, ale to naprawdę cienkie i dlatego słyszę rozmowę na szczycie między Kitem i Mandą, gdy szykuję chłopcom kolację. I to słyszę tak wyraźnie, jakbym z nimi siedziała.

- Dajemy sobie spokój? - podsuwa Kit. - I zrobimy tamtą parę z kominkiem? To nie takie straszne.

Słyszę kliknięcie długopisu.

- Nie - postanawia Manda. - Po południu rozmawiałam z Sal. Rozstali się na dobre. Facet odszedł i nie wróci. Dlaczego, do cholery, zgłaszają się same świry? Przecież nie jesteśmy talk show dla par z problemami! A inne pary to straszne prymitywy. Widziałeś jej kolczyki? Jezu. Nie zniosłabym tego. Nie, zostajemy tutaj. Smutne, ale prawdziwe, misiu. Takie jest życie.

Ja szykowałam kolację, a oni tymczasem mierzyli, liczyli, myśleli. W końcu Kit Davis - Donovan orzekł, że już ma wizję mojego salonu, bardzo „radikalną i nowoczesną”. Uznano także (właściwie kto zdecydował?), że zanim zaczną, wszystko zerwą. Słyszałam wzmianki o magnoliowej farbie emulsyjnej, ale nawet geniusze z programu przyznają, że to trochę dużo pracy jak na mnie i Stefana w ciągu kilku dni.

Macham im na pożegnanie i wracam do kuchni z narastającym przeczuciem, że popełniłam bardzo duży błąd. Nie przepadam za moimi tapetami, ale zdecydowanie bardziej nie lubię czynności, które zakończą ich wieloletni związek z moimi ścianami. W końcu to oni powinni się tym zająć, nie ja.

- Sześć dni! Wielkie dzięki, Del! Jakbym nie miała nic do roboty od dzisiaj do środy!

Nalewa mi wina i z otuchą klepie po ramieniu.

- Nie marudź - uspokaja. - Pomożemy ci. We czwórkę, zresztą Leo i Sim chętnie pomogą, prawda? Uporamy się błyskawicznie.

- Na mnie chyba nie bardzo możecie liczyć - mówi nagle Stefan.

Del kręci głową.

- No wiesz! Przecież jesteś artystą! Na pewno nadajesz się do tego najlepiej z nas wszystkich.

- Nie, chodzi o to, że nie wiem, czy będę miał czas. W tym tygodniu mam dużo zajęć, zresztą muszę skończyć zamówiony obraz. Więc...

- Zamówiony obraz? - powtarza Del.

Łypię na nią wrogo.

- Ten dla Exo? - pytam domyślnie. Stefan dopija kawę i potwierdza ruchem głowy. Ostatniej nocy kochaliśmy się trzy cudowne razy. Chciałabym, żeby spojrzał mi w oczy. Nie robi tego.

- Ale w niedzielę służę pomocą - mówi. - No, czas na mnie. Nie wziąłem latarki.

Idę za nim do holu, a Del zmywa po kolacji chłopców. Liczyłam, że Stefan zostanie dłużej, ale nic z tego. Czuję, że to moja wina.

- Posłuchaj - zaczynam, gdy wkłada kurtkę. - Nie musimy tego robić. Jeszcze możemy się wycofać. Możemy odmówić.

Obejmuje mnie ramieniem i zerka w stronę kuchni.

- Co? Żeby twoja siostra pożarła mnie żywcem? O, nie. Zresztą to fajny pomysł. - Wsuwa dłonie pod mój sweter. - I naprawdę mi przykro, że ci nie pomogę, ale mam dużo zajęć. Zrobię co się da. OK?

Odsunął się. Kiedy się pochyla, żeby mnie pocałować, zauważam, że jego włosy pachną jakoś słodko, kwiatowo i znajomo.

Perfumami Tii Slater.

Czwartek, 10 maja

Oczywiście uległam, jeśli chodzi o Angharad. Bynajmniej nie dlatego, że nagle zmieniłam zdanie na temat całej sytuacji, po prostu nie chcę pozbawiać małej spotkania z ojcem, nawet jeśli to marudny potwór. Poza tym, przyznaję, nie chcę uchodzić za osobę, która ze wszystkiego robi problem. Chociaż właściwie co mnie to obchodzi?

Angharad wydaje się drobniejsza i jakaś bardziej bezradna, gdy przyjeżdżam po nią pod szkołę. Na plecach zwisa jej smętnie karmelowy warkoczyk. Ma na sobie szkolny mundurek, dziwne, zdawało mi się, że ten fason wyszedł z mody najpóźniej w 1972 roku.

Nauczycielka została wyraźnie poinstruowana, że ma mnie oczekiwać, bo popycha onieśmieloną dziewczynkę w moją stronę. Angharad jest spięta i chyba przerażona.

- Mamusia powiedziała, że nie wolno mi iść do parku ani w ogóle, bo jestem w mundurku i mogłabym go zabrudzić - informuje mnie takim tonem, jakby od rana ćwiczyła tę przemowę.

Uśmiecham się w odpowiedzi i prowadzę ją do samochodu.

- Nie martw się - zapewniam, otwierając drzwiczki. - Nie jedziemy do parku. Najpierw wpadniemy coś przekąsić do McDonalda, a potem zobaczymy, jak tatuś sobie radzi w szpitalu.

Rozjaśnia się, słysząc te słowa, i odpręża w znajomym samochodzie.

- Zrobiłam mu laurkę - opowiada. - Na przerwie. Było zimno i mokro i nie poszliśmy na dwór, więc zrobiłam dla tatusia laurkę. - Rozpina tornister, wyjmując bładoniebieski arkusik i ostrożnie układa sobie na kolanach.

- Chciałam też wziąć mu jakiś... prezent. Zostało nam w domu jajko z białej czekolady, bo jej nie lubię, ale mamusia powiedziała, że nie mogę go zabrać. Powiedziała, że mogłabym je zgnieść w szkole i się ubrudzić, a poza tym i tak podobno nie wolno wносить czekolady do szpitala, bo są na niej bakterie. - Jest bardzo zmartwiona. - Ale szkoda, że nie wzięłam tego jajka.

To takie smutne, gdy dwoje ludzi, którzy się nie znoszą musi się dzielić miłością jednego dziecka.

- Wiesz co? W szpitalu jest sklepik. Tam mu kupimy czekoladę. I nie musisz się obawiać - dodaję, widząc jej niepokój jest zdrowa, bez bakterii, bo to szpitalna czekolada. Lubisz hamburgery? - zmieniam temat.

- Wolę kurczaka. I zestawy dla dzieci. - Rozjaśnia się. Wiem! Dam tatusiowi

zabawkę!

Ponieważ robi się późno i na ulicach coraz większy korek, bierzemy nasze zestawy dla dzieci i lody na wynos i wracamy do jaguara. Angharad znowu posepnieje.

- Nie wolno mi jeść w samochodzie - mówi smutno.

Przytrzymuję jej drzwiczki.

- Dzisiaj wolno - zapewniam. - To wyjątkowa okazja.

Joe leży na oddziale imienia Pasteura, na drugim piętrze. Angharad ogląda wszystkie bombonierki w kiosku, ale w końcu stwierdza, że zabawka z McDonalda sprawi tacie większą przyjemność. Nie możemy nigdzie znaleźć schodów, więc czekamy na windę razem z grupą starszków.

Angharad, z każdą chwilą bardziej pewna siebie, marszczy nosek z obrzydzeniem.

- Fuj! - mówi na całe gardło, ledwie zamknęły się za nami drzwi windy. - Ktoś tu chyba zrobił siusiu w majtki!

Joe leży pod oknem w czteroosobowej sali. Pozostali trzej pacjenci są co najmniej dwukrotnie od niego starsi. Wszyscy trzej drzemią. Zagaduję Angharad, gdy ich mijamy, nie chcę, żeby wygłaszała kolejne uwagi, i oto jesteśmy przy łóżku Joego. Nieswojo mi, gdy go widzę w piżamie, z plastikową obrączką na przegubie. On natomiast w ogóle się nie przejmuje chociaż jest lekko szarawy na twarzy.

- Cześć, Lu. Cześć, słoneczko. - Wyciąga do niej zdrową rękę. - Co w szkole?

Angharad wykrzywia się znacząco i rzuca na krzesło kapelusik. Podnoszę go i kładę sobie na kolanach.

- Nudno - odpowiada. - Chcesz trochę McFlurry? - pyta.

Joe krzywi się zabawnie.

- Chyba nie. A co to?

- Lody, tatusiu. Te z batonem lion. Jeszcze są takie z m&ms, ale się skończyły. Obejrzyj swój prezent. To Snoopy, widzisz? Głowa mu się zdejmuje, o tak, a tu z przodu ma maszynę do pisania i jak wsadzisz papier, to możesz coś napisać. Widzisz? Zrobiłam dla ciebie laurkę. Tu jest napisane: *Dużo zdrowia, tatusiu*. Sophie też się podpisała. A ja narysowałam serduszko i tęczę.

- Śliczna.

- Ja rysuję ładniej niż Sophie. Widzisz, tutaj nierówno rysowała żółtą kredką, a niebieską i pomarańczową to ja. Widzisz? A co tu masz w rączce?

Joe podaje mi laurkę i klepie materac koło siebie. Angharad wspina się na wysokie łóżko.

- To się nazywa kroplówka, w środku jest środek przeciwbólowy, żeby mnie bardzo nie bolało.

- A czy twoja ręka będzie już na zawsze taka wygięta, nawet jak zdejmą gips?

- Mam nadzieję, że nie.

- Masz dziurę w ręce?

- Chyba tak. Widzisz, złączyli kości w ramieniu śrubą i...

- Jak to: śrubą? Jak w samochodzie?

- No, troszkę mniejszą.

- Brr...

- Nie jest tak źle. To specjalna śruba do łączenia kości.

- A gips nie wystarczy?

- No, niby wystarczy, ta śruba to tak na wszelki wypadek.

- Nie boli?

- Tylko troszeczkę.

- Bo masz kroplówkę?

- Bo mam kroplówkę.

- A to musi tak powoli kapać? Nie może lecieć szybciej?

- No nie, raczej musi spadać po kropelce.

- A gdyby się wszystko naraz wlało?

- Dostałbym za dużo. Widzisz, kroplówkę trzeba dokładnie wymierzyć.

- Dlaczego?

- Bo gdybym dostał za dużo, poczułbym się niedobrze.

- Dlaczego? Gdybyś dostał więcej, poczułbyś się jeszcze lepiej.

- To nie tak, słoneczko. Bierze się określoną dawkę, jak zażyjesz za dużo, dziwnie się czujesz. - Jak po piwie?

- Mniej więcej.

- Więc nie można zażyć za dużo kroplówki.

- Właśnie.

- Boli cię, kiedy śpisz?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo śpię.

- A Megan Williams z mojej klasy mówi, że czasami boli nawet kiedy śpisz. Jej mamie wycięli wszystko z nogi i spała w czasie operacji, a i tak ją bolało.

- Na pewno nie.

- Właśnie że tak. Wystąpi o odszkodowanie i dostanie mnóstwo pieniędzy. Ty też mógłbyś to zrobić. Co to za butelka?

- To na wypadek, gdybym chciał do łazienki. Żebym nie musiał wstawać.

- Faj! A czemu nie chcesz wstawać?

- Ze względu na kroplówkę. Poza tym niedawno byłem operowany i mam trochę miękkie nogi. Więc lepiej, żebym jeszcze trochę poleżał, bo mógłbym się wywrócić.

- Dlaczego?

- Bo jeszcze nie doszedłem do siebie po narkozie.

- Co to jest narkoza?

- Po narkozie się zasypia.

- Jak wtedy, kiedy dostaniesz za dużo kroplówki?

- Nie do końca. Narkoza jest właśnie po to, żeby zasnąć. A w tym czasie lekarz operuje.

- I trzeba tę narkozę odmierzyć, jak kroplówkę?

- Tak.

- Więc może mamie Megan Williams dali za mało?

- Hm...

- Pewnie tak. Ale tobie dali akurat, prawda? Bo cię nie bolało.

- Urn...

- Teraz cię boli...

- Urn...

- Och, tatusiu! Co ci jest? O fuj, fuj!

O, fuj.

Nie zwymiotował dużo, ale gwałtownie, i dostało się nawet moim spodniom, chociaż większość wylądowała, jak się można domyślać, na Angharad. Wzywam pielęgniarkę i wychodzę z rozwrzeszczaną małą do łazienki.

- Nic się nie stało, Angharad. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - Pomagam jej wejść na stół, wsadzam jej bluzkę pod kran z gorącą wodą i tłumaczę: - Widzisz, wszystko się spierze, o tak. No, już dobrze. Nie płacz. Mamusia nie będzie się gniewała. Zobacz, została tylko mokra plama. Wszystko jej wytłumaczę. Zresztą na pewno masz jeszcze jedną bluzkę do mundurka, prawda?

Trochę ją uspokaja nowe doświadczenie życiowe, jakim jest suszenie bluzki pod suszarką do rąk, ale nadal jest w lekkim szoku, czemu zresztą wcale się nie dziwię. Kiedy jest

już w miarę sucha, wracam z nią do pokoju. Joe siedzi na fotelu, a dwie pielęgniarki zmieniają mu pościel na łóżku. Joe beztrząsco bawi się kapelusikiem córki. Jest dwadzieścia po szóstej. Chcę do domu.

- Coś takiego! - zaczyna radośnie na nasz widok. - Żeby tatuś zwymiotował na córeczkę!

Angharad wraca dobry humor, ale zachowuje bezpieczną odległość. Ja również. Wyjdziemy o wpół do siódmej. Za dwadzieścia wyjedziemy z parkingu. O siódmej dojedziemy do Pontprennau, gdzie mieszka Rhiannon. Czyli jeszcze bite pół godziny.

- Cóż - odzywam się. - Tatuś wygląda już lepiej, co, Angharad?

Kiwa głową.

- Dali ci za dużo kroplówki?

Pielęgniarka, która ścieliła łóżko, prostuje się powoli.

- Twój tatuś, panienko - tłumaczy Angharad - napił się soku. Mówiłam mu, że nie powinien - może nie? - ale jak większość tatusiów uznał, że wie lepiej.

- Jak ty wyglądasz! - warczy Rhiannon pół godziny później.

Przy niewielkiej pomocy Angharad dojechałam pod nowoczesny bliźniak, wyraźnie niedawno zbudowany. Stoi wśród wielu identycznych domków, na wzgórzu, Prowadzi do nich zadbane podjazdy wyłożone kostką brukową w jodełkę, do domu prowadzą trzy schodki. Dzięki temu Rhiannon, w eleganckim szarym kostiumie i w butach z wąskimi czubkami, patrzy na mnie z góry. Uśmiecha się lekko, ale przede wszystkim stara się ukryć złość. Na Angharad, na mnie, a szczególnie na Joego.

- Tatuś zwymiotował.

- Zwymiotował? O mój Boże! - Marszczy nos z obrzydzeniem i bierze od Angharad kapelusik. Podaje jej tornister.

- Tak bywa - tłumaczę spokojnie. - To nie jego wina. Sądząc po spojrzeniu, które mi posłała, jest święcie przekonana, że wszystko zostało starannie zaplanowane, co do najdrobniejszego szczegółu, a jedynym celem tej operacji było wyprowadzić ją z równowagi.

- Niektórzy źle znoszą narkozę - nie zniechęcam się. Moje spodnie też ucierpiały, trudno. Staraliśmy się wszystko sprać, prawda, Angharad? Nic złego się nie stało. Jak już mówiłam, takie rzeczy się zdarzają. Cóż...

- Cóż. W każdym razie dziękuję. Że ją pani przywiozła i w ogóle. Podziękuj, Angharad. To do niego podobne, zawracać wszystkim głowę. Nie wiem, co sobie myślał, ale to u niego normalne. Mówiłam mu, że w tym tygodniu może sobie darować. Moja

przyjaciółka chętnie by z nią została. Tylko narobił pani kłopotów. - Kładzie rękę na karku Angharad i wciąga ją do środka. Przedpokój jest gustownie ascetyczny. - No, młoda damo, rozbieraj się i wszystko do pralki. Przyzna pani, że z nim są same kłopoty. - Patrzy na mnie porozumiewawczo. - Same kłopoty.

Śmieje się. Takim znaczącym porozumiewawczym śmiechem. Podejrzewam, że powinnam jej zawtórować, i to z całego serca. Ale jakoś nie wydaje mi się to właściwe, więc tylko wzruszam ramionami.

Opiera się o framugę.

- A co tam nowego w świecie term i bojlerów? - pyta pogardliwie i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta pogarda dotyczy również mnie. Mam na końcu języka, że jestem poważną osobą, byłą nauczycielką i przyszłą artystką, ale wiem, to zabrzmiałoby dziecinnie.

- Nie jest źle. Co prawda nie tak sobie tę pracę wyobrażałam, ale...

Spogląda na samochód i z powrotem na mnie.

- Jak długo jeszcze będzie pani miała na głowie tego cielaka?

Nie jestem pewna, czy ma na myśli Joego czy samochód.

- Pewnie coś koło sześciu tygodni, może trochę dłużej. Nie wiem, zresztą i tak pracuję tylko czasowo...

- Moim zdaniem jest pani bardzo tolerancyjna. Ja na pani miejscu wysłałabym go do diabła. A już za żadne skarby nie bawiłabym się w jego sfofera, jak pani. Przecież jest pani sekretarką, tak? Ale to cały Joe. Zawsze musi postawić na swoim. Gdzie pani mieszka?

- Tak... Cefn Melin, tu niedaleko. No, na mnie już czas, muszę jechać po syna.

- Och. Pani też ma dziecko.

- Tak, chociaż dziś pewnie uznał, że matka go porzuciła. Idę. Do widzenia.

W drodze powrotnej zastanawiam się, dlaczego Joe tak bardzo nalegał, żebym mu przywiozła Angharad. Właściwie mam prawo być na niego zła. Wcale nie musiał się z nią dzisiaj spotkać. Ale kiedy pomyślę o Leo i wyobrażam sobie, że byłabym na miejscu Joego i miała ograniczony dostęp do syna, rozumiem jego upór. Przypominam sobie, co we Francji mówił o Rhiannon i ich małżeństwie. Na pierwszy rzut oka Rhiannon i ja mamy dużo wspólnego, jeśli chodzi o Joego. Powinnam była odwzajemnić jej porozumiewawcze spojrzenie. A ja się cieszę, że tego nie zrobiłam. Ba, cieszę się, że zawiozłam mu małą.

Niedziela, 13 maja

Stefan zjawił się zaraz po obiedzie i do kolacji zerwaliśmy tapety z trzech ścian. Leo, który większą część deszczowego popołudnia spędził u siebie w pokoju, porządkując kolekcję

kart z pokemonami, stanął w progu.

- Mogę iść na rower?

- Nie - odpowiedziałam. - Musisz odrobić lekcje na jutro. Wiesz co? Idź do siebie, odrób wszystko, wykup się, włóż piżamę, a potem pozwolę ci pooglądać telewizję przez pół godziny. Co ty na to?

Spojrzał na mnie z irytacją.

- Nie chcę oglądać telewizji. Chcę iść na rower.

- Trzeba było odrobić lekcje rano, przypominałam ci, prawda? Lekcje, mycie i spać, młody człowieku. Rano idziesz do szkoły.

- Jest dopiero dziesięć po siódmej.

- Bez dyskusji, Leo. Jazda na górę.

Wyszedł posłusznie. Stefan pobiegł za nim, ale doszedł tylko do drzwi i zamknął je starannie.

- Chodź tutaj - skinął na mnie.

- Po co?

- Chodź tutaj i spójrz na moje dzieło.

Zaciągnął mnie w drugi kąt pokoju, gdzie zmajstrował coś na kształt abstrakcyjnej rzeźby ze strzępów tapety. Ustawił dwa takie dzieła na parapecie. Wygląd miały lekko bydlęcy.

- Co to ma być?

- Nie widzisz? Przyjrzyj się dokładniej.

- Kozy?

- Kozy?!

- No to może króliki.

- Króliki?! - Rozsunął rzeźby i poprawił odpadające kawałki. - Teraz popatrz.

- Hm... czy to ludzie?

- Blisko. Cechy ludzkie.

Kiwam głową.

- A jakie?

Kręci głową z dezaprobatą.

- Tutaj mamy lenistwo, a tutaj rozpustę. Widzisz?

Już chciałam zażartować, że mógłby to wysłać na jakąś wystawę, ale wcale nie byłam pewna, czy nie traktuje tych swoich dzieł poważnie, więc wołałam nie ryzykować.

- Ładne - powiedziałaam tylko. Stefan brutalnie zgniótł swoje arcydzieła i wskazał

drzwi do salonu.

- Lenistwo i rozpusta. Rozpusta i lenistwo. - Objął mnie w talii. - Do tego zmierzam. - Zerknął na drzwi. - Jak myślisz, twój syn długo będzie u siebie?

- Zależy czy będzie miał kłopoty z pracą domową. A co?

- Och, tak tylko pytam. Przez pół dnia mocowałem się ze ścianą, czas, żebym popracował nad czymś bardziej miękkim i przyjemnym...

Rzeczywiście, mocował się. Tyle że zniknął na pół godziny, bo nie pozwoliłam mu palić skręta w domu.

Jego dłonie odnalazły znajomą już drogę pod moją koszulkę i poczułam mile ciepło w brzuchu.

- Doprawdy? - mruknęłam, obejmując go za szyję. - I jeszcze się nie zmęczyłeś?

- Owszem, dlatego chcę zmienić materię. - Pocałował mnie w usta. - No, mamuśka, dalej, pozwól, że teraz zerwę z ciebie niepotrzebne warstwy.

Wyślizgnęłam się z jego ramion i podałam mu skrobaczkę.

- Cierpliwości. Mniej więcej za godzinę mój syn będzie spał jak suseł.

Spojrzał na mnie smutno i znowu objął.

- Słuchaj, to było długie popołudnie, a ty cały czas kręciłaś się po domu w obcisłych dżinsach, kusząca jak syrena. Czy mężczyzna mógłby zareagować inaczej? Lu - zamknął mi usta pocałunkiem - nie wytrzymam jeszcze godziny.

Wplotłam palce w jego włosy.

- Niestety, nie masz wyjścia. Zaparzę kawy, dobrze?

Poszedł za mną do kuchni.

- To niezła myśl - stwierdził, stanął za mną aż oparłam się o pralkę. Czułam jego biodra na plecach. - Może zrobimy tak: podciągnę ci koszulkę, o tak, rozepnę stanik, widzisz, i...

Podniecona, ale i zaniepokojona tą natarczywością odepchnęłam jego dłonie i poprawiłam koszulkę.

- Stefan! Przestań! Leo może zobaczyć i...

Oddychał ciężko, wyraźnie podniecony. Przywarł do mnie jeszcze mocniej.

- Nie może - szepnął mi w ucho. - Odrabia lekcje, sama mówiłaś.

Odwróciłam się i spojrzałam mu w twarz.

- Co nie znaczy, że nie wejdzie, żeby zapytać, jak się pisze Merthyr Tydfil, więc mnie puść i poczekaj na kawę.

- Nie chcę kawy, chcę się z tobą kochać, chce cię posadzić na stole, ściągnąć dżinsy

i...

- Przestań, nie wygłupiaj się.

- Ja się wygłupiam?

- Pewnie. Nie możemy się kochać w mojej kuchni. Nic teraz. Jasne?

- A właśnie że możemy.

- Nie.

- Tak. I wiesz, co ci powiem, moja piękna Lucienne? Sprawi ci to wielką przyjemność.

Zobacz. - Wziął moją dłoń i położył na swoim rozporoku. - Muszę się z tobą kochać. Tutaj. Teraz. Zaraz. Muszę, rozumiesz? - Nerwowo szarpał się z guzikami moich dżinsów. - No zaszalej, choć raz.

Jakże chciałam go posłuchać. Przez moment, jeden króciutki moment, jego propozycja wydawała się nie do odrzucenia. Uznałam, że seks na kuchennym stole to jedyne, najlepsze, najbardziej naturalne wyjście z tej sytuacji. Ja też ciężko oddychałam, zapach Stefana udzielił się i mnie, co zresztą skrzętnie wykorzystał - zdążył rozpiąć mi dżinsy i teraz je ze mnie ściągał.

Lecz to była tylko chwila. Zaraz odezwał się inny, silniejszy głos - macierzyńskiego rozsądku. Wyobraziłam sobie, że mój syn wchodzi do kuchni i widzi mnie, bez spodni, z szeroko rozłożonymi nogami, przygwożdżoną do ściany wąskimi biodrami Stefana, z czerwoną twarzą wtuloną w opiekacz do grzanek. O nie. Nie, nie i jeszcze raz nie.

- Nie, Stefan!

- Tak, tak!

- Powiedziałam: nie!

- Ale pomyślałaś: tak!

- Nie!

- Tak!

W przerwach między tą jakże skomplikowaną rozmową rozgrywał się prymitywny balet moich denerwująco niezdarnych dłoni i rozpiętego rozporoka Stefana. Raczej prędzej czy później nastąpi punkt kulminacyjny, czy to Stefana, czy mój, czy opiekacza. A do tego nie dopuszczę, choćby dyszał mi do ucha całą antologię poezji współczesnej.

- Jezu, Leo! - syknęłam.

Oczywiście było to kłamstwo, i oczywiście podziałało fantastycznie.

- Przepraszam - szepnęłam po chwili, gdy wraz z koszulką i spodniami doprowadziłam do porządku poczucie przyzwoitości. - Ale zdawało mi się, że go słyszę na schodach. Posłuchaj... - Stefan się odwrócił. Chyba miał jakiś problem z rozporokiem. - To dla

mnie zbyt stresujące. - Objęłam go w pasie. - Skończmy z tapetą, położę Leo spać, a potem będziemy się kochać, jak i gdzie chcesz. Na stole, pod schodami, gdziekolwiek. I wiesz co? - Pocałowałam go w kark. - Już się nie mogę doczekać.

Była to, jak na mnie, bardzo śmiała przemowa, ale jego reakcja zmroziła mnie do kości.

- Zobaczmy - mruknął i odsunął się. - Zobaczmy.

Poniedziałek, 14 maja

Nie znoszę poniedziałków. Właściwie to nieprawda. Lubię poniedziałki, w każdym razie teraz lubię je bardziej niż kiedyś. Ale nie znoszę tego poniedziałku. Nienawidzę go.

Koniec końców Stefan się ze mną nie kochał, bo Leo rzeczywiście potrzebował pomocy przy pracy domowej. Zawołał mnie pod pozorem kłopotów z ortografią, a na górze okazało się - po zwykłej w takich sytuacjach dawce niedomówień, aluzji, szlochów, krzyków, złości i potem przeprosin - że nie zaczął nawet referatu o Antarktydzie, do którego miał się zabrać tydzień temu. Kiedy w końcu położyłam go spać, Stefan zdążył już zerwać wszystkie tapety (zadziwiająco, zważywszy poprzednie tempo) i wkładał kurtkę. Musi być w domu przed dziewiątą, wyjaśnił, bo wpadną do niego studenci z pracami. Nic o tym wcześniej nie mówił i poważnie wątpiłam w autentyczność tej wymówki, ponieważ jednak w moim repertuarze uwodzicielki nie ma striptizu - zresztą jak miałam się rozebrać, stałam w przedpokoju z naręczem brudnych ciuchów Leo - nie umiałam go zatrzymać. Ograniczyłam się do rozpaczliwego trzepotania rzęsami. Bez rezultatu. A więc mówił prawdę. Pocałował mnie na pożegnanie - mało entuzjastycznie. Najwyraźniej przegapiłam właściwy moment.

- Zobaczmy się we wtorek na zajęciach, tak? - zapytałam smutno, gdy wsiadał na rower.

Skręcał już na ulicę.

- Pewnie tak - krzyknął przez ramię.

A teraz siedzę w pracy, jest poniedziałek, za oknem leje, czuję się fatalnie, co gorsza, wyglądam fatalnie, a na moim biurku leży pocztówka. Na obrazku Cardiff nocą, piękne, rozświetlone, mrugające światłami. Odwracam ją. Czytam: *Przepraszam*. A poniżej, na samym dole: *Jezu, zrobiłbym wszystko za papierosa*.

No dobra, wiem. Naprawdę. Wiem, że głupota było na to liczyć. Ale i tak miałam nadzieję, że to od Stefana. Właściwie nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Dziś jest poniedziałek. Wczoraj była niedziela. Poczta aż tak szybko nie pracuje. Zresztą myślałam tak tylko przez chwilę. Króciutką chwilkę, a jednak na tyle długą, by moje serce fiknęło koziołka

z radości. Tylko że zaraz przyszła następna; naszpikowana przykrymi wspomnieniami i bolesna jak pierwszy dzień miesiączki. Wszystko zepsułam. Zawiodłam go. Co za fatalny dzień.

- Jakie to miłe - zachwyca się Iona. Najwyraźniej poznała charakter pisma. - Widziałam, jak listonosz ją przyniósł. Ten nasz Joe wcale nie jest taki zły, co? Kiedy chce, jest bardzo troskliwy. Hm... A właściwie za co cię przeprasza?

O nie, nie chcę teraz o nim rozmawiać.

- Nic strasznego - zapewniam ją. Unosi brwi. - Naprawdę nic strasznego.

Opowiadam, co się wydarzyło w szpitalu - Iona ma piątki wolne - i zapewniam, że z naszym szefem wszystko w porządku. A potem odkładam pocztówkę na biurko i ponownie zajmuję się tym, co, jak podejrzewam, zajmie mi cały dzień: martwię się Stefanem i pogrążam w ponurych myślach.

Aż do wyjścia z biura tłumaczyłam nudne instrukcje bojlerów i term, odbyłam także rozmowę z obleśnym Jean - Paulem, dzwonił omówić szczegóły nowego systemu i przypomnieć o spotkaniu w czerwcu. Nawet przez telefon przyprawił mnie o dreszcz obrzydzenia.

- Lubię słuchać, jak mówisz po francusku. - Iona najwyraźniej nie usłyszała odrazy w moim głosie. - Jest taki dźwięczny. Dobrze jest znać obcy język. Bardzo się przydaje.

- No nie wiem. Moją jedyną korzyścią do tej pory była nudna, frustrująca praca w szkole.

- Och, przecież to cudowne! To znaczy, znać dwa języki. Chciałabym znać obcy język. Mogłabym podróżować.

Iona, o ile wiem, pochodzi z Carmarthen i płynnie mówi po walijsku.

- Jesteś dwujęzyczna - przypomniałam jej.

Zachnęła się.

- Nie, kochana, mnie chodzi o prawdziwy język.

- Walijski to prawdziwy język.

- A jakże, i zda się psu na budę. Nick, mój syn, chodził do walijskiej szkoły. Głupota. Myśleliśmy, że na coś mu się to przyda. Chciał pracować w BBC w Llandaff - to mądry chłopak, a oni biorą miejscowych do telewizji - ale w końcu nic z tego nie wyszło. Zajął się public relations. Pracuje dla organizacji ekologicznej.

- No proszę. Na pewno czasami używa walijskiego.

- Nie, niedawno przeprowadził się do Hemel Hempstead. Kupił tam dom z

przyjacielem. - Zamyśliła się.

Już miałam wychodzić, kiedy zadzwonił Joe.

- Bez paniki - zaczął. - Nie musisz jechać do szpitala ani nic, już jestem w domu, wzięłam taksówkę. Chciałbym, żebyś mnie jutro zabrała, dobrze?

- W porządku. Ale jak się masz? Jak ręka?

- Nie wiem, rano robili mi USG i wydawali przy tym entuzjastyczne pomruki, więc chyba wszystko dobrze. Ale wkurza mnie, że znowu zaczynam od zera. Co prawda to moja wina, ale... koło ósmej?

- W porządku - powtarzam. - A przy okazji, wspominałam ci o tym programie telewizyjnym? *Kto was tak urządził?* Zapomniałam ci powiedzieć w czwartek, ale będą kręcić w tym tygodniu i nie mogę przyjść do pracy w środę i czwartek. Wiem, trochę późno ci o tym mówię, ale dasz sobie radę? Tłumaczenia są gotowe, a papiery uporządkuję jutro.

- Poradzimy sobie. - Umilkł na chwilę. - Lu, mówisz o tym tak radośnie, ale jakoś mnie to nie przekonuje. Wszystko w porządku?

Boże, więc tak łatwo mnie rozszyfrować?

- W porządku - mówię po raz trzeci.

Wychodziłam już, gdy zjawił się posłaniec z bukietem lilii.

- Pani Fisher? - upewnił się. - Dobrze, że panią zasiałem, zamówienie ekspresowe. Proszę bardzo! - krzyknął i już go nie było.

Kwiaty. Znowu. Zerkam na bilecik. *Jesteś gwiazdą.* A więc nie od Stefana.

Wtorek, 15 maja

Kolejny szary dzień. Joe go prawie nie ma, bo w piwnicach sądu wybuchł niewielki pożar i teraz siedzą tam z głównym inżynierem i szukają usterki, Iona z zapalem czyści komputer. Przesłano jej próbny komplet specjalistycznych szczoteczek, nawet miniaturowy odkurzacz, i teraz energicznie pucuje całe biuro. A ja ślęczę nad bojlerami i łudzę się, że Stefan zadzwoni, chociaż wiem, że to niemożliwe. We wtorki ma zajęcia na uczelni. A nie posiada komórki z obawy przed szkodliwym promieniowaniem.

A co tam. Joe wraca o czwartej, zmęczony i poirytowany. Nic dziwnego, niewiele brakowało, a przestępcy z Cardiff splonęliby żywcem, nie doczekawszy uczciwego procesu. I zdaje się, niebezpieczeństwo jeszcze nie zostało zażegnane. Dziękuję mu za kwiaty, które ustawiłam na biurku, a on cieszy się i twierdzi, że nie mogłam wybrać lepszej chwili, bo ma do mnie prośbę: czy mogłabym zawieźć go do magazynu, koniecznie musi sprawdzić, czy mamy jakąś, absolutnie niezbędną, część?

- Nie ma sprawy - mówię. - Ale koniecznie muszę wrócić najpóźniej kwadrans po szóstej. Mam zajęcia.

- Zajęcia? - W zadumie stuka ołówkiem w nowy gips, wściekle różowy, bo obiecał Angharad, że taki będzie. - A, zajęcia z malarstwa - przypomina sobie po chwili.

Doszukuję się choćby cienia złośliwości w jego głosie, ale chyba nic takiego nie słyszę. Mimo tego najeżam się natychmiast.

- To nie są zajęcia z malarstwa. My nie malujemy, staramy się zrozumieć malarstwo. I malarzy. Artystów. Zrozumienie artystów jest kluczowym... - E, co tam, po co mam sobie zawracać głowę. Joe i tak niczego nie zrozumie. Zresztą szczerze mówiąc, ja też do końca nie wiem, czy rozumiem wszystko właściwie. Godzinami gapię się z zachwytem na płótna wielkich malarzy i nadal nie wiem, co chcę osiągnąć. Jestem bezproduktywna. Nic mi się nie udaje. Odkąd zaczęłam kurs, nic nie namalowałam, nic a nic. Ba, od wielu tygodni nawet nie wyjęłam farb z szuflady. Czy tak ma być? Czy tak mam się czuć? Nauczyłam się dużo o innych artystach, wielkich artystach, ale co mi to da? Więc po co to robię? Zawracanie głowy? Może on ma rację. Może powinnam chodzić na zajęcia z malarstwa. Albo po prostu siedzieć w domu i malować. Czy to rozsądniejsze? Boże, ten facet doprowadza mnie do szału.

Odkłada na bok ołówek i kartkuje terminarz.

- O której kończysz?

- O siódmej.

- To jeszcze lepiej. Zrobimy tak: posiedzę w sądzie trochę dłużej, a potem przejdę sobie spacerkiem i po zajęciach odwieziesz mnie do domu. A właściwie gdzie będziesz? Koło Park Place?

Przecząco kręcę głową.

- Nie, mamy wykład w muzeum.

- Bomba. To naprawdę rzut beretem. A więc zobaczymy się o siódmej, tak?

- Dobrze, ale nie spóźnij się. Pamiętaj, że muszę jeszcze odebrać Leo.

Nie rozmawiałam ze Stefanem od niedzielnego wieczoru i mija dobre pół godziny zajęć, zanim odzywa się do mnie. Ale przynajmniej chyba już mu przeszedł zły humor.

Dzisiaj Stefan uraczył nas wykładem o Monecie i jego okresie liliowym. Podobno Monet wykonał osiemnaście studiów stawu z liliami w Giverny. Siedzę teraz przed tymi trzema, które znajdują się w posiadaniu muzeum w Cardiff i staram się skupić na kwintesencji motywu (czy czymś tam), usiłuję zwrócić uwagę na ruchy pędzla (chyba), a przede wszystkim robię wszystko, żeby nie śledzić każdego ruchu Stefana (i to jest naprawdę bardzo trudne zadanie). Długo, bardzo długo pochyla się nad Cerys, aż w końcu podchodzi do mnie i zagląda mi przez ramię. Nic nie zanotowałam. Nic nie naszkicowałam. Nic nie zrobiłam.

- Wszystko gotowe na jutro? - pyta.

- Chyba tak - mruczę. - O ile można się przygotować na zmasowany atak ciężkiej artylerii.

Od niechcenia głaszczę mnie po plecach, muska płatek ucha.

- To dobrze, to dobrze - kiwa głową. - Pomyślałem, że jutro wpadnę wcześniej, przywiozę trochę rzeczy.

- Jeśli chcesz, możesz wpaść już dzisiaj - podsuwam z nagłą nadzieją. - Mogłabym po ciebie przyjechać. Tak byłoby najprościej.

Pokręcił przecząco głową, jeszcze zanim skończyłam mówić.

- Nie, nie. - Podnosi się i klepie mnie po głowie swoim szkicownikiem. - Nie ma potrzeby. Zresztą mam dzisiaj dużo roboty. A jutro trzeba rano wstać.

- Jak chcesz - odpowiadam lekko, starając się nie okazać rozczarowania. Zastanawiam się, co też takiego ma do roboty. - Jak chcesz - powtarzam. - Tak mi to przyszło do głowy.

Pod koniec zajęć widzę, że Joe już jest w muzeum. Przechadza się, udaje, że ogląda obrazy, ale tak naprawdę chyba podsłuchuje Stefana. A potem, kiedy idę po płaszcz, widzę, że panowie pogrążeni są w rozmowie. Stoją pod abstrakcyjnym płótnem Johna Hoylanda. Stefan coś pokazuje, Joe kiwa głową. Wracam z szatni i Joe jest już sam. Teraz podziwia

sąsiednie płótno. To nowy obraz pędzla walijskiego malarza, Kevina Sinnotta, olej pełen życia, koloru i światła. Dwie biegnące postacie stanowią wspaniały kontrast z osią wielkomięjskich ulic. Znam go dobrze.

- To jedno z moich ulubionych płócien - informuję go, podchodząc bliżej. - Zawsze mnie zastanawia, że do końca nic wiesz, kto jest kim. Widzisz, nazywa się *Ucieczka z fryzjerem*. Ten malarz studiował w Cardiff, wiedziałeś? Nie wydaje ci się, że ten obraz ma wszystkie cechy typowe dla arcydzieł impresjonizmu? No wiesz, co prawda nie znam się na tym, ale czy nie przypomina ci Cezanne'a? Światło. Intensywność, wiesz, o co mi chodzi? I duszna, parna atmosfera, jak przed deszczem, gdy wiesz, że zaraz lunie, ale na niebie jeszcze świeci słońce. I ta technika. Poruszające, prawda?

- Hm - mruczy i przygląda mi się uważnie. - No, dobra. Gotowa?

Wychodzimy z muzeum i zbiegamy po schodach. W ciepłym powietrzu wirują pyłki. Nie pogodziłam się jeszcze z tym, że Stefan ma dzisiaj dużo roboty, ale przynajmniej z nim rozmawiałam. Joe zresztą też.

- Mój Boże - zauważa lekko, gdy przechodzimy na drugą stronę ulicy - co za fiut.

- Słucham?

Wskazuje głową muzeum.

- Ten twój nauczyciel. No, owszem, zna się na rzeczy, ale straszny z niego fiut, co? - Zerka na mnie spod oka i chichocze pod nosem.

Ruszam dalej i milczę przez dłuższą chwilę.

- Doprawdy? - cedzę w końcu. - A niby dlaczego?

- Och, Lu, daj spokój, chyba się ze mną zgodzisz. Wiem, że interesujesz się sztuką i w ogóle, ale chyba nie bierzesz tego aż tak poważnie? Chodzi mi o to, że jak wszyscy maluczcy, jestem pod wrażeniem wielkiej sztuki. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: niektóre obrazy to chłam. Na miłość boską, jak można snuć metafizyczne wywody na temat czegoś, co mógłby namalować pięcioletni dzieciak? Albo na temat kilku pasków? Tym się zajmujesz na zajęciach? Uczysz się produkować taki artystyczny bełkot?

- Różne dzieła przemawiają do różnych ludzi - mówię z wyższością. - To, że pewne formy twórczej ekspresji nie robią na tobie wrażenia, nie znaczy, że są mniej wartościowe.

Przestaje się uśmiechać, patrzy na mnie ostro.

- Oczywiście - zgadza się. - Ale to stwierdzenie można odwrócić, prawda? - W jego głosie pojawiła się nuta irytacji. - I właśnie o to mi chodzi. Jeśli ktoś, ja na przykład, nie pojmuje pewnej idei, nie oznacza to automatycznie, że jest plebejuszem. Jeśli ktoś nie nauczył się na pamięć psychodelicznego bełkotu, nie snuje pretensjonalnych i najczęściej

bezsensownych rozważań o sztuce, nie znaczy to, że nie stać go na wyrażanie opinii o dziele sztuki. Co niniejszym uczyniłem - dodaje burkliwie. Szkoda, że tego wszystkiego nie słyszał tamten fiut - wskazuje głową muzeum.

Zatrzymujemy się na przejściu dla pieszych.

- Tak się składa - zaczynam, wpatrzona w światła - że ten fiut to mój facet.

Długa chwila ciszy, którą próbuję się napawać, gdy przechodzimy przez jezdnię. I napawałabym się, naprawdę, tylko nie wiadomo dlaczego złożona przed chwilą deklaracja teraz wydaje mi się kłątą.

- Co? - Joe nie wierzy własnym uszom. - On?

Odwraca się i cofa o kilka kroków, jakby widok Stefana pomógł mu zorientować się w sytuacji.

- Owszem, on - potwierdzam.

- Chcesz powiedzieć, że ty i on... że on i ty... Mój Boże! O Jezu. Przepraszam.

- Nie musisz - oznajmiam sztywno. - Nie wiedziałeś.

Posyła mi długie spojrzenie.

- Bo nic nie powiedziałaś.

Wyczuwam oskarżycielski podtekst tego zdania, ale ignoruję to. Fiut, też mi.

- Nie przypominam sobie, by w umowie o pracę było zastrzeżenie, że mam cię informować o mojej sytuacji osobistej.

- No, tak, ale... nic nie powiedziałaś - powtarza. - Więc się chyba nie dziwisz, że...

- Nazwałeś go fiutem? Ależ skąd.

- I tak mi przykro. - Nie wiadomo dlaczego, znowu się uśmiecha.

- Wcale nie.

- Owszem.

- Akurat. A jeśli już, to tylko dlatego, że gdybyś wiedział, że to mój facet, trzymałbyś język za zębami. Ale myślałbyś to samo, prawda?

- No, nie wiem. Gdybym wiedział, że to twój...

Odwracam się gwałtownie w jego stronę.

- To bez znaczenia! Masz go za fiuta. Orzekłeś to po pięciu minutach rozmowy. Świetnie. Koniec. Ale mnie nie obchodzi. co o nim myślisz. Twoje zdanie nic dla mnie nie znaczy, jasne? Dla niego też nie. - Idę dalej. - Co go może obchodzić opinia kogoś takiego jak ty?

Dogania mnie.

- Kogoś takiego jak ja? To znaczy?

- Kogoś, kto nie ma za grosz inteligencji artystycznej - mówię. - Kto ma umysł owada.

- To niesprawiedliwe.

- Niesprawiedliwe? No tak. Tobie wolno orzec, że facet, którego widzisz pierwszy raz w życiu, to fiut, ale ja nie mogę powiedzieć, że masz mózg jak mucha, tak? Skoro tobie wolno, to mnie też. Nie widzisz analogii?

- Coś takiego. - Jezu, czy on naprawdę się uśmiecha? - Mogę go nazywać fiutem, bo moim zdaniem fiutem jest. Moim zdaniem. Do którego mam święte prawo.

Dochodzimy do kolejnego skrzyżowania. Zatrzymuję się, żeby pogrozić mu palcem.

- Chwila, moment. O ile pamiętam, zaledwie kilka minut temu było ci przykro, że nazwałeś go fiutem, może nie?

Macha ręką w gipsie.

- To rozważania hipotetyczne. W każdym razie, jak już powiedziałem, wyraziłem swoje zdanie. Opinię. A twoja wypowiedź na temat mojej inteligencji to co innego. Inteligencję można zmierzyć. Mogę ci przedstawić dowody, że mam iloraz inteligencji większy niż mucha.

Przechodzę przez jezdnię.

- Naprawdę możesz?

- Co?

- Przedstawić dowody, że masz iloraz inteligencji większy niż mucha? No, dawaj, mądralo, porozmawiajmy o tobie. Co cię upoważnia do wyrażania się negatywnie o Stefanie? Co ty właściwie wiesz o sztuce?

Nie rusza się z chodnika.

- Lu, nie w tym problem. Posłuchaj, problem w tym, że nazwałem tego faceta... jak mu na imię? Stefana? Fiutem, co...

Skrećam w wąską uliczkę, gdzie czeka jaguar.

- A ty wpadłaś w sza! Przepraszam, w porządku? Palnąłem gafę. Nie znam go. To tylko pierwsze wrażenie. Na pewno bym się w ogóle nie odezwał, gdybym wiedział, kim on jest i jestem przekonany, że gdybym go lepiej poznał, zmieniłbym zdanie. A może nie. W każdym razie, nie wiedziałem, że to twój facet, ale teraz już wiem i... - Przygląda mi się. - Boże! Płaczesz! Boże! Poczekaj, mam chusteczki w teczce! Poczekaj, zaraz...

- Nie chcę żadnych chusteczek! - Wyciągam kluczyki z torebki. - Wsiadaj! Już!

- Posłuchaj, jeśli mógłbym ci jakoś...

- Tak! Nie! Jezu, daj mi spokój!

Jedziemy w chłodnym milczeniu przez całe dwanaście minut z centrum do domu

Joego w Cyncoed.

- Posłuchaj, Lu - zaczyna, odpinając pas. - Ja...

- Do widzenia.

- Ja... cóż... Powodzenia jutro.

- Do widzenia.

- Do zobaczenia w piątek.

- Do widzenia.

- To napięcie przedmiesiączkowe, moja droga, nic innego. Uspokój się. Napij się wina, poczytaj książkę, obejrzyj *Milionerów*.

Wina już się napiłam, i teraz głowa mi pęka z bólu. Wino było kiepskie, ból głowy jest upiorny. Dobrze, że Del mnie nie widzi, bo dorzuciłaby jeszcze, że stroję miny.

- Nie mam napięcia przedmiesiączkowego - wyjaśniam. - Jestem po prostu wściekła. Dlaczego ja to robię, Del? Dlaczego? W imię czego siedzę w pokoju, który wygląda jak nigeryjski szpital polowy po ataku szarańczy? I wiesz co? Właśnie powiedziałam szefowi, żeby się odpieprzył.

- Nie!

- Tak. - Pociągam nosem. - Ale dopiero, kiedy odjechałam. Chyba mnie nie słyszał.

- Więc nic się nie stało. A czy mogę zapytać, dlaczego?

- Powiedział, że Stefan to fiut.

- Hm. A kiedy?

- Dzisiaj. Po moich zajęciach.

- Miał jakiś szczególny powód?

- Nie wiem. Rozmawiali przez chwilę, chyba o jakimś obrazie. Nie wiem dokładnie. Nie wiedział, że spotykam się ze Stefanem i tak go podsumował. Del, jestem wściekła.

- Słyszę, słyszę. Już kiedy przyjechałaś po Leo, wydałaś mi się podejrzana. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Nie byłam w stanie.

- Szkoda. Gdybym wiedziała, że tak cię nosi, postawiłabym cię z żelazkiem przy desce. Mam całą stertę koszul Bena do prasowania. Ale trudno. Zresztą Joe ma chyba prawo do własnego zdania.

- Nie mów tak!

- Jak?

- Że się z nim zgadzasz.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Ale zgadzasz się, tak?

- Bez komentarza. Niech Joe strzela gafy, ja nie będę się narażać.

- Jezu! Jak on mnie wkurza! Za kogo on się uważa? Ja jestem zrzędą, Stefan fiutem. Jakim prawem obraża wszystkich dokoła? Co? Jest okropny, zarozumiały i... i... powinien o tym wiedzieć.

- Na pewno już wie.

- I wiesz, co ci jeszcze powiem? Niech no przyśle mi jeszcze jeden bukiet cuchnących lili! Wiesz co z nim zrobię? Wsadzę mu w tyłek! Och! Leo! Co ty tu robisz? Słuchaj, Del, muszę kończyć.

- Poczekaj chwilę. Jeszcze nie powiedziałam, dlaczego dzwonię. Po pierwsze, przyjedziemy jutro z samego rana. Ekipa też, bo chcą nakręcić twój podjazd. A po drugie, chciałam cię o coś prosić. Weekend za dwa tygodnie. Czy mogłabyś zabrać Simeona? Zapiisałam się na zabieg do okulisty. W poniedziałek w Bristolu, ale Ben będzie od soboty na konferencji w Bath, więc pojedziemy razem. I jeszcze załapiemy się na uroczystą kolację i bal. Od soboty do poniedziałku. Zgodzisz się?

- Ach, ten zabieg laserem, tak?

- No właśnie. Już nie mogę się doczekać. Więc jak?

- Nie ma sprawy. Słuchaj, muszę zapędzić Leo do łóżka.

- I sama też się połóż. Jutro czeka nas ciężki dzień. Kolorowych snów.

Szkoda, że nie mam koszul do prasowania. Czy raczej kogoś, komu mogłabym je prasować.

Środa, 10 maja

Szanowni państwo, witamy w programie *Kto was tak urządził?* Nazywam się Africa O'Brien, a dzisiaj jesteśmy w Cardiff, stolicy Walii... Stop! Jak myślisz, Mand, mam to mówić? Że to stolica? Chyba wszyscy to wiedzą? Co? Nie, nie, tylko się upewniam. No, dobra. OK, Bill? Dobra.

- Szanowni państwo, witamy w programie *Kto was tak urządził?* Nazywam się Africa O'Brien, a dzisiaj jesteśmy w Cardiff, stolicy Walii. A dokładnie mówiąc, w uroczej miejscowości Cefn Melin... Nie? A jak to się wymawia? Cefin Melin? A jak? Cevin? Jak Kevin? Ach, tak. No, dobra.

- Szanowni państwo, witamy w programie *Kto was tak urządził?* Nazywam się Africa O'Brien. Dzisiaj jesteśmy w Cardiff, stolicy Walii, a dokładnie mówiąc w uroczym miasteczku Cefn Melin, którego największą chlubą jest miejscowy pub, a bywał w nim ponoć nie kto inny, tylko sam Olivier Cranwell... na rany Chrystusa, kto to jest? Mand, czy to nie powinien być Oliver Cromwell? Tak, na pewno miał być Cromwell. Sorry, chłopaki. Musimy zacząć jeszcze raz. Co? Jak? Na pewno? Na pewno Cromwell? Jezu. Nikt nic nie wie.

- Szanowni państwo, witamy w programie *Kto was tak urządził?* Nazywam się Africa O'Brien. Dzisiaj jesteśmy w Cardiff, stolicy Walii, a dokładnie mówiąc, w uroczym... No nie! Nie mogę! Co za pech! Bill, parasol!

Nie wiercie we wszystko, co widzicie w telewizji.

Africa O'Brien to tylko jedna z chyba czterdziestu osób, które mniej więcej za kwadrans siódma najechały mój dom. Są wśród nich gońcy, stolarze, pomocnicy stolarzy, dźwiękowcy, kamerzyści, asystenci dekoratorów, wizażyści, oświetleniowcy, ludzie ze zwojami kabla na ramieniu, ludzie z klapsami, ludzie, których głównym zadaniem jest noszenie płaszczy za innymi, i tacy, którzy chyba nie mają nic do roboty poza głośnymi rozmowami i popijaniem kawy z plastikowych kubków. Przed domem stoi wielka ciężarówka i pięć wozów. Ze wszystkich wyjmują sprzęt: farby, wiertarki, taczki, skrzynki z narzędziami, panele, drewno, gładź szpachlową, tajemnicze worki, pudła, skrzynki. Dwie osoby ustawiają altankę w moim ogródku, dwie inne montują stoły i ławy. Ktoś inny zajął się przenośnym bufetem z napojami. A niebawem koło boiska stanie barek na kółkach, żeby filmowcy nie byli głodni.

Jestem pod wrażeniem.

Już nie jestem pod wrażeniem. Jestem za to zaskoczona, zdziwiona i szczerze mówiąc, przerażona, że zapomniałam o jednej bardzo istotnej rzeczy. Otóż pary występujące w programie służą jako szare tło dla blasku prezenterów i przez cały czas zdjęciowy występują na planie w upiornych, bezkształtnych koszulkach i dresach z logo programu, kolor w zależności do pory roku. Szczególnie przerażające są spodnie: mają ściągacze na kostkach, nibyrozporek i niepotrzebne wielkie kieszenie, jednym słowem - odzieżowa metoda antykoncepcji, na pewno niezawodna. Mamy lato, więc do wyboru są dwa kolory: morski (czyli ciemnoniebieski, więc od razu jasne, że przechwyci go Del) i piaskowy. Piaskowy, czyli woda po zmywaniu, karma dla kurczaków.

- Załóż je, kochana, to nakręcimy pierwszą scenę - pogania mnie Africa. Fryzjerka poprawia jej w tym czasie fryzurę.

- Są za duże - marudzę.

Kręci głową z dezaprobatą.

- Wiesz, jak jest - mruczy. - Kończymy sezon, tylko takie nam zostały. Zresztą lepiej za duże niż za małe, nie? - Klepie mnie po głowie. - Nie martw się, nie będzie tak źle, tylko wypuść koszulkę na wierzch.

Wypuszczam. Wyglądam jak materac.

Wpycham koszulkę do spodni. Już nie wyglądam jak materac. Teraz wyglądam, jakbym miała siedemnaście królików w kieszeniach i po jednej śwince morskiej na pośladku.

- Super! - uśmiecha się Africa. - Świetnie wyglądasz, **Lucy!** Bomba! A wiesz, że po zdjęciach dostaniecie te ciuchy na pamiątkę?

Potwór zwany *Kto was tak urządził?* obudził się do życia. Pomachaliśmy Del i Benowi na pożegnanie przed kamerami, a potem przenieśliśmy się do nich (a z nami Tia, Damon, Manda, Africa, jeszcze z dziesięć osób i nowe markizy, skrzynki, wiertarki i tak dalej). Stefan i ja mamy po raz pierwszy zakosztować szalonej kreatywności w sypialni Del i Bena, w której zresztą właśnie się znajdujemy. Tia rzuciła swoją wizję na papier. Obrazek otaczają próbki farb i tkanin. Wygląda to bardzo profesjonalnie.

- Do czego zmierzasz, Tia? - pyta Stefan, który czuje się jak ryba w wodzie, z lubością używa dziwacznych języków artystów i chyba sądzi, że znalazł pokrewną duszę.

- Cóż. - Tia zakłada ciemny kosmyk za ucho i dźga rysunek długim paznokciem. - Spójrz na to. Nowoczesność. Północny wschód. Kwadrat. Co tu można zrobić? - Rozgląda się

dokoła i chyba czeka na aplauz. Stefan kiwa głową. - To bardzo nowoczesny pokój. Bardzo charakterystyczny. Ale trzeba do tego podejść od innej strony - ciągnie. - Sam wiesz, jak to jest. Modny jest *look* z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych i najprościej byłoby pójść w tym kierunku. Ale mam wrażenie, że Del i Ben nie byliby zachwyceni sypialnią w psychodeliczne kwiaty, co, Lucy? No więc poszłam odmiennym tropem i wymyśliłam coś zupełnie innego, co chyba świetnie odda charakter pokoju, a zarazem uwypukli ich charaktery i styl życia. Wymyśliłam skrzyżowanie Tate Gallery i pralinek Quality Street.

Coś takiego. Przekłada kartkę w swoim szkicowniku i naszym oczom ukazuje się kolekcja kolorowych papierków z czekoladek Quality Street. Są wszystkie, nawet te czerwone, które jako jedyne wiszą u nas na choince po świętach, bo nikt ich nie lubi. Bardzo to ładne. Nie jestem pewna, czy Del byłaby zachwycona, słysząc, że uważa się ją za osobę, której charakter oddają opakowania po cukierkach, ale to naprawdę ładne. I takie w stylu Del.

Stefan znowu kiwa głową.

- Jak najbardziej - mruczy. - Wiem, o co ci chodzi, Tia. Pewne odwrócenie schematów. Cukierkowa słodycz i nowoczesny, współczesny kontrapunkt.

Och! Wreszcie coś rozumiem.

Teraz i ona kiwa głową.

- No właśnie, Stef. - Stef? - Odwrócenie schematów. I tu, ma się rozumieć, wchodzi twoje obrazy. - Obrazy? Jakie obrazy?

Odlicza na palcach.

- Wiem już wszystko: baldachim. Delikatne firanki. Minimalizm w oknach. Jasne szkło. Światło i cień. Maksymalny kontrast. Tak?

Ach, rozumiem. Jak na jej szkicu.

Tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o czym rozmawiają. Ale nieważne, drobiazg.

10.52

Wreszcie przyszedł czas na scenę z otwieraniem farby. Tia i Stefan gdzieś przepadli, chyba mają coś innego do roboty. Z sypialni Del i Bena zniknęły wszystkie meble i drobiazgi przywodzące na myśl wschodnie wybrzeże USA.

Pięć puszek pochodzi z bardzo drogiej firmy, której podstawowym chwytem reklamowym jest wypisywanie na etykietach, że wybrany odcień jest identyczny jak ten w zabytkowej edwardiańskiej toalecie w Chippenham, i tak dalej. Tia, uzbrojona w ogromny śrubokręt, woła nas do siebie.

- Dobra - zaczęła, gdy ważna kobieta imieniem, zdaje się, Sheena, uciszyła resztę zebranych. - Mam nadzieję, że się wam spodoba. - Zręcznie podważa przykrywki i z promiennym uśmiechem prezentuje wybrane kolory.

Trzy odcienie różu. Fiolet. 1 turkus.

- Super - mówię.

- Świetne - dodaje Stefan.

Tia uśmiecha się.

- Cięcie! - wrzeszczy Sheena.

- Muszę wam przerwać - zwraca się do nas, odgania dźwiękowca i kuca obok. - Widzicie, kochani, chodzi o to, żebyście żywiej reagowali. - Tia kiwa głową. - Może jakbyście przeżyli szok? No wiecie, jakbyście się spodziewali czegoś innego? Spokojniejszego? Wyraźcie zwątpienie? Wahanie? - Trąca Stefana w ramię. - Pokłóć się. Widzowie to lubią, misiu. Nie ma to jak dobra kłótnia w telewizji.

Stefan milczy. Powoli dociera do mnie, że uważa się za jednego z nich, a kiedy kobieta z ołówkiem mówi „misiu”, ego Stefana cierpi niezmiernie.

- Kiedy mnie się podobają - protestuję. - I Del też się podobają. - Ben ma w nosie, jak wygląda pokój, jeśli tylko nie zabiorą mu telewizora, a Del... Del będzie zachwycona. Róż to jej kolor. Jestem przekonana, że gdyby sama na to wpadła, już dawno wykleiłaby sypialnię papierkami od czekoladek.

- No, dobra. - Tia zamyka puszki. - Ale łapiecie, o co chodzi, nie?

11.07

- Och, jej, ten jest super! Prawda, Stefan? Ale nie wiem, czy ten... Jest taki... No, sama nie wiem, za jasny trochę, nie? No, wiem, że na ścianie będzie wyglądał inaczej, ale... O Boże! O Boże, nie, to turkus? Po moim trupie...

I tak dalej. Idiotyczne.

12.26

Przerwa obiadowa.

Obiad jemy w dwóch turach, chyba po to, żebyśmy nie mogli porozmawiać spokojnie i wszcząć buntu. My idziemy na pierwszy ogień. Z baru na kółkach dolatuje przyjemny na razie zapach smażonej cebulki i sosu. W okienku pojawia się jowialny mężczyzna po sześćdziesiątce imieniem Frank. W karcie dwa dania do wyboru - wątróbka z puree albo ryż z warzywami. Widzę, że Frank bez problemu odgrzewa Stefanowi w mikrofalówce jego kuskus.

Widzę to z dużej odległości. Bo Stefan siedzi z Tią Slater. A ja z Willem, stolarzem. Przy takim programie stolarz ma pełne ręce roboty. Co prawda jego praca jest na tyle mało efektowna, że rzadko go kręcą, ale i poza wizją jest stale zajęty. Realizuje znaczną część projektów Tii, kłóci się z Kitem i wyczarowuje falliczne cuda swoją piłą. Dawniej pracował jako scenograf; w BBC. Musiałam zaprowadzić go z domu na obiad i z powrotem, bo bał się, że zabłądzi.

Tia też się bała. Od mojego domu do boiska, przy którym zaparkował barek, jest nie dalej niż dziesięć, piętnaście minut na piechotę, ale nad Cefn Melin wiecznie wiszą deszczowe chmury, więc uznano, że spacer jest zbyt ryzykowny. Tia potrzebowała pilota, żeby nie zabłądzić małym żółtym sportowym autkiem, a Stefan ochoczo zaoferował swoje usługi. Nie bardzo mi się to podoba.

Czekam na deser i obserwuję, jak Tia odnosi brudne naczynia i nalewa sobie wrzątku do kubka, do którego wrzuciła własną ziołową herbatkę.

Pojawia się mój banan. Tia uśmiecha się lekko.

- Och - świergoce - zawstydzasz mnie, Lucy, naprawdę. I jeszcze dwie szarlotki, Frank.

19.37

Co mnie obchodzi, że Tia Slater ma biodra jak dwunastoletni chłopiec? Że dostała już kilka nagród telewizyjnych? Nie obchodzi mnie nawet to, że posługuje się dłutem w taki sposób, że mężczyznom wychodzą oczy z orbit. Obchodzi mnie natomiast, i to bardzo, co innego. Jej zainteresowanie abstrakcją. Bo Stefan wychodzi.

- Jak to? Teraz? Dokąd? - dopytuję się.

Przez całe popołudnie malowaliśmy sypialnię Del na różowo - - fioletowo z turkusowymi akcentami, co zresztą doskonale widać na moich włosach. Punktualnie o piątej Sheila uznała, że na dzisiaj dosyć i trzy minuty później już nikogo nie było. Dom jest pusty, spokojny i cichy. Przeszkadza mi trochę zapach świeżej farby, ale świece aromatyczne szybko rozwiążą ten problem. Nakrywam do stołu. Mam pewne plany. Zaplanowałam kolację. Wieczór. Noc.

Patrzy na mnie potulnie.

- Wracam do siebie - mruczy. W pierwszej chwili pomyślałam, że ucieka na całą noc.
- Ale nie na długo - dodaje pospiesznie, widząc moją minę. - Muszę zabrać pędzle, farby, kilka płócien.

Nie bardzo wiem, jakie arcydzieło zaplanowali z Tią do sypialni Del, bo dyskusje na

ten temat odbywały się poza mną.. Jakoś wątpię, by były to ckliwe landszafty z króliczkami.

Szuka w torbie reflektora do roweru.

- Nie wygłupiaj się. Podwiozę cię. Na rowerze strasznie długo ci to zajmie.

Kręci głową.

- Nie, nie, nie zwracaj sobie głowy.

- Nie zwracam.

- Nie. To znaczy wolę pojechać na rowerze. Trochę ruchu dobrze mi zrobi.

- Jeszcze więcej ruchu? Przez cały dzień zasuwaliliśmy jak małe samochodziki.

- Poza tym może coś namaluję, jak już tam będę. Mam kilka niedokończonych płócien, rzucę na nie okiem i może...

Wszystko do sypialni Del? Dlaczego?

- Nie ma sprawy - zapewniam. - Poczekam. Po prostu zjemy później, dla mnie to bez znaczenia.

Właściwie coraz bardziej podoba mi się wizja godzinki lub dwóch na kanapie Stefana. Będę patrzyła, jak pracuje. Sączyła wino. I czuła narastające podniecenie. Lecz wyraz jego twarzy ściąga mnie na ziemię.

- Słuchaj - mówi tonem wykluczającym wszelką dyskusję. - Wolałbym pojechać sam, OK? Im szybciej wyjdę, tym szybciej wrócę, prawda?

- Jeśli tak wolisz - mruczę zagubiona. - Po prostu myślałam...

Nagle przyciąga mnie do siebie.

- Chodź tu do mnie, królewno - mruczy gardłowo. Jego dłonie zaciskają się na moich pośladkach. - Nic nie rozumiesz, prawda? - szepce mi do ucha. - Niby jak mam pracować, mając cię u boku?

Opiera mnie o framugę drzwi kuchennych i przez kilka minut całujemy się namiętnie. Jego zarost drapie mi twarz. Oddycha coraz bardziej chrypliwie i zaczynam podejrzewać, że będziemy się kochać tutaj, teraz, w drzwiach do kuchni. Lecz Stefan przerywa pocałunek.

- Czas na mnie - mówi.

- Szkoda, że idziesz.

- Muszę. Nie martw się kolacją. Ale czekaj na mnie. - Znacząco spogląda w stronę sypialni. - Wrócę za godzinę.

Czwartek, 17 maja

7.48

Budzą mnie krople deszczu walące beznamiętnie w obcy dach. Gdzie ja jestem?

Otwieram oczy i rozpoznaję widok z sypialni Del i Bena: w okno zagląda ogromny kasztan. Na białych kiściach kwiatów lśnią krople deszczu.

Przypominam sobie wszystko. Stefan. No tak. Wczoraj o dziewiątej zadzwonił i przepraszał. Praca tak go wciągnęła, że chciał jeszcze trochę zostać. Nie, niedługo. Położyłam się spać kilka minut po północy, bo oczy same mi się zamykały. Odwracam się na bok. Łóżko jest puste, ale w poduszce jest charakterystyczne wgłębienie. Dotykam go. Jeszcze ciepłe. Oddycham z ulgą.

Chociaż nie do końca. Gdzie on się podział, do cholery? W końcu odnajduję go w garażu. Maluje. Kompletnie oderwany od rzeczywistości. Nie słyszy, jak wchodzę. Boję się odezwać, żeby go nie przestraszyć. Nie chcę go zdenerwować. Cichutko chrząkam. Odwraca się w moją stronę.

- Tu się schowałeś - zaczynam. Nadal mam na sobie koszulę nocną z Tygrysiem. Nagle czuję się bardzo głupio. - O której wczoraj wróciłeś?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, nie patrzyłem na zegarek.

- Trzeba było mnie obudzić.

Nadal maluje. Szybkimi, nerwowymi pociągnięciami pędzla. Krwistoczerwoną farbą. Związał włosy różową wstążką.

- Nie - odpowiada. - Spałeś słodko jak dziecko.

Moja pierwsza noc z mężczyzną od Bóg wie kiedy. Moja pierwsza noc z nim. A ja nawet nie byłam świadoma jego obecności. I miałam na sobie kretyńską koszulę nocną.

- Rano?

- Właśnie.

Podchodzę bliżej. Podłoga w garażu jest lodowata.

- Nie spałabym długo, zapewniam cię.

Przestaje malować, wskazuje mnie końcem pędzla.

- Czyżby? - Obrzuca mnie uważnym spojrzeniem, z góry do dołu i z powrotem do góry. Puszczą oko.

- Wiesz co? Mam propozycję. Zaparz herbatkę, ja tu skończę i wrócimy do łóżka.

Dzwonek przy drzwiach rozlega się jednocześnie z gwizdkiem czajnika.

- Piękny dziś mamy dzień, co? - zauważa Will.

12.47

Przestało padać, więc wysłano mnie do ogrodu z zadaniem wycięcia płacht w pięciu

kolorach. Znalazłam się w najdalszym kącie ogrodu z kartką niejasnych wytycznych Tii. Są niejasne przede wszystkim dlatego, że załała je kawą. Nożyce są tępe. Jest zimno. Fatalnie.

Tia jest w środku, filmuje ze Stefanem. Fragment o jego obrazach, o których wszyscy, ale to wszyscy bez przerwy rozprawiają. Wiem, że to normalne. Wiem, że w telewizji wszyscy w kółko powtarzają, że wszystko jest cudowne i wspaniałe, ale i tak się wkurzam. Nie powinnam tak reagować, ale nic na to nie poradzę.

Africa biegnie w moją stronę przez deszczowy ogród.

- Jak leci? - pyta. - O Jezu! Co za okropny śliski materiał! - Patrzy na szkic i mlaska z dezaprobatą. - Baldachim, tak?

- Chyba tak.

- I te wszystkie trójkąty i prostokąty pasują do siebie?

- Teoretycznie.

Wyjmuje z kieszeni miarkę, sprawnie mierzy płachtę purpurowego tiulu, sięga po nożyce.

- Cała Tia - mruczy. - Zawsze wymyśla coś zakreconego. Masz to pozszywać?

- O Boże, mam nadzieję, że nie. Nie mam zielonego pojęcia o szyciu. Chyba mówiła, że sama to zrobi.

- Raczej ja - śmieje się Africa. - No, dobra, to bez znaczenia. Efekt będzie super. Jak myślisz, spodoba się twojej siostrze?

- O, na pewno.

Fachowo i pozornie bez wysiłku tnie śliski materiał.

- A obrazy twojego faceta? Zupełnie inna para kaloszy, co?

- Cóż, Del nie przepada za sztuką abstrakcyjną - przyznaję.

- A ty?

- Ja? O, ja uwielbiam.

13.11

Właściwie sama nie wiem, czemu to powiedziałam, bo pierwsze, co zobaczyłam po powrocie do domu, to obraz, nad którym od rana pracował Stefan. Ten krwistoczerwony. I okazało się, że to tylko czerwony prostokąt. Tylko prostokąt, nic więcej. Też mi sztuka. Słońce dla odmiany zdecydowało się zostać trochę na niebie, Damon na zewnątrz mocuje się z drzwiami do garderoby, które Tia chce obić różową satyną. Większość ekipy pojechała do mnie. Żeby nakręcić jak najwięcej przed przerwą na lunch. Nie znaczy to jednak, że dom opustoszał. Ktoś ustawia reflektory w sypialni, ktoś kręci się po kuchni. Wyruszam na

poszukiwanie maszyny do szycia.

Na strychu chyba ktoś jest. Zadzieram głowę. I wtedy słyszę coś innego. Rozmowę z sypialni. Głos Tii.

Z mojego miejsca, trzy stopnie poniżej korytarza, widzę tylko jej nogi; od kolan w górę zasłaniają stolik i ustawiona na nim chwilowo toaletka Del. Zdaje się, że podziwiają obrazy Stefana.

- Nie, nie - mówi Tia. - Nie zgadzam się. Moim zdaniem to trzeba dać na tamtą ścianę. Widzisz, jak się układa cień? Tam, na ukos, w rogu. Tak będzie lepiej, mówię ci. - Robię krok naprzód, ale nagle przychodzi mi do głowy, że filmowcy pewnie kręcą. Lepiej nie przeszkadzać.

Stopy Stefana przesuwiają się szybko.

- No, tak, ale tutaj jest lepsze światło. A zważywszy, że to sypialnia, to podstawowa zaleta. W nocy, nie zapominaj, ludzie chodzą spać. - Wraca na poprzednie miejsce.

Tia się śmieje.

- W Cardiff może i tak.

Stefan też parska śmiechem.

- No, czasami. To znaczy, kładą się spać.

- Ach. - Tia wpada mu w słowo. - A pomyślałeś, co się dzieje, kiedy nie śpią? Nie wydaje ci się, że właściwa atmosfera, odpowiednia stymulacja, jest bardzo ważna? Może najważniejsza?

Robi krok w jego stronę, kuca przed obrazem. Nagle widzę ją aż po ramiona. Jasne włosy spadają jej na plecy ciężką falą.

Stefan też się zbliża, kuca koło niej. Chyba mu niewygodnie w tych okropnych spodniach od dresu.

- Och, nie mam nic przeciwko właściwej stymulacji - mruczy, już wyprostowany. Chyba wygląda przez okno. Po chwili się odwraca.

I recytuje Dylana Thomasa.

O Boże. Jak on śmie! Jestem w szoku. Przerazona. Wściekła. Tia nic nie mówi, ale też wstaje. A potem przywierają do siebie.

Nie ma kamer. Nie ma futrzanych mikrofonów.

Cichutko zbiegam ze schodów.

15.46

Nie mam żadnych sensownych dowodów. Nie widziałam, nie słyszałam nic pewnego.

- Zrobione - oznajmia z ulgą Africa, która zgodnie ze swoimi przewidywaniami sama zszywała płachty tiulu w barwny baldachim. Tia i Damon upinają go teraz w sypialni. Stefan przykręca kryształowe gałki do komódki. W całym pokoju jest znowu pełno ludzi, kamer, mikrofonów i kubków kawy. A ja robię co w mojej mocy, by zachować dobry humor.

- Ślicznie - przyznaję. - Nie przypuszczałam, że tak dobrze to wyjdzie.

Tia spogląda na mnie z góry.

- Wstydz się, Lucy! - żartuje. - Więcej wiary! W końcu jestem projektantką!

16.20

Dziwnie się czuję po powrocie do własnego domu. Jakbym stąd wyjechała bardzo dawno temu. Africa uparła się, że mamy nie otwierać oczu, póki nie będziemy w saloniku.

- No, już zaraz - szepce i ściska mnie za rękę. - Pewnie nie możesz się doczekać.

Właściwie nawet ją lubię. Z kuchni dobiega głos Kita Davis - Donovana.

Ktoś dotyka moich włosów.

- OK! - pada komenda i po omacku wchodzimy do środka. - Nie wychodź z kadru! - słyszę upomnienia.

Otwieram oczy i znajduję się w pokoju o wiele większym niż ten, który opuściłam. W ładnym pokoju. Rześkim i ożywczym. Na jasnej podłodze zielenią się puszyste dywaniki. Przywodzą na myśl wiosenny sad i gdyby nie to, że od dawna powstrzymuję łzy z innego powodu, rozplakałabym się ze wzruszenia.

18.10

Postanowili nakręcić ostatnią scenę w moim ogrodzie, nie u Del. Ktoś już wyczarował butelkę szampana. Jest tylko jeden problem, zauważa Sheena.

- Musimy jeszcze raz nakręcić rozmowę Kita i Afriki - tłumaczy. - To nie potrwa długo - zapewnia. - No, kochani, do roboty.

Nie czekamy na nich, ktoś i tak otwiera szampana. Tłoczmy się w przejściu i obserwujemy, jak powtarzają nieudaną scenę. Zimny szampan przyjemnie chłodzi gardło, bąbelki łaskoczą w nosie. Wychylam duszkiem pół kieliszka. Chciałabym się upić.

- Idealnie! - krzyczy Will.

- Cisza na planie! - huczy ktoś za moimi plecami.

- No, Kit - zaczyna Africa - po raz kolejny nie zmieściłaś się w kosztorysie. I co, zadowolony? - Kit wzrusza ramionami. - I co teraz? - pyta Africa.

Kit udaje, że się zamyśla.

- Nie narzekaj, Africa, tylko ciesz się, że nie czerpałem inspiracji z piosenki o naszej

bohaterce... - zawiesza dramatycznie głos: - *Lucy in the Sky with Diamonds*.

Właściwie to nawet zabawne. Nie mam nic do Kita. Nie mam nic do Afriki. Lecz to moja ostatnia szansa, by zaznaczyć moją obecność, pokazać, że ja też się tu liczę (a z każdą chwilą czuję się coraz gorzej), kaszlę głośno i wychodzę na środek pokoju.

- Przestańcie - zwracam się do kamerzystów.

Patrzą na mnie ze zdumieniem.

Manda kręci głową ze złością.

- Nie nazywam się Lucy, jasne?

Kit jest wstrząśnięty.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? - martwi się. - Czuję się okropnie. Okropnie. Posłuchaj, jeszcze nic straconego. Trochę popracujemy przy montażu i wszystko będzie dobrze. - Jest taki przejęty, żałuję, że cokolwiek powiedziałam. A potem okazuje się, że do zaprojektowania mojego saloniku zainspirowała go moja własna akwarelka, którą Del w tajemnicy przede mną zniosła ze strychu i która teraz wisi na honorowym miejscu nad kominkiem. Tego już za wiele. Uciekam do łazienki, żeby nie widział, że płaczę.

Godzinę później mój dom znowu należy tylko do mnie. Del i Ben wrócili do siebie, nadzorować zwijanie obozu z ich ogrodu. Tia Slater, na szczęście, poszła z nimi. Stefan sprząta garaż. Ledwie jednak doprowadziłam kuchnię do ładu i wyszłam do przedpokoju, zobaczyłam go, jak wkłada kurtkę.

Znowu. O rany.

- Och - zaczynam. - Wychodzisz?

Kiwa głową. Zdążył, jak zauważyłam, zmienić dresy na dżinsy.

- Tak, czas na mnie. Jeśli ci to nie przeszkadza, zostawię u ciebie farby i rower. Tia mnie podrzuci.

Mój żołądek spada w bezdenną przepaść.

- Tia? Dokąd?

- Do mnie. - Nie patrzy mi w oczy.

- Och.

- Chciała obejrzeć moje prace, a to po drodze, więc... No tak.

Wsuwa ręce w kieszenie. Jej przyjaciółka otwiera kawiarnię artystyczną w Bristolu i podobno...

- Jak to? Teraz? Mieliśmy iść na kolację do Del i Bena.

Dopiero teraz spogląda na mnie, ale krótko, czujnie. Jakby uznał, że dłuższy kontakt wzrokowy może się źle dla niego skończyć.

- Wiem - odpowiada i ściąga włosy w kucyk. Pod dom podjeżdża samochód. Stefan zerka w okno. - Ale teraz... taka okazja... Słuchaj, czas na mnie, kiedy indziej pogadamy, dobra?

Od tak dawna obchodziłam się z nim jak ze zgniłym jajkiem, że teraz, choć mam ochotę powiedzieć mu wprost, co o nim sędzę, obelgi nie przechodzą mi przez gardło. I zaraz go usprawiedliwiam. Przecież to nic złego, po prostu nie zje ze mną kolacji. Nie zrobię awantury, godność mi nie pozwala.

- Dobrze - mówię. - Świetnie.

- Świetnie - powtarza. I idzie do drzwi.

Rozlega się kobiecy głos. Nie mój.

- Stef? Idziesz?

- Idę, idę! - odpowiada. - Już za moment.

Dzieli nas pięć metrów. Wychodzi. Teraz już siedem. A po chwili już go nie ma.

Piątek, 18 maja

O mój Boże. O mój Boże. Boli mnie głowa, mam kaca i czuję się samotna, taka straszliwie samotna. Do tego rozpacz, żal i wyrzuty sumienia. A do tego niepokój i wstyd za pewną swoistą formę aktu tworzenia czy może raczej, powiedzmy sobie szczerze, aktu twórczej destrukcji, której zeszłej nocy poddałam dzieła zainspirowane twórczością Marka Rothko i spółki. Pójdę za to do piekła, jak amen w pacierzu.

- Słuchaj - odzywa się Joe. Sama nie wiem, kiedy po niego pojechałam, zrobiłam to odruchowo, ale chyba zrobiłam, bo siedzi na miejscu pasażera i mówi coś do mnie. Może miał rację. Może jaguar jest bezpieczny. Może jaguar sam zawiezie nas do pracy.

- Broń Boże nie chcę cię zdenerwować, ale czy mogę cię jeszcze raz przeprosić za wtorek? Naprawdę mi głupio z tego powodu. Była to głupia, bezmyślna uwaga i gdybym miał pojęcie, że coś cię z nim łączy, nic bym nie powiedział. Co oczywiście nie znaczy, że bym tak nie pomyślał, owszem, myślałbym sobie tak do końca świata, bo facet zdenerwował mnie jak mało kto, ale jednak bardzo mi przykro. Nie panowałem nad sobą, a ty miałaś święte prawo poczuć się urażona - jakim prawem wygłaszam opinie o nim? To na pewno fajny facet, kiedy się go lepiej pozna i... cóż, mam nadzieję, że nie obrazisz się na mnie znowu i nie będziesz milczała przez cały dzień. Nie znoszę dąsów, Lu. Miałem ich w domu tyle, że mi wystarczy do końca życia. Więc jak? Już dobrze? A teraz powiedz, jak poszło nagranie?

Moja ręka przekreśla kluczyk w stacyjce i samochód jakimś cudem wyjeżdża na jezdnię. A potem moje usta się otwierają i mój własny głos mówi:

- Miałaś rację. To fiut.

Wczoraj wieczorem sporo płakałam, ma się rozumieć. Sukinsyn. Siedziałam w moim nowiutkim salonie i szlochałam w zieloną poduszkę jak dziecko. Ulżyło mi na tyle, że zanim Del przywiozła Leo i Simeona od swojej przyjaciółki Julii i zabrała mnie do swojego domu na kolację, zdążyłam ukryć rower Stefana w najciemniejszym, najbardziej zakurczonym kącie garażu, cisnęłam znieawidzone dresy do torby z ciuchami na Czerwony Krzyż i przeniosłam większość tuszu z rzęs na chusteczkę. Gdyby zostało mi jeszcze trochę pewności siebie, zawinęłabym w rzeczoną chusteczkę ostrą strzałę i wbiła Stefanowi w pewną część ciała. Niestety, nie zrobiłam tego. Za to gnębiło mnie poczucie, że popełniłam okropny błąd. - Ha! - krzyknęła Del.

- Ha! Czarujące, nie ma co! A ja specjalnie dla niego zrobiłam pilaw z kielkami!

Jakbym i bez tego nie miała roboty po uszy! W takim razie zamrozę to żarcie, a dla nas zamówię curry. Chyba że dołączy później i opowie o nowej wspaniałej karierze?

Spojrzała na mnie, ciekawa mojej reakcji.

Udało mi się przybrać nonszalancką minę. Niestety, na krótko.

- A kogo to obchodzi?

Koniec końców zdecydowaliśmy się na chińszczyznę, bo chłopcy mieli ochotę na klopsiki drobiowe. Popiliśmy dwoma butelkami czerwonego wina, które Ben trzymał na jakiś ważny mecz. Większość poszła już przy zupie.

Nigdy nie umiałam zachować niczego w tajemnicy przed Del. Kiedy zaczął się mecz, Ben i chłopcy zostali na dole, a my przeniosłyśmy się na górę z butelką wina, i tam opowiedziałam jej historię mojego żalosego romansu ze Stefanem. Bo że był żalose, nie miałam już wątpliwości. Przez cały wieczór bolał mnie brzuch i nie miało to nic wspólnego z cieleciną w pięciu smakach. Znałam to uczucie, aż za dobrze pamiętałam, jak boli. Więc nieważne, jakimi motywami kierował *ii* się Stefan, uwodząc (bo że uwodził, było dla mnie oczywiste) Cię Slater. Jedno jest pewne. Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz.

- Ha! - mruknęła moja siostra. - Drań! Zresztą, co to za bajeczka o knajpie? Bardzo niewiarygodne. - Wylała resztę wina do mojego kieliszka i postawiła pustą butelkę na nowym stolyczku przy łóżku. Zachwiała się lekko.

Westchnęłam i usiadłam na łóżku.

- Nie mam pojęcia - mruknęłam. - W tej kawiarence, zdaje się, można kupować wyroby ceramiczne czy coś takiego. W każdym razie ona twierdzi, że jego obrazy pasują do klimatu. Nie wiem i, szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

Rozejrzała się po ścianach sypialni.

- Hm. W takim razie szkoda, że nie zabrał i tych. Okropne. Wiesz co, chyba nie wytrzymam nawet jednej nocy z nimi na ścianie. Zaraz je zdejmę, żeby mieć to już z głowy.

Podeszła do ściany i jednym ruchem ściągnęła największe płótno.

- Co za obrzydliwy kolor! I co to w ogóle jest? Puścił pawia? Farba mu się rozlała czy co?

- Nie, nie - poprawiam ją. - Powinnaś się czuć zaszczycona. Namalował je specjalnie dla ciebie.

- Czyżby? Ale ze mnie szczęściara. Daj spokój. Co on sobie myślał? Omal nie dostałam zawału, kiedy to zobaczyłam Pokój jest różowy, Lu. A ten obraz pomarańczowy.

- Tia mówiła, że to bardzo modne połączenie kolorów.

- Lu, nie o modę tu chodzi. To jest moja sypialnia, a nie katalog mody. Przykro mi, ale

nie wiesz się pomarańczowych obrazów na różowych ścianach.

Upijam spory łyk wina.

- Och, zrozum, ten musiał być pomarańczowy. Jest pomarańczowy, bo to nawiązanie do Clayforda Stilla. Stilla, tak, chyba tak. Był abstrakcyjnym ekspresjonistą. Wszystkie te obrazy - zataczam łuk dłonią - nawiązują do abstrakcyjnych ekspresjonistów. To była bardzo ważna szkoła malarstwa abstrakcyjnego. W Nowym Jorku. W latach... cholera, nie pamiętam, trudno. W każdym razie, to była bardzo ważna szkoła. Tamten na prawo, widzisz? Ten brązowy? To nawiązanie do Rothki.

Zdjęła go i obejrzała uważnie.

- Doprawdy, Lu? Boże, przecież to kawał dechy pomalowany na brązowo. Zwykły kawał dechy - rzuciła obraz na łóżko.

Podniosłam go i obejrzałam ponuro.

- Wiesz, on popełnił samobójstwo.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jezu. A ten... - Zdjęła trzecie dzieło ze ściany.

- Co to ma być? Rozlana farba? Flegma na chodniku?

Przyglądam mu się.

- To, zdaje się, na podstawie Forga - uświadamiam moją siostrę. - Co oznacza, że to płótno... poczekaj, niech sobie przypomnę... O, dobra, już mam: jest w nim proste piękno, które wzbudza tęsknotę i melancholię. Podobno.

Z niesmakiem rzuciła je na łóżko.

- Coś takiego. Jedyne, co we mnie budzi, to szczerą chęć puszczenia pawia. Więc może lepiej będzie, kiedy zniknie ze ścian mojej sypialni i będzie wzbudzało inne uczucia gdzie indziej. I może - podeszła do ostatniego płótna - zabierze ze sobą i to obrzydlistwo. Mogą sobie razem wzbudzać, co im się żywnie spodoba. Chodź tutaj, kochanie - przysiadła na łóżku koło mnie. - Powtarzaj za mną: jest draniem, łotrem, gnojem i dupkiem i lepiej mi bez niego. W porządku?

W porządku. Ben odwiózł nas do domu. Ułożyłam Leo i Pikaczu spać, a sama zaniiosłam obrazy do garażu. Postawiłam je. W foliowej torbie, obok jego roweru. Wtedy, przysięgam, miałam najszczerzy zamiar po prostu mu je oddać, gdy, prędzej czy później, zjawi się po rower i farby. Lecz nagle przyszło mi coś do głowy. Przypomniałam sobie, jak wiele się nauczyłam w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Ile nowej wiedzy zdobyłam. Ile się dowiedziałam o sztuce i jej rozumieniu. O impresjonizmie, kubizmie, abstrakcji, oparciu. I ile się dowiedziałam na temat aktu tworzenia. Ile znaczy punkt widzenia; zwykły prostokąt okazuje się, w oczach konesera, dziełem głębokim, znaczącym i treściwym. Staje się metaforą

- kto to powiedział? Chyba De Kooning? - związków międzyludzkich, metaforą życia. Ustawiłam je wzdłuż ściany. Przyciągały wzrok, muszę to przyznać. Jak to powiedział Stefan o kolorze? O hipnotycznym działaniu barw? O tym, że w sztuce abstrakcyjnej podstawowym środkiem wyrazu jest intensywna barwa, nośnik kontemplacyjnych wartości? I tak przez dobre dziesięć minut kontemplowałam jego arcydzieła.

A potem podarłam czerwony w strzępy.

- Ach, więc jednak miałem rację - stwierdza Joe, gdy po kilku minutach zatrzymujemy się na światłach. - Jednak jest fiutem.

Kiwam głową.

- Tak.

- Hm. Rozumiem. Chcesz o tym porozmawiać?

Tym razem przecząco kręcę głową.

- Nie.

- Na pewno?

- Tak.

- W porządku - zgadza się wielkodusznie i wyjmuje z kieszeni gumę do żucia. - Teraz najbardziej interesuje nas to, że nadchodzi ciężki tydzień. Musimy zamieścić ogłoszenia w gazecie. Potrzebujemy więcej ludzi, bo Luxotel zleci nam dwa nowe budynki... Sfinalizowaliśmy to, kiedy cię nie było. Nie, nie musisz gratulować. To oznacza, że muszę zatrudnić więcej ludzi. Świetnie, co? A tak przy okazji, światło jest już zielone.

Zielone, dobre sobie. W moim życiu nigdy nie jest zielone. Nigdy. Jest zawsze czerwone, ewentualnie żółte, ale zielone nigdy. Jedziemy do biura, a ja rozmyślam, o ile prostsze byłoby moje życie, gdybym sobie odpuściła wszelkie ambicje artystyczne i zainteresowała się termami.

- O, byłbym zapomniał. - Joe sięga do teczki. - Mam coś dla ciebie. Może to poprawi ci humor. - Otwiera aktówkę i wyjmuje z niej... o mój Boże. Kolejny obraz. Tym razem dzieło przedstawia kurczaczki, króliczki, delfiny i gwiazdki, wszystko namalowane farbą plakatową i obficie posypane brokatem. A na dole, napisane odręcznie, widnieją słowa: *Dla Lu od Angharad Delaney, z podziękowaniem za kolację.*

- Och, kochana mała. - Uśmiecham się. - Jak to miło z jej strony.

Joe rozpromienia się.

- I zrobiła to całkiem z własnej woli, pozwolę sobie zauważyć, na wypadek, gdybyś miała wątpliwości. A miałaś, prawda? Ale nie, przyniosła to wczoraj wieczorem. O, i jeszcze

to. - Podaje mi coś. Małą plecioną bransoletkę. - To bransoletka przyjaźni - wyjaśnia. - Ostatni krzyk mody. Sama ją... O Boże. Lu! Nie zaczynaj znowu!

Tym razem przyjmuję od niego chusteczkę i głośno wycieram w nią nos. Może dzięki temu przestanie tak strasznie boleć mnie głowa i poczuję się trochę lepiej.

- Przepraszam - mruczę. - Nie chciałam... Nie chciałam zawracać ci tym głowy. Nic mi nie jest, naprawdę. - Zakładam bransoletkę na rękę. - Czy mógłbyś zostawić obrazek w samochodzie? Nie zmieści mi się do torebki, mógłby się pognieść. Nic mi nie jest, naprawdę.

Przygląda mi się podejrzliwie.

- Wiesz co - podsuwa delikatnie - chodźmy na kawę i rogalika.

- Nie, nie! - Pociągam nosem. Ostatnie, na co mam ochotę, to drobiazgową analizę mojego życia miłosnego, zwłaszcza z osobnikiem wyposażonym w owłosioną klatę i zapas testosteronu. Nie zrozumie. - Mówiłeś, że mamy dużo pracy. Chodźmy już do biura. No, chodź.

Przygląda mi się uważnie.

- Jesteś pewna, Lu?

- W stu procentach. - Znowu pociągam nosem.

- No, skoro tak mówisz. - Idziemy do skrzyżowania. - Och - zatrzymuje się w pół kroku. - Prawie zapomniałem. Chodzi o twój samochód. Czy masz jakieś życzenia w kwestii tablicy rejestracyjnej? To już niedługo. A, i jeszcze jaką chcesz osłonę przeciwsłoneczną? Podobno jest kilka rodzajów. W biurze mam wszystkie katalogi.

Chyba powinnam się cieszyć. Cieszyć i odetchnąć z ulgą, że Joe, wbrew moim obawom, nie zostawił tej sprawy, tylko zajął się moim samochodem. Ciekawe, czy płaci za niego z własnej kieszeni.

- Osłony przeciwsłonecznej? Nie wiedziałam, że jest kilka rodzajów.

Zresztą, jakie to ma znaczenie? W moim życiu i tak nigdy nie świeci słońce.

Koniec końców idę jednak na kawę. Iona przywiozła Aurelię, córeczkę Lily, na krótkie spotkanie z Joem, a ponieważ jest śliczna pogoda - przynajmniej meteorologicznie, ale to już coś - proponuje, żebym w przerwie na lunch poszła z nimi do parku.

Kupujemy kawę na wynos i idziemy w stronę zamku. Aurelia pcha wózek z pluszowym misiem. Nawet jeśli Iona zauważyła, że jestem dzisiaj nie w sosie, nie komentuje tego. I dobrze.

- Bardzo cię lubi - zauważam, gdy siadamy na ławce.

Iona podwija dziewczynce rękawy i wyjmuję skądś reklamówkę.

- A ja ją, prawda, skarbie? - Drobi bułkę na małe kawałeczki. - Jest urocza. Zajmowanie się nią to dla mnie przyjemność.

Odprowadzam Aurelię wzrokiem, jak oddała się z torbą okruchów w pulchnej łapce.

- Pewnie Lily jest ci bardzo wdzięczna, zwłaszcza teraz, kiedy ma pełne ręce roboty z maluchem. Co u niej?

- Och, cudownie. Jest wspaniałą matką. Zresztą wystarczy spojrzeć na Aurelię, żeby się o tym przekonać.

- Pewnie znasz ją od dawna?

Kiwa głową.

- Lily zaczęła pracować dla Joego, kiedy Aurelia miała... och, kilka tygodni. Zrezygnowała z pracy - uczyła angielskiego w szkole wieczorowej - i chyba chciała trochę posiedzieć w domu. Ale nie było ich na to stać, nie przy pensji Malcolma. Widzisz, upatryli sobie domek: A nauczyciele nie zarabiają kokosów, co?

Kręcę głową.

- Wiem coś o tym.

- A no tak, przekonałaś się na własnej skórze, co? Jak ci się udawało wiązać koniec z końcem?

- Jakoś mi się udawało. Ojciec mi pomagał, pożyczył pieniądze na mieszkanie, a kiedy Leo poszedł do szkoły, udało mi się kupić dom niedaleko siostry. Del zajmuje się Leo po szkole. Simeon, jej syn, też jest jedynakiem. Właściwie są z Leo jak bracia. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak dałabym sobie radę, gdyby nie Del.

- To najważniejsze, prawda? Rodzina w pobliżu. Ale w dzisiejszych czasach ludzie rozjeżdżają się po całym świecie. Lily i Malcolm też mają ten problem. Matka Lily mieszka we Francji, a rodzice Malcolma w Snodland. Robią co mogą, ale to nie to samo, prawda? Tak na co dzień młodzi nie mają tu nikogo. Czasami jest im ciężko. Więc staram się pomóc.

Zdejmuję sweter, może słońce tchnie we mnie trochę ciepła.

- Często zajmujesz się Aurelią?

- Och, nie tak często, jak bym chciała. Wiesz praca, obowiązki... Ale kiedy tylko mogę - niech się młodzi gdzieś wyrwą. Dla mnie to żaden problem, zwłaszcza że Dal pracuje po nocach w weekendy.

- Aurelia bardzo cię lubi. Chyba jesteś dla niej jak babcia.

Uśmiecha się radośnie.

- Też tak sobie czasami myślę. Nie chcę, broń Boże, zająć miejsca jej prawdziwych babć, ma się rozumieć. Ale to chyba dobrze, że ma mnie, że się nią zajmuję. Poświęcam jej

cały swój czas, troszkę rozpuszczam, zabieram na wycieczki. Przy własnych dzieciach nigdy nie ma na to czasu, prawda? Zresztą wiesz najlepiej, jesteś sama i pracujesz na cały etat... - Kiwam głową. - A potem, ani się obejrzyysz, dzieci są dorosłe. Nagle już cię nie potrzebują. I wtedy sobie myślisz, jak to będzie fajnie, kiedy urodzą się ich dzieci. Tylko że nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli, co? - Wzdycha. - Och, wiem, że nie powinnam narzekać, ale nic na to nie poradzę. Dobrze chociaż, że czasami pożyczam sobie małą Aurelię.

- Nick to twoje jedyne dziecko?

Kiwa głową.

- To wspaniały chłopak, Lu. Naprawdę wspaniały. Jesteśmy z niego bardzo dumni. A jego przyjaciel, Howard - nauczyciel - jest bardzo sympatyczny. Bardzo uprzejmy. Bardzo ciepły. Byliśmy u nich na święta w zeszłym roku. I wiesz co? To był prawdziwy dom. To znaczy, bez dzieci, oczywiście, ale za to mają dwa psy. Dal bawił się z nimi jak dziecko. Przyzwyczaiałam się już. Chodź, kochanie! - woła dziewczynkę. - Uważaj na misia, dobrze? Chyba nie chcesz, żeby kaczki go udziobały?

Aurelia oddaje jej misia i nagle wiem, skąd go znam: Joe kupił go dla niemowlęcia. Dopiero po chwili się poprawiam: nie, nie dla niemowlęcia. Kupił go dla Aurelii.

Iona grzebie w przepastnej torbie.

- Zobaczmy, co tu mamy. - Uśmiecha się. - Lily zapakowała nam przekąskę. - Wyjmuje plastikowe pudełko. - O, quiche. Świetnie. Zjesz kawałek? Lily robi pyszny quiche. A tobie chyba dobrze zrobiłaby mała przekąska.

Nie jestem głodna, ale nagle uświadamiam sobie, że od wczoraj wieczorem nie miałam nic w ustach, więc biorę kawałek placka.

Podaje mi też serwetkę w niebieskie kurczaczki.

- A teraz - zaczyna, sadowiąc się wygodniej na ławce. - Opowiedz mi ze szczegółami, jak to było, kiedy kręcili u ciebie ten program.

W biurze zastajemy jakiegoś faceta leżącego na podłodze i majstrującego przy fotokopiarce. I dym w powietrzu.

- Co tu się dzieje? - dopytuje się Iona. - Joe, chyba nie paliłeś? - Mruży oczy. - Nie, nie paliłem! - warczy. - Siedziałem sobie spokojnie i pracowałem, gdy to cholerstwo wybuchło!

- Wybuchło?

- No, nie wybuchło z hukiem, ale się zapaliło. Puściłem kilkadziesiąt egzemplarzy formularza zgłoszeniowego. Dobrze, że nigdzie nie wyszedłem, Bóg jeden wie, jak by się to

skończyło.

Facet na podłodze stęka, wyciąga coś z fotokopiarki i siada na piętach.

- Tak myślałem, obce ciało - stwierdza, podnosi tajemniczy przedmiot i przygląda mu się uważnie. - Co my tu mamy? - Zerka na Aurelię i puszcza do nas oko. - Nie zostawiajcie małej bez nadzoru, co? Bo moim zdaniem to nic innego, tylko szczotka do włosów dla lalek.

Joe umówił się po pracy ze znajomymi i nie musiałam go odwozić, więc było jeszcze dość wcześnie, gdy dotarliśmy z Leo do domu. I jasno, więc uległam i pozwoliłam mu iść na rower na pół godziny, póki nie przygotuję kolacji. Zatopiona w melancholijnych rozważaniach, na śmierć zapomniałam, że miałam o czymś pamiętać. O czymś bardzo ważnym. Leo błyskawicznie wrócił do kuchni.

- Mamo! Mamo! Chodź, zobacz, co się stało w garażu! Nie uwierzysz.

O, cholera.

Kiedy skończyłam zbierać strzępy i wyrzuciłam wszystko do worka na śmieci, dochodziła dziewiąta, a dopiero godzinę później udało mi się przekonać Leo, że:

Wersja pierwsza: Nie, nieprawda, nie padliśmy ofiarą psychopaty z młotkiem (tak, młotek też zostawiłam na podłodze). Nie, skądże znowu, te strzępy nie mają nic, ale to absolutnie nic wspólnego z obrazami, które w sypialni cioci Del zawiesili ci ludzie z telewizji.

Wersja poprawiona: No tak, wiem, że nie jest kompletnym idiotą, dobra, przyznaję, ściemniałam, to są obrazy cioci Del, i tak, rzeczywiście namalował je Stefan, i rzeczywiście wyglądają, jakby ktoś się nad nimi pastwił, ale to nie tak, broń Boże. Prawda jest taka, że niestety, nie przypadły one do gustu cioci Del i oddała mi je, żebym ja z kolei oddała je Stefanowi, a ja, ależ ze mnie gapa, zostawiłam je na podłodze w garażu i niechcący przejechałam po nich jaguarem. Bardzo proszę, niech Leo zatrzyma tę wiadomość dla siebie, dobrze? Bo Stefan sądzi, że dalej wiszą u cioci Del, po co ma się denerwować, prawda?

Miałam dziwne wrażenie, że mój syn nie uwierzył w ani jedno słowo, ale wiedziałam też, że do rana o wszystkim zapomni.

- Joe?

Dochodzi wpół do jedenastej i rozważam właśnie, czy nowa wersja *Teksańskiej masakry piłą łańcuchową* będzie odpowiednią terapią na zakończenie tego tygodnia, gdy z zadumy wyrzywa mnie dzwonek telefonu.

- Tak - słyszę w słuchawce. - Przepraszam... Au. Że ci zawracam głowę. Ja... uf. - Słyszę jakieś dziwne odgłosy.

- Gdzie jesteś?

- Dzwonię z komórki. W pubie. Flag & Fulcrum. A raczej przed nim. Właśnie zjadłem kolację. Mój żołądek toleruje określoną ilość dań z mikrofalówki. O, teraz lepiej. Słyszysz mnie? Co u ciebie?

Flag & Fulcrum to pub na Queen Street. Bardzo modny pub. Pub, w którym młodzi biznesmeni zjadają meksykańskie dania na lunch, a o wpół do szóstej wpadają na zagraniczne piwo, zanim ruszą do domu: do łóżka z sekretarką albo, w mniej szczęśliwe wieczory, z pilotem od telewizora. Kiedyś wydawało mi się, że i ja będę wpadała do takich pubów po pracy. Będę popijała białe wino, ubrana w świetnie skrojony kostium. I poplotkuję sobie z koleżanką z pracy. Może z Ioną? Nie. Zastanawia mnie, co Joe tam robi o tej porze. Właściwie z kim on się dziś umówił?

- Cóż - odzywam się. - U mnie wszystko dobrze. Coś się stało?

- Nie, nie, po prostu chciałem z tobą porozmawiać. Przypomniało mi się, że w poniedziałek z samego rana mam się spotkać z inżynierem. Muszę z nim jechać na budowę. Chciałem po prostu zapytać, czy mogłabyś po mnie przyjechać trochę wcześniej.

Trochę dziwna pora jak na umawianie się na poniedziałek.

- W porządku, byle nie za wcześnie. O której?

- Och, sam nie wiem. O wpół do ósmej? Coś koło tego. Jakbyś mogła...

- Zapytam Del, ale chyba tak. Chwila ciszy. Joe pyta:

- Co robisz?

- Nic takiego. Właśnie kładłam się spać. To był męczący dzień. Poza tym...

- Och, przepraszam. Zadzwoń mi za późno?

- Nie, w porządku. Poza tym...

- Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, Joe, w najlepszym. Poza tym...

- Świetnie. Chciałem się po prostu upewnić. Byłaś dzisiaj trochę... nieswoja. A po tym, co rano mówiłaś o tym twoim wykładowcy, pomyślałem...

- Żadnym moim wykładowcy, Joe. Poza tym...

- No właśnie. Więc chciałem się tylko upewnić, czy...

- Joe, już ci mówiłam. U mnie wszystko w porządku. Nie musisz się martwić, naprawdę. Moje żalosne życie erotyczne to nie twoja sprawa. Miły jesteś, że się tak martwisz, ale...

- Miły! - Śmieje się w słuchawkę. - Coś takiego, chyba nikt nigdy tak o mnie nie powiedział. Słyszałem już wiele przymiotników na mój temat, ale „miły” nie był jednym z

nich. Uważam to za komplement. Jakieś plany na weekend?

- Owszem, sprzątanie, pranie, zakupy i tak dalej. Poza tym...

- Lu, poczekaj. Jedno pytanie.

- Słucham?

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

Tak po prostu.

A ja nawet nie znam odpowiedzi.

- Słuchaj, Joe, nie chodzi o ciebie konkretnie - kłamię. - Po prostu nie mam ochoty na rozmowę z nikim. Jestem zmęczona, OK?

Chwila ciszy.

- Rozumiem - słyszę po chwili. - Dobranoc. - I odkłada słuchawkę.

Nie wiadomo dlaczego, gryzą mnie wyrzuty sumienia. I chce mi się płakać.

15.

Wtorek, 22 maja

Osiemnasta. Początek zajęć.

Zastanawiałam się, czy iść. Zastanawiałam się długo i intensywnie, myślałam nawet o rezygnacji z kursu; nie chcę narażać mojego żołądka na dalsze akrobacje. W końcu jednak zdecydowałam się pójść. Zapłaciłam za naukę, mam zamiar dojrzeć do własnych impresji o impresjonistach i nie pozwolę, by przeszkodził mi w tym żalosny hipisowski maniak seksualny. Jestem na siebie wściekła o Stefana. Wściekła na to, że zrobił mnie w trąbę. Znowu. Mam do siebie pretensję, że nadal jestem głupia i niedojrzała i nie widzę rzeczy oczywistych. Nie zorientowałam się, że byłam kolejnym podbojem. Łatwą cizią, nazywając rzeczy po imieniu.

Potem przyszło mi do głowy coś innego. A gdyby tak Stefan nie przyszedł na zajęcia? Możliwe, że przyśle kogoś na zastępstwo. W końcu zamiast stawiać czoło rozjuszonej porzuconej kochance lepiej pójść na zwolnienie. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobne. Na miejscu Stefana trzymałabym się od siebie z daleka, myślałam, idąc do muzeum.

Dlatego też nie posiadałam się ze zdumienia, gdy zobaczyłam go, jak zwykle, na schodach ze szkicownikiem w dłoni. Co więcej, zerwał się na mój widok, otworzył szeroko ramiona, uśmiechał się promiennie, kręcił głową jak kobra w koszyku. Zaraz jednak przestałam się dziwić, bo przypomniało mi się, że jedyną osobą, która jeszcze nie wie o końcu mojego romansu ze Stefanem, jest nie kto inny, jak sam Stefan. No tak, niby skąd miał wiedzieć?

- Cześć! - zawołał radośnie i odrzucił włosy na bok. Jakie to dziewczęce. Jakie żalosne.

- Co słychać? - zagaił.

Wtorek. Nie widzieliśmy się od czwartku. Nawet nie raczył zadzwonić. A teraz zachowywał się normalnie, jakby nic się nie wydarzyło. Położył mi dłoń na plecach, przesunął ją na dół i pchnął mnie lekko w kierunku muzeum. Tak po prostu. Sukinsyn.

- I jak? - zapytałam. Zarzuciłam sobie torbę na plecy i przy okazji straciłam jego rękę.

- Podobały się jej?

Zamrugnął zdumiony.

- Co się podobało? Komu? - zapytał.

Całkiem poważnie zastanawiałam się, czy nie odpowiedzieć: „Jak myślisz, dupku?”

Twoje małe jajeczka” i „tej lasce z telewizji”, ale nie. Tak się nie robi. Uśmiechnęłam się tylko promiennie i odparłam:

- Tii Slater oczywiście. Twoje abstrakcje. - Powiedziałam to z całą ironią i pogardą, na jakie było mnie stać, ale Stefan niczego nie wyczuł.

- Ach, to. - Uśmiechnął się i przełożył szkicownik do drugiej ręki. - Tak, nawet bardzo. Chyba uda mi się co nieco sprzedać. Umówi mnie na spotkanie z właścicielką. Mam zabrać trochę mniejszych płócien.

Patrzyłam, jak kolejni kursanci wchodzą po stromych schodach. I myślałam o jego dziełach w moim garażu, w torbie ze śmieciami, ściśle mówiąc. O jego znacznie mniejszych płótnach.

- Naprawdę? - Nagle uśmiechnęłam się szeroko. - To cudownie. Opłaciło się, co? Wchodzimy od razu?

Odwrócił się, tak że zasłonił mi widok.

- Jesteś samochodem? - zapytał.

Jego dłoń wślizgiwała się do rękawa mojej marynarki. Bardzo intymny gest.

- Oczywiście - odparłam.

- Świetnie, zastanawiałem się, czy mogłabyś mnie podrzucić. Chciałbym odebrać moje rzeczy. A jeśli nie masz innych planów, moglibyśmy, no cóż, miło spędzić wieczór. Może pójdziemy na spacer do lasu albo co?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Ty, ja i Leo, tak?

- Hm. Cóż... no, tak. Tak, czemu nie? Albo możemy po prostu wrócić do ciebie...

I? I? No, proszę? Poruszył się niespokojnie i znowu odgarnął włosy z twarzy. Czemu ich po prostu nie zetnie, do cholery?

- Właściwie, Lu - wykrztusił. - Chciałem cię o coś prosić. Wczoraj dzwoniła do mnie Mand.

Och! Mand, coś takiego. To już tak dobrze się znamy?

- I wiesz co, okazuje się, że jej znajomy kręci serial dokumentalny o współczesnych brytyjskich artystach, o tym, w jaki sposób dzieła innych współczesnych wpływają na ich twórczość. Mand mówiła mu o moich pracach i... no cóż, zastanawiam się, czy twoja siostra będzie bardzo zła, jeśli odbiorę moje abstrakcje? Wiem, to trochę bezczelne, ale może się okazać, że są warte... no, nieważne. Dam jej inne, ma się rozumieć. Jak myślisz, będzie miała coś przeciwko temu?

- Och. - No tak, teraz rozumiem. - Hm. - Położyłam mu rękę na ramieniu i ścisnęłam

czule. - To cudownie - zaszczębiotałam. - Lada dzień będziesz na ustach wszystkich. Jestem pewna, że Del nie będzie miała nic przeciwko temu. Oczywiście, wpadnij do niej. Albo wiesz co? Mam pomysł, odbierzemy obrazy, gdy pojedziemy po Leo, dobrze? Idzie Cerys - zerkam na zegarek - już szósta. Musimy iść na zajęcia.

No proszę. Czyż nie uroczo? Stefan Llewellyn, Andy Warhol XXI wieku. Geniusz abstrakcji i jej interpretacji. Zachęcony moim entuzjazmem nakręcał się coraz bardziej i paplał o serialu i swoich dziełach przez całą drogę do Del. Pod domem mojej siostry rozsądnie (i na moje szczęście - jeszcze nic nie wymyśliłam) uznał, że poczeka w samochodzie. Lepiej, żebym sama załatwiła to z Del, stwierdził.

Czekał cierpliwie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby mój syn, już niemal przy naszym domu, nie zapytał radośnie:

- Stefan, czy mama mówiła ci...
- Leo! - syknęłam - bądź cicho!
- O czym? O czym miałaś mi powiedzieć?
- Hm...

Wysiedliśmy z samochodu.

W każdej sytuacji konfliktowej przychodzi chwila, gdy należy rozważyć wszystkie za i przeciw. W moim wypadku, w tym wypadku, chodziło o godność. Godność kontra głęboka, oczyszczająca satysfakcja.

Oczywiście tym samym wracamy do Patricka. Boże drogi, z nim to się dopiero uniosłam godnością. Kiedy tylko się do - wiedziałam, że jestem w ciąży, zaczęłam próby. Będę miała dziecko. Będę miała dziecko z tobą. Będziemy mieli dziecko Mam ci coś ważnego do powiedzenia i chciałabym, żebyś mi szczerze powiedział, co o tym sądzisz. I tak dalej. To był piękny słoneczny dzień. Dzień, w rzeczy samej, taki jak dziś. Dzień, który nadszedł dokładnie osiemnaście dni po tym, jak się dowiedziałam o nim i tej drugiej. To było długie osiemnaście dni. Oczywiście od dawna pojawiały się sygnały jego niewierności, ale naiwna dwudziestopięciolatka gdzieś we mnie wołała ich nie widzieć. Naiwna dwudziestopięciolatka przypisywała je zmęczeniu pracą czy nudzie. Dwudziestopięciolatka we mnie była głupiotką optymistką.

Ale posiadała godność. Tamtego wieczoru miał wpaść na kolację. Zazwyczaj jadaliśmy albo u niego, albo u mnie. Tego dnia nie zawracałam sobie głowy zakupami, natomiast podczas przerwy obiadowej pobiegłam do apteki i kupiłam test ciążowy. Okres

spóźniał mi się o tydzień i lekko zaniepokojona, zrobiłam test zaraz po powrocie do domu. Będę miała dziecko. Będziemy mieli dziecko. Powiedz mi szczerze, ale naprawdę szczerze, co cię łączy z tą drugą? Oczywiście mogłam poruszyć ten temat już wcześniej. Może gdybym powiedziała coś wcześniej, byłoby łatwiej. Ale przez osiemnaście dni nie powiedziałam nic i nadal byliśmy razem, a ja miałam dwie wiadomości, z którymi musiałam się uporać. Po pierwsze, jestem w ciąży. Po drugie, Patrick mnie zdradza.

Przyszedł.

Zaczęłam:

- Musimy porozmawiać, Patrick.

- Och. Tak? O czym?

- O nas, Patrick - powiedziałam. - O tym, jak się między nami układa. O tym, że moim zdaniem doszliśmy do końca.

- Tak uważasz?

- A ty nie? Przykro mi, ale widzisz, nie kocham cię. Nie kocham cię i nie chcę cię więcej widzieć.

Czy coś w tym stylu. Wiem na pewno, że załatwiłam to szybko, bo pamiętam, jak siedzę na kanapie, ze stertą niesprawdzonych klasówek z francuskiego pod nosem, i oglądam serial *Eastenders*.

Czasami się zastanawiam, czy na pewno chodziło o godność. Może raczej o strach? Czasami próbuję sobie wyobrazić jak dalej potoczyłaby się ta rozmowa, gdybym tylko dała mu szansę. Zaraz jednak utwierdzam się w swoim przekonaniu, że wszystkie możliwe scenariusze (a jest ich bez liku) narzucają mi rolę, której nigdy nie chciałam grać. A zatem, postępując tak, nie stałam się ofiarą. Nie musiałam przyznawać, że wiem, że mnie zdradza. I nie widziałam przerażenia na jego twarzy,' gdy się dowiaduje, że będzie ojcem dziecka, którego wcale nie chce. Nie musiałam sobie z tym radzić. I zachowałam godność.

Siedzimy w kuchni. Teraz, w porównaniu z tamtą sytuacją to naprawdę pestka. Mały romansik, nic wielkiego. Nie ma się czym przejmować. A zatem, żeby zachować godność, powinnam teraz grzecznie powiedzieć, że nie, niestety, nie może od - zyskać swoich obrazów, bardzo mi przykro, i uprzejmie wywalić go za drzwi. Lecz jakaś cząstka mnie sprzeciwia się tej wersji. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: co ja w sumie mam z tej godności?

- Więc o czym miałaś mi powiedzieć? - ponawia pytanie z samochodu.

Leo, pozbawiony przyjemności wtajemniczenia go, poszedł do siebie na górę odrabiać lekcje. Nalewam wody do czajnika.

- O twoich obrazach - informuję spokojnie.

- Tak?

Zaplatam ręce na piersi.

- Nie ma ich - oznajmiam ponuro.

- Co?

- Widzisz, Del nie mogła na nie patrzeć, więc mi je oddała.

Odczuwam satysfakcję, wypowiadając te słowa. Stefan krzywi się lekko.

- I...? - przyjął pozycję bojową: nogi lekko rozstawione, ręce splecione.

- Może herbatki? - proponuję. Krzątam się po kuchni, wyjmuję kubki z kredensu. - A może coś mocniejszego? Chyba mam w lodówce kilka piw. A tak, przypominam sobie, w zeszłym tygodniu kupiłam je specjalnie dla ciebie. Więc jak?

- Nie. Nie, dziękuję. Posłuchaj, Lu, jak to: nie ma ich?

- To znaczy, są w jakimś sensie. Można by powiedzieć, że ewoluowały. Tak, to dobre określenie. Przeszły ewolucję. Wiesz co? - Zaczyna mnie męczyć jego obecność. Mam dzisiaj mnóstwo roboty. Chodź - biorę go za rękę i ciągnę do garażu. Ma wilgotną dłoń. A ja, ja też przeszłam ewolucję: z zadurzonej uczennicy w surową belferkę. Podaję mu worek na śmieci. Nie jest zbyt ciężki, ale trochę nieporęczny. Kawałki drewna - w różnych kolorach - przebijają przez cienką folię. Stefan tylko patrzy.

- Proszę bardzo - zachęcam. - Są tu wszystkie.

- Wszystkie co? - Jest wyraźnie zbity z tropu.

- Wszystkie kawałki, ma się rozumieć. - Dla podkreślenia tych słów potrząsam workiem.

- Kawałki? Czego?

- Twoich obrazów.

- Moich obrazów? Dlaczego moje obrazy są w kawałkach?

- Bo je połamalam i podarłam - mówię to bardzo powoli, wręcz cedzę każde słowo.

- Połamalaś i podarłaś? - powtarza. - Ale dlaczego?

- Musiałam.

- Musiałaś?

Kiwam głową.

- Nie miałam wyboru.

- Co ty opowiadasz, do cholery?

- Nie mogłam się opanować, Stefan. Widzisz - tu uśmiecham się szeroko - są po prostu okropne.

Nie ma awantury. Bo Stefan zaniemówił z wrażenia. A dziesięć minut później, po kilku niezrozumiałych pomrukach, odjechał na swoim rowerze z mojej ulicy i z mojego życia. A ja, o rany, czuję się o wiele lepiej.

Sobota, 2 czerwca

Oczywiście euforia nie trwa długo. Był to cudowny moment triumfu, ale cóż to jest w porównaniu z całym zmarnowanym życiem? Bo ostatnio czuję się bardzo przegrana. i naprawdę nie umiem sobie wmówić, że jest inaczej. Równie dobrze możesz sobie wmawiać, że wcale nie masz kataru. Zresztą i to mnie nie ominęło, pewnie jako rezultat małej liczby białych ciałek krwi, a więc i obniżenia odporności w wyniku stresu. W każdym razie, nie ma się co dziwić, że nie szaleję z radości na myśl o dniu w zoo.

- Będzie super, co, chłopcy? - szczebiocę, bo tego się ode mnie oczekuje. Mali chłopcy są jak kosiarki do trawy, zauważyłam już dawno. Niech tylko zaskoczą, później już działają sami. Za to nie ma nic gorszego, niż ulec ich naturalnej tendencji do marudzenia i fochów.

- Tak, tak - wtóruje mi Del, która i na co dzień tryska entuzjazmem, a co dopiero dzisiaj, kiedy ma w perspektywie dancing, uroczystą kolację i radykalną poprawę wzroku.

Obejmuję ją.

- Baw się dobrze - mówię - i nie spiesz się w poniedziałek. Zajmę się Simem tak długo, jak trzeba.

- Hm - mruczy. - Uważaj, trzymam cię za słowo. - Ben naciska klakson i spogląda na zegarek. - Muszę lecieć. Wy też się dobrze bawcie, kochani. Sim, bądź grzeczny. Nie chcę słyszeć ani pół słowa skargi. Pamiętaj, że ciocia Lu źle się czuje. - Obejmuje go mocno, a mnie posyła całusa.

- Nic mi nie jest, Del, naprawdę.

Macham im na pożegnanie, gdy dzwoni telefon.

- No! Złapałem cię! - słyszę w słuchawce.

Wycieram nos.

- Joe?

- We własnej osobie. Słuchaj, chciałbym cię prosić o przysługę.

Przez ostatnie dziesięć dni rzadko się z nim widywałam, jeśli nie liczyć codziennego podwożenia do pracy, bo na budowie w Cardiff mój francuski nie jest mu do niczego potrzebny i woził go jeden z inżynierów. Przekładam telefon do drugiej ręki i zamykam drzwi wejściowe.

- Tak? - pociągam nosem. - O co ci chodzi?

- Widzisz, chciałem zapytać, czy masz jakieś plany na dzisiaj.

- Dlaczego?

- No, bo... Angharad jest u mnie, pogoda przepiękna, a ja mam sprawną tylko jedną rękę. I nie mogę prowadzić. Chyba nie zniosę zabawy lalkami Barbie. Więc lak sobie pomyślałem, że może byłabyś tak miła i zawiozła nas, na przykład, na plażę. Tak sobie pomyślał, też coś.

- Nie mogę, Joe. Jestem zajęta - mówię.

- Och. No, cóż.

- Przykro mi - dodaję.

- Nie ma sprawy - zapewniam. - Jakies ciekawe plany?

- Zależy, co rozumiesz przez „ciekawe”. Zabieram chłopców do zoo w Bristolu. Opiekuję się Simeonem w ten weekend, a Leo musi przygotować referat o...

- Świetnie! - krzyczy. - Możemy się z wami zabrać?

Tak po prostu.

- Z nami?

- No, do zoo. Możemy? Proszę. Zlituj się nade mną. Zabierz nas do zoo.

- Ale...

- Ale co, Lu?

Problem w tym, że właściwie nie ma żadnego ale. Odpada brak miejsc w samochodzie, niewygodna, czas. Jest, oczywiście, małe, choć ważne ale - po prostu nie bardzo chcę, żeby z nami jechali. Ale przecież mu tego nie powiem. Z drugiej strony, jak każde ale, jest ważne. Czy naprawdę mam ochotę przez cały dzień prowadzić uprzejmą rozmowę? Nie. Przecież już mam plan naszej wycieczki. Plan, który zakłada, że chłopcy uganiają się radośnie po całym zoo, a ja snuję się za nimi jak cień, posępnie zaglądam do klatek i rozczulam się nad sobą.

- No, Lu - namawia Joe. - Zabierz nas. Chyba nie chcesz przez cały dzień użalać się nad sobą?

- A kto mówi o użalaniu się nad sobą? - warczę.

- No cóż, sądząc po głosie, nie jesteś w najlepszym humorze.

- Mam katar. - I na dowód głośno pociągam nosem. - Zresztą skąd wiesz, że nie jadę z kimś?

- Nie wiem - odpowiada wesoło. - Ale tak jest, prawda? Ty, chłopcy i twój katar. Szkoda, bo mógłbym z wami pojechać i poprawić ci humor. No, zgódź się. Bądź miła. Zabierz nas do zoo.

Chyba nie chcę, żeby ktoś mi poprawiał humor, a nawet jeśli, to wiem na pewno, że

Joe Delaney nie jest do tego odpowiednią osobą. Lecz w jego głosie jest coś dzieciennego i na chwilę niemal zapominam, że właściwie wcale go nie lubię.

- No dobrze - szukam chusteczki do nosa - możecie z nami pojechać.

Leo nie był zachwycony.

- To okropne, mamó - narzekał, gdy szykowałam kanapki, - Czyli będę musiał siedzieć z tyłu, tak?

- Tak, Leo.

- Ale za nic nie usiądę w środku. Nie chcę siedzieć koło niej.

- Ja też nie! - zawtórował Simeon.

Zapięłam plecak.

- Cóż, jeden z was będzie musiał - stwierdziłam. - Chyba, że wolicie jechać w bagażniku.

- Tak! Super! Zróbmy tak, mamó!

- Wygłupiacie się, chłopcy. Usiądziecie z tyłu i będziecie grzeczni dla Angharad, jasne? Inaczej nigdzie nie jedziemy. Więc jak?

Leo się rozpromienił.

- Nam jest i tak wszystko jedno. Wcale nie chcemy jechać, nie, Sim? Właściwie czemu jedziemy do jakiegoś głupiego zoo? Zoo jest dla dzieci. Nie możemy iść na kręgle? Tydzień temu mówiłaś, że w weekend pójdziemy na kręgle. Chcemy iść na kręgle, nie, Sim? Nie możemy iść na kręgle zamiast do zoo, mamó?

Postawiłam plecak z jedzeniem przy drzwiach wejściowych. Chłopcy szli za mną krok w krok.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Nie pójdziemy na kręgle. Jest tak ładnie, świeci słońce, spędzimy ten dzień na świeżym powietrzu. A ty, Leo, masz, zdaje się, referat do napisania, o ile dobrze pamiętam?

Leo przewrócił oczami.

- Mamó, nie musimy jechać przez to do zoo! Mogę wypożyczyć książkę z biblioteki i wszystko przepisać.

- Nie, Leo, tego akurat nie możesz zrobić, a wiesz dlaczego? Bo wszystkie książki o Antarktydzie są już wypożyczone, i to przez rodziców, których dzieci były na tyle rozsądne, że powiedziały im o referacie trzy tygodnie temu, kiedy nauczyciele zadali tę pracę. A teraz idźcie po kurtki i ruszamy.

Rozkłada ręce.

- Więc kupmy taką książkę.

- O nie, nie będę wyrzucała pieniędzy na książkę, do której później nawet nie zajrzysz.

- Będzie kosztowała tyle samo co wyjazd do zoo. Gdyby nie zoo, moglibyśmy kupić książkę i iść na kręgle.

- Leo, nie pójdziemy na kręgle, jasne? Jedziemy do zoo. Dobra, który z panów do toalety?

- Ale ja koło niej nie usiądę.

- Ona ma na imię Angharad, Leo. A usiądziesz... apsik! Tam, gdzie ci każę.

Nie ma to jak rodzinna wycieczka. Mój Boże, co się dzieje z tymi dziećmi? Ja, kiedy miałam dziesięć lat, szalałam z radości, że idę do zoo. Wariowałam. Wszystkiemu winien Steven Spielberg.

Joe i Angharad już na nas czekają, kiedy po nich przyjeżdżamy. Angharad podskakuje na chodniku (przynajmniej jedno dziecko przejawia entuzjazm na myśl o wycieczce), a Joe opiera się o murek. Zsunął okulary słoneczne na czubek głowy, postawił torbę w paski obok siebie. Wstaje i macha do nas.

- Jeszcze jedno, mamó - zaczyna Leo, gdy Joe się zbliża. - Dlaczego zawsze zabieramy suchy prowiant? Dlaczego nie możemy iść do restauracji, jak inni? Nie znoszę jeść na ławce. Ptaki mogą zrobić ci kupę na głowę. Dlaczego my w kółko wsuwamy śmierdzące kanapki?

Odwracam się gwałtownie i posyłam mu mordercze spojrzenie.

- Siedź cicho - warczę.

- Fajnie będzie, co? - cieszy się Joe, gdy wyruszamy w drogę. - Od lat nie byłem w zoo. Ciekawe, czy nadal mają tam słonicę Wendy?

W rzeczy samej, mają słonicę Wendy, chociaż ze względu na szacowny wiek nie wozi już na grzbiecie co odważniejszych dzieciaków. Udało mi się zaparkować zaledwie dwadzieścia minut od wejścia do zoo, więc cali szczęśliwi kupujemy bilet rodzinny (o ironio!), zabieramy mapki i foldery i wyruszamy na zwiedzanie. Dobrze chociaż, że Joe przełamał lody z chłopcami. Osiągnął to, opowiadając ze szczegółami, jak to razem z bratem często chodzili krok w krok za słonicą Wendy w nadziei, że będą świadkami, jak produkuje bobki wielkości grejpfrutów.

- Podobno jej opiekun zaraz zgarniał to na taczki - opowiada radośnie. - Widzicie, nawozili tym róże. Pewnie dalej tak robią.

- Super! - Simeon jest zachwycony. Idzie obok Joego. - W zeszłym roku byliśmy w zoo w Jersey i tam goryle robiły ludziom kupę na twarz, jak się zdenerwowały.

- To idiotyzm - mruczy Leo. Towarzyszy Joemu z drugiej strony i chyba chce włączyć się do rozmowy. - Nie robi się kupy na coś. Czy na kogoś.

Simeon przewraca oczami.

- No, nie dosłownie - przyznaje. - Ale robiły kupę na trawę, a potem podnosiły i rzucały. Widzieliśmy to.

- Kłamiesz.

- Nieprawda. Widzieliśmy to. One nawet...

- Dziękuję bardzo, Simeon. Szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć nic więcej o zwyczajach toaletowych goryli. Od czego zaczniemy?

Angharad, jak to dziewczynka, nie interesuje się ekskrementami, za to robi to, co dziewczynki lubią najbardziej: idzie grzecznie koło mnie i z zainteresowaniem studiuje mapkę zoo, żeby zaplanować trasę.

- O! - krzyczy radośnie. - Tu są goryle! Zaczniemy od nich?

Bardzo rozsądna propozycja, jako że mijany właśnie wybieg dla hipopotamów budzi niezwykle zainteresowanie. Zdaje się, zaplanowano tu lada chwila intymne, hm, spotkanie hipopotamów, a zwierzaki przedwcześnie zabrały się do dzieła.

- Wiosna, wiosna - mruczy Joe, gdy przepychamy się przez podniecony tłum.

Na szczęście goryle, do których zmierzamy, mieszkają na wyspie, a fosa jest na tyle szeroka, że chyba nie uda im się niczego przerzucić na naszą stronę. Niestety, wszystkie goryle siedzą dzisiaj w środku, więc obchodzimy wybieg od drugiej strony, wybieg, który dzielą z nikim innym, jak słonią Wendy we własnej osobie. Nie widać jej nigdzie, ale w powietrzu czuć, że była tu niedawno. Chłopcy, rozczarowani brakiem aktywności goryli, słuchają przewodnika, który zapewnia, że samce rzadko kiedy walą się w piersi. Co za pech. Pocięsza ich trochę widok samicy wypinającej pupę w stronę gapiów.

- Goryle - czyta Joe z przewodnika - to mały człekokształtne podobne do nas, ludzi, zapamiętajcie sobie. Pochodzą z Afryki. Mimo potężnej siły i groźnego wyglądu są... co za ulga - łagodne jak baranki. Ten wybieg - ciągnie - otworzyła oficjalnie pani Moira Bugle, główny sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Zoo, w marcu 1999 roku. Jest to wybieg o wysokim stopniu bezpieczeństwa, zapewnia spokój i bezpieczeństwo zarówno gorylom, jak i zwiedzającym. O, tu jest jeszcze napisane, że goryle, jak wszystkie mały człekokształtne, są bardzo łagodne i od 1994 roku nie okaleczyły żadnego małego chłopca.

Chłopcy odwracają się jednocześnie.

- Co?

- Boże drogi, nie słyszeliście o tym? Lu, nie mówiłaś im? Dziwię się, że o tym nie słyszeliście. Pisali we wszystkich gazetach. Straszna historia, ale nie skończyło się tak tragicznie, przyszyli oderwane ramię. Tylko z palcami niewiele się dało zrobić.

- Jakimi palcami? - Simeon wybałuszył oczy. - Co się stało z palcami?

Joe podnosi dwa palce do ust, pochyla się do chłopców i szeptem scenicznie:

- Weszły tędy, wyszły drugim końcem - informuje.

Chłopcy trawią tę straszliwą opowieść w milczeniu, aż w końcu Leo marszczy czoło.

- Pan zmyśla - oznajmia. - To bujda, prawda? Zmyślił pan to wszystko.

Joe przygląda mu się z bardzo poważną miną.

- Zmyślam? A po co miałbym zmyślać? Leo, to niebezpieczne zwierzęta. Pomyśl tylko, dlaczego są za ogrodzeniem pod napięciem stu milionów woltów? - Wzrusza ramionami. - Jak mi nie wierzysz, zapytaj strażnika.

Simeon wsuwa ręce w kieszenie i rozgląda się dokoła, niezdecydowany. Z jednej strony, chętnie by udowodnił Joemu, że zmyśla, z drugiej, boi się wyjść na głupka, jeśli to wszystko prawda. Staram się powstrzymać uśmiech.

- Owszem, zmyśla pan - orzeka w końcu. - Leo ma rację. To bujda!

Angharad, która dotychczas z zapalem robiła zdjęcia jednorazowym aparatem, podbiega do nas, przewraca oczami i oznajmia:

- Pewnie, że zmyśla! Phi! Jak zawsze! Poza tym, co wy, nie wiecie? Goryle to wegetarianie.

- Ja wiedziałem - upiera się Leo, gdy szukamy miejsca na lunch. Jest po dwunastej, ludzie pozajmowali już co lepsze skrawki trawników, ale Joe nie chce siadać na ławce. Specjalnie zabrał kocyk, żeby usiąść na trawie.

- Wiem, że wiedziałeś - zapewnia mojego syna. - Ale wydaje mi się, że nie pogardzą smakowitym termitem, nie sądzisz? To się liczy?

- Nie wiem - waha się Leo. - Czy wegetarianie jadają insekty? Ale wiedziałem, że pan zmyśla. A Simeon nie.

- Wiedziałem!

- I wyczułem, że pan kłamie.

- Leo! Bujaj! - poprawiam.

- Bo w ogrodzeniu są tylko cztery wolt, a nie sto milionów. Wiem, bo tam jest tak napisane. I dotknąłem tego ogrodzenia.

- Nieprawda.

- A właśnie że tak.

Dziw nad dziwy, chyba się dobrze bawię. Słońce grzeje w plecy, dzieci są grzeczne, a mój humor poprawił się znacznie, i to mimo zatkanego nosa i bolących zatok. Naprawdę bardzo się cieszę, że zabrałam Joego i Angharad.

- Wyglądasz lepiej - mruży Joe, mocując się z puszką coli. Niełatwo ją otworzyć jedną ręką. Dzieci pobiegły na plac zabaw, wcześniej dokonawszy spustoszeń w naszych zapasach. Prowiant Joego składał się głównie z ciastek, chipsów, kanapek z dżemem i czekolady. Z wdzięcznością częstuje się moją kanapką z serem i warzywami i tłumaczy, że to Angharad spakowała wałówkę. Na co dzień jada chyba tylko owsiankę i inne zdrowe paskudztwa, więc dziś Joe pozwolił, żeby wzięła, co chce.

- Uważam to za mój rodzicielski obowiązek - dodaje, a ja otwieram mu puszkę. - Gdyby w tym względzie zdać się na Rhiannon, Angharad skończyłaby studia, nie wiedząc, jak smakują frytki. Poza tym, w ten sposób rozszerzam jej horyzonty. Nie chcę, żeby wyrosła na wyniosłą idiotkę z klasy średniej, która jada tylko gruboziarnisty chleb z wiórkami drewna i recytuje z pamięci skład chemiczny konserwantów. To żałosne. I... O rany! Dzień dobry!

Odstawia puszkę coli i macha energicznie. Elegancka kobieta, gdzieś koło sześćdziesiątki, idzie ku nam przez trawnik.

- To naprawdę ty, Joe! Tak mi się zdawało. - Opiera dłonie na biodrach i kręci głowę z niedowierzaniem. Jest dobrze ubrana, ma na sobie sukienkę w kwiaty i długi żakiet. - Widziałam cię już wcześniej - opowiada - ale nie wierzyłam własnym oczom. To nie może być Joe, stwierdziłam, a jednak! Do tego ten gips... - Uśmiecha się szeroko, chyba też do mnie. - Co się stało?

Joe wstaje, przewracając przy tym colę.

- Cześć, Liz - cmoka ją w policzek. Zdejmuje okulary słoneczne i podnosi ramię w gipsie. - W zeszłym miesiącu miałem wypadek samochodowy. Podwójne złamanie. Nic poważnego. Co u ciebie?

Nie wiem, czy też powinnam wstać, więc energicznie wycieram rozlaną colę.

Kobieta kiwa głową.

- Dziękuję, wszystko w porządku. Och, Joe, tak się cieszę, że cię widzę! Ojej - cmoka ze współczuciem - okropnie to wygląda. - Podnoszę wzrok, zaintrygowana tym stwierdzeniem. O co jej chodzi? A, blizna. Ja się już przyzwyczyłam, właściwie jej nie zauważam. Liz delikatnie dotyka jego policzka.

- Poważne rany, co? Angharad coś wspominała, biedaku, ale nie przypuszczałam, że to aż tak. A gdzie ona właściwie jest? Gdzieś tutaj? - rozgląda się.

- Na placu zabaw, z synem Lu i jej siostrzeńcem - odpowiada Joe. Spogląda na mnie: - To Lu Fisher, moja asystentka, a ostatnio także prawa ręka. Widzisz, nie mogę prowadzić, więc Lu wszędzie mnie wozi. A dzisiaj pozwoliła nam wprosić się na wycieczkę do zoo. Lu, poznaj Liz. - Kobieta uśmiecha się do mnie. Wstaje, żeby podać jej rękę. Wydaje się bardzo miła.

- Piękny dzień na wycieczkę, prawda? - Zerka na zegarek. - No, na mnie już czas, musimy coś przekąsić. Ale najpierw przywitam się z małą. Chociaż kiedy bliźniaczki się dowiedzą, że tu jest, nie będę miała chwili spokoju. Biedny David już teraz marzy o mocnym głębszym, a dostał tylko kawę. Joe, musisz się przywitać. Spotkajmy się później na herbatce, co wy na to? - Obejmuje go serdecznie. Czuję zapach jej drogich perfum. Umawiamy się w kawiarni o wpół do piątej.

- Kto to? - pytam, gdy Liz odeszła na plac zabaw.

- Moja była - odpowiada Joe z błyskiem w oku.

Nie daję się zbić z tropu.

- Czyżby?

- Była teściowa.

- Jezu! Czyli...

Kiwa głową.

- Tak jest, matka Rhiannon. David to jej mąż, czyli ojciec > Rhiannon, a bliźniaczki to siostrzenice Rhiannon. Córeczki jej siostry. Mają... czekaj, sześć albo siedem lat. Liz opiekuje się nimi kilka razy w tygodniu.

- Chyba się ucieszyła na twój widok - mówię, nie kryjąc zdziwienia.

Joe spogląda na mnie kątem oka.

- A co, uważasz, że powinna raczej skoczyć mi do gardła albo zaatakować parasolką?

Parskam śmiechem.

- Mniej więcej. To znaczy, spodziewałabym się, że w zaistniałych okolicznościach nie darzy cię przesadną sympatią.

- Dlaczego?

- No, bo w końcu rzuciłeś jej córkę. Przecież nie rozstaliście się z Rhiannon w zgodzie i przyjaźni, prawda?

Znowu się śmieje, ale tym razem nie ma w jego głosie wesołości.

- Och, więc już zauważyłaś?

- A w takiej sytuacji trudno się spodziewać, żeby...

- W takiej sytuacji? Czyli w jakiej, Lu?

Nagle w jego głosie pojawia się stalowa nuta.

- Cóż - zacznym - biorąc pod uwagę, co między wami zaszło... - Wzruszam ramionami. - Porzucona kobieta i w ogóle. Po prostu wydaje mi się, że...

- Czyżby? - Patrzy na mnie ostro, a potem wyjmuję delikcje z opakowania i gwałtownie gniecie papierek, Cisza się przeciąga. - Wiesz, Lu, chyba wyciągnęłaś wiele pochopnych wniosków, jeśli o mnie chodzi. - Milczy, chcąc przydać swoim słowom głębsze znaczenie, i dodaje: - Zresztą, co ty właściwie o tym wiesz?

Nie mam pojęcia, jak zareagować. Jestem zdezorientowana, zbita z tropu. Ale wyczuwam jego napięcie. Wiercę się niespokojnie i sięgam po chusteczkę do nosa.

- Przepraszam - mówię w końcu. - Słyszałam tylko plotki. Wydawało mi się, że rzuciłaś Rhiannon dla innej. Myślałam...

Nerwowo rusza szczęką. Nabieram przekonania, że zapuściłam się na grząski grunt. Chyba posunęłam się za daleko. Czuję się coraz gorzej, w końcu wiem wszystko o niewierności. Już - już chcę się wycofać, gdy Joe nieoczekiwanie łagodnieje.

- Ech, ci faceci, co? - mruczy.

- Słucham?

- Porzucona kobieta?

- Nie mówiłam o...

- Owszem, mówiłaś o sobie - sięga po delikcję i częstuje mnie. - Nie wiem, co cię spotkało, ale tyle się domyśliłem. Więc pewnie masz złe zdanie o nas wszystkich, prawda? Chcesz ciastko?

- Nie, dziękuję. - Nie bardzo wiem, jak mu odpowiedzieć. Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę. Zaskoczył mnie nagłą zmianą nastroju. - To nie ma nic wspólnego z tym, o czym rozmawiamy - dodaję sztywno. - Po prostu myślałam, że wy... Zresztą, to nie moja sprawa. To dobrze, że twoje stosunki z jej rodzicami są...

- Masz rację. To rzeczywiście nie twoja sprawa, podobnie jak twoje życie miłosne to nie moja, co zresztą dałaś mi jasno do zrozumienia. Ale wiesz co? Uważam, że zasługujesz na kogoś lepszego.

Jakim cudem doszliśmy do tego tematu?

Zbieram puste opakowania po kanapkach.

- Skąd wiesz? Co ty w ogóle o nim wiesz?

Przygląda mi się chłodno.

- Chyba tyle, ile trzeba. Zresztą nie słyszę, żebyś pod niebiosa zachwalała jego zalety.

- Pomaga mi sprzątać. Łapię się na tym, że z jednej strony mam ochotę opowiedzieć mu o

wszystkim, z drugiej - kazać się odchrzanić. Wobec tego zaciskam usta i milczę.

- Zresztą masz rację - dodaje Joe - rzeczywiście była inna kobieta, tak jak słyszałaś. I rozumiem, że wyciągnęłaś pewne wnioski. - Zsuwa okulary na nos. - No, ale przyganiał kocioł garnkowi... ty nie masz tu nic do powiedzenia?

W pewnej chwili czuję się dotknięta, ale zaraz odzywają się wyrzuty sumienia. Pochopne wnioski - cały czas mam to w uszach. Zrzęda, tak mnie kiedyś nazwał, przypomniało mi się. I chyba miał rację.

- Słuchaj, Joe, źle mnie zrozumiałeś - tłumaczę w końcu. - Nie chciałam cię urazić, ja po prostu stwierdziłam fakty. Nic więcej. - Zasuвам plecak i kaleczę się przy tym w palec.

- Oj! - Zauważył, co się stało, odpina swoją torbę. - Krew ci leci? Mam chusteczki. - Kręcę przecząco głową i Joe zamyka torbę. - Pani Fisher, niech pani spojrzy na swój nos. Czerwony jak tyłek pawiana. Chodźmy, zabieramy dzieci i załatwiamy tę Antarktydę.

Cholerny świat. Jedna głupia rozmowa i mój dobry humor diabli wzięli. Jest mi przykro przez to, co mu powiedziałam, a jeszcze bardziej przez to, co od niego usłyszałam. Pochopne wnioski, niech to szlag. A najgorsze, że ma rację. Niby jakim prawem go osądzam? Nic o nim nie wiem. Nic. Nie wiem nic o nim, o niej, o ich małżeństwie, o tej innej... innych? Nie wiem, czemu jestem na niego taka wściekła. No właśnie, właściwie dlaczego? I czy naprawdę jestem na niego wściekła? Na niego czy na mężczyzn w ogóle? I co ja właściwie widziałam w Stefanie? A on we mnie? A może jestem wściekła na siebie? Czy kiedyś to naprawię? Cholera, cholera, cholera. I znowu boli mnie głowa.

Najnowszą atrakcją zoo w Bristolu jest mini - Antarktyda, sztuczne skały, żwirowe plaże, drewniane domki, a wśród nich - morskie ptaki, foki i pingwiny.

Drepczemy wzdłuż kanału, Angharad mamrocze coś pod nosem, a chłopcy, spoceni i podnieceni, biegają dokoła nas, jak to chłopcy. O ironio losu, zdaje się, że Leo i Angharad też się pokłócili. Co do mnie i Joego, sama nie wiem, ale atmosfera się znacznie ochłodziła.

Chociaż Joe jest jak dawniej pogodny i przyjacielski.

- Babcia cię znalazła? - pyta córkę. - Fajna niespodzianka, co?

Angharad radośnie kiwa głową.

- I wiesz co, tatusiu? Obiecała, że później kupi mi loda.

- Nam też - przypomina jej Simeon.

- Wam może - poprawia Angharad. - Jeśli wasza mama pozwoli.

- Ale mojej tu nie ma.

- No to masz pecha.

- Za to moja jest - wtrąca się Leo. - I na pewno się zgodzi, prawda, mamó?

- Zobaczymy - mówię. - No, Leo - odpinam plecak - czas zabrać się do pracy. Zobacz, tu masz informację o zwierzętach, a tu, o zobacz, o gatunkach zagrożonych wyginięciem. Może zrobimy zdjęcia pingwinów i...

- Nie możecie robić zdjęć moim aparatem - oznajmia Angharad.

Joe obejmuje ją ramieniem.

- Och, kochanie, nie przesadzaj. Nie bądź niegrzeczna - upomina. Odnajduje mój wzrok i znacząco przewraca oczami. - Zobacz, masz jeszcze mnóstwo klitek. Chyba pozwolisz Leo pstryknąć kilka zdjęć?

- No dobrze. Dobrze, ale...

- Nie ma sprawy - włączam się. - Też mamy aparat. - Zabrzmiało to zupełnie nie tak, jak chciałam, jakbym była zła. - Ale i tak dziękujemy, Angharad - dodaję serdecznie. - To bardzo miło z twojej strony. - Spogląda na mnie wrogo, na co odpowiadam szerokim uśmiechem. - Proszę, Leo. Tu jest twój zeszyt, a tu długopis. Od czego chcesz zacząć?

- Mamó, muszę teraz? Chcę iść z Simem do fok. Mogę? Chcę tam iść i...

- Leo, nie zaczynaj. Przyjechaliśmy tu głównie po to, żebyś zebrał materiały do referatu. Zresztą mówiłam ci, że po placu zabaw będziesz musiał zabrać się do pracy. Dlaczego zawsze musimy się kłócić? Mógłbyś choć raz bez gadania zrobić, o co cię proszę?

- Ale mamó, niedługo będzie karmienie fok.

- Im szybciej zaczniesz, tym szybciej skończysz.

- Ale mamó...

Czuję czyjąś dłoń na ramieniu. Joe.

- Leo, słuchaj mamy - mówi.

Podziałało. Jak czary. I przez to czuję się jeszcze gorzej. Straszna ze mnie zrzęda.

Simeon i Angharad biegają zająć nam miejsce przy fokach. Joe pomaga mojemu synowi wybrać najważniejsze informacje, a potem, gdy Leo notuje skrzętnie, staje koło mnie przy wybiegu pingwinów.

Joe opiera ramię w gipsie na drewnianej poręczy, drugą ręką klepie mnie po plecaku.

- Wezmę go - proponuje. - Zmieści się do mojej torby. Po co masz dźwigać.

- Nie ma sprawy, teraz jest już prawie pusty.

Stoimy w milczeniu i obserwujemy pingwiny. Słońce odbija się w tafli wody.

- Przepraszam - mówi nagle.

Odwracam się do niego.

- Przepraszasz? - pytam. - Za co?

- Że byłem niegrzeczny. To nie było fair. Wybaczysz mi?

Złość na siebie podchodzi mi do gardła.

- Nie masz za co przepraszać. Naprawdę - odpowiadam. - To ja byłem nieznośna. Zresztą miałeś rację. Wyciągałam pochopne wnioski. To moja wina, nie twoja. I to ja powinnam cię przeprosić.

Oczywiście teraz żałuję, że nie zesłam z piedestału i nie przeprosiłam go pierwsza. Dlaczego?

- Nie, nie - upiera się, jakby wiedział, co mi chodzi po głowie. - To moja wina, drażniłem cię. Byłem złośliwy. Nie powiedziałaś nic złego, to ja się czepiałem każdego słowa. I przepraszam. Już w porządku?

Stoi twarzą do mnie, wyciągnął ręce i przez chwilę mam ochotę się do niego przytulić. Coś jednak mnie powstrzymuje i odpowiedni moment mija. Boże, dlaczego zawsze tak powoli reaguję?

- Nie musisz tego robić - mówię tylko. - W kółko mnie przepraszasz. A to była moja wina. Miałeś rację, Joe. Byłam...

- Jezu! Dość tego! - Podnosi ręce i tym samym na dobre trące okazję, by znaleźć się w jego ramionach. - To ja jestem marudą - upomina mnie surowo. - Nie włącz na mój teren, kobieto, jasne? - Grozi mi palcem. Ludzie przyglądają się nam ukradkiem. Joe puszcza do mnie oko. - Mój Boże - grzmi coraz głośniejszym głosem - czy w dzisiejszych czasach facet nie może już nawet przeprosić spokojnie? Od razu ktoś... O nie! Jezu, Lu, chyba nie zaczniesz mi tu znowu szlochać?

- Nie, nie! - Wyciągam chusteczkę z kieszeni i energicznie kręcę głową. - Ja tylko... ja... apsik!

Teraz owszem, obejmuje mnie, ale przy okazji wali gipsem w ucho.

- No i Bogu dzięki - mówi poważnie.

Nie wiem, czy ryby w akwarium miały z tym coś wspólnego, dość, że zanim to popołudnie dobiegło końca, łuski spadły mi z oczu.

Leo i Angharad zdążyli się pogodzić, zanim spotkaliśmy się na herbatce z krewnymi Joego. Ich nieporozumienie dotyczyło, jak mi zdradził Simeon, kolejności zjeżdżania na zjeżdżalni. Siedzimy teraz sobie razem, dorośli piją herbatę, dzieci jedzą lody. Siostrzenice (ekssiostrzenice?) Joego zabierają naszą trójkę na plac zabaw, a dorośli gawędzą o pogodzie i

nowinkach ze świata. Joe dokonuje oficjalnej prezentacji (jego były teść to emerytowany księgowy, teściowa - terapeutka). O mnie mówi, że dawniej uczyłam, teraz, chwilowo, jestem jego asystentką, a niedługo będę studiowała malarstwo. I mówi to z uśmiechem, jakby podobał mu się ten pomysł. Ja, oczywiście, od razu mam łzy w oczach, zwłaszcza kiedy David pochwała moje plany i dziwi się, czemu tak niewiele osób decyduje się na taki krok. Przyznaje ze szczerym, nieskrywanym entuzjazmem, że jest na drugim roku geologii na Uniwersytecie Trzeciego Wieku i że dawno nic go tak nie pasjonowało.

- Nie wiem co prawda - dodaje Liz scenicznym szeptem - czy fascynuje go geologia, czy raczej pewna bardzo efektowna pani pod pięćdziesiątkę. Charlie Simpson, Joe, znasz ją? Niedawno wyszła za lekarza?

Joe uśmiecha się i kiwa głową.

- No pewnie. Za Adama Jonesa. Czy mi się zdaje, czy ich ślub odbył się w Himalajach?

Ta rozmowa przypomina mi, że to z nim chcę rozmawiać, nie ze mną, więc uciekam do sklepiku z pamiątkami.

- Wiem, co sobie myślisz - zaczyna, gdy idziemy do samochodu. - Zastanawiasz się, jakim cudem dwoje tak uroczych ludzi spłodziło Rhiannon, prawda?

Szukam zaczepki, ale oczywiście nie znajduję. Dlaczego wszędzie wężę podstęp?

- Wcale nie - odpowiadam. - Bo to nie takie proste. Rhiannon na pewno ma też jakieś zalety. - Joe pochyla głowę, słysząc te słowa. - Ale nie była kobietą dla ciebie.

- Albo odwrotnie, co?

Czuję, że mnie obserwuje i mam wrażenie, że jest jeszcze dużo rzeczy, o których nie wiem. Lecz dzisiaj nie mam ochoty na rozmowy na ten temat i nie zmieni tego nawet pogodny ton Joego. Milczę przez dłuższą chwilę.

- Nieważne - mówię w końcu - Wiesz, o czym naprawdę myślałam? Jakie to wszystko smutne. Rodziny, rozstania...

Zarzuca sobie torbę na ramię.

- Tak, smutne - przyznaje mi rację. - Kiedyś ci o tym opowiem, ale nie teraz, dobra? Po co psuć taki piękny dzień?

W drodze powrotnej do Cardiff w samochodzie panuje radosna, niemal świąteczna atmosfera. W głównym stopniu przyczyniła się do tego wiadomość, że Angharad ma nie tylko wszystkie części gry Tomb Raider, ale też ogromny tor dla samochodzików, ustawiony na strychu w domu Joego.

- Jezu, bomba! - wrzeszczy Leo. W tylnym lusterku widzi rozpromienioną Angharad. Dosłownie puchnie z dumy. Możemy to zobaczyć? Możemy? Możemy? Możemy zagrać?

- Leo! Simeon! Ile razy mam wam powtarzać? Nie wolno wpraszać się komuś do domu! To bardzo niegrzeczne, jesteście na tyle duzi, że powinniście o tym wiedzieć!

- Och, nie ma sprawy - zapewnia Joe. - Ale wszystko zależy od mamy - dodaje dyplomatycznie. - Może woli odwieźć was do domu. Może sama chce już wrócić do domu. Ma za sobą długi dzień, jest przeziębiona i...

- A Joe ma już was chyba dość po całym dniu, nie sądzicie?

- Skądże - odpowiada. - Zapraszam. Ale jeśli nie chcesz, to naprawdę nie ma sprawy, Lu. Dzisiaj już i tak wprosił się na waszą wycieczkę i...

- Bzdura, Joe. Wcale nam nie przeszkadzaliście. Prawda, chłopcy? - Chłopcy zgodnie kręcą głowami. - Ale obawiam się, że jeśli te dwa łobuziaki zwał ci się teraz do domu...

- Nie, Lu, naprawdę, będzie mi bardzo miło. Ale ty zdecyduj. Chłopcy, mama zdecyduje, dobrze?

O cholera, cholera, cholera. Nie znoszę tego. Dlaczego dzieci zawsze robią takie numery? Żenujące. I, do cholery, nie znoszę takich rozmów. Co on miał na myśli, mówiąc, że może woleć wrócić do domu? Zaprasza nas na poważnie czy tylko przez grzeczność? Nie wiem, czy powinnam przyjąć zaproszenie.

Angharad pochyla się do przodu i klepie ojca w ramię.

- Tatusiu, powiedz im - prosi. - Powiedz im, że muszą Musicie do nas przyjść - tłumaczy - bo tatuś już kupił ciastka na podwieczorek.

Ach. Cóż, teraz przynajmniej wstydzę się za kogoś innego. Bo też biedaczek wstydzi się naprawdę! Joe nie jest wprawdzie typem, który się rumieni, ale jestem pewna, że w głębi duszy zwija się ze wstydu.

I tak wjeżdżamy na jego wysypany żwirem podjazd. Jaguar zdaje się mrużyć jak kot przy kominku. Gdyby umiał mówić, powiedziałby:

- No! Wreszcie do domu! Najwyższy czas, kobieto!

Chociaż nie, na pewno by tak nie powiedział, bo to szlachetny, dobrze wychowany samochód i wiedziałby, że to bardzo nieuprzejme.

Nigdy dotąd nie byłam u Joego. Dom jest ogromny. Usiłuję wyobrazić sobie w nim Rhiannon. Nie wiem, czy mieszkali tu razem, ale jest to dom dla rodziny. Wchodzimy do kwadratowego holu z wielkim żyrandolem i schodami i chyba z tuzinem drzwi. No, przesadzam z tym tuzinem, ale naliczyłam co najmniej siedmioro, z czego jedno podwójne. Pokornie tłoczmy się w holu. Chłopcy, o dziwo, zachowują się grzecznie. Po chwili

Angharad woła ich na górę. Zostajemy sami.

- Usiądziemy w ogrodzie? - pyta Joe.

Otwiera podwójne drzwi do przestronnego salonu. Naprawdę przestronnego - budżet programu *Kto was tak urządził?* starczyłby na przemeblowanie chyba tylko jednego rogu. Dwie kanapy, fotele, wszystko skórzane i wygodne, i do tego kolejne podwójne drzwi - na taras.

I wtedy dostrzegam obraz.

- O Jezu!

Nie sposób go nie zauważyć. Wisi nad kamiennym kominkiem, starannie oprawiony, lampka nad nim. Oczywiście to tylko kopia, wiem, bo oryginał wisi w muzeum.

Joe stoi trochę z boku. Przez otwarte drzwi wpada blask słońca i zapach trawy. Nie widzę jego uśmiechu, ale słyszę po głosie, że się uśmiecha.

- Podoba ci się? - pyta. - Nazywa się *Ucieczka z fryzjerem*. Wiesz, co mnie zawsze najbardziej w nim intrygowało? Że nie do końca wiadomo, kto jest kim.

O Boże.

- Jezu, jak mi wstyd - mówię.

Śmieje się na całe gardło. Najwyraźniej dobrze się bawi.

- Nie ma powodu - zapewnia. - Ale rumień się dalej. Do twarzy ci z tym.

Jakbym miała wybór.

- Nie mówiłeś, że go znasz. Że go masz.

- O, przepraszam. - Śmieje się dalej. - Nie dałaś mi szansy.

- Bzdura!

- Za bardzo cię pochłonęło udzielanie mi nauk. Nic się nie stało, Lu. - Kładzie mi rękę na ramieniu. - Nie przeszkadzało mi to. A kiedy skończyłaś, no cóż, nie mogłem ci powiedzieć, że go mam, bo wyszedłbym na chwalipiętę, prawda? Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie.

Odwracam się energicznie. Nie tak to pamiętam. Że już nie wspomnę dalszego ciągu tej rozmowy, który bardzo chciałabym zapomnieć.

- Cóż, za to teraz wprawiłeś - pryham. - Pewnie uważasz mnie za...

- Osobę spragnioną herbaty po długiej wycieczce. - Delikatnie ściska mnie za ramię. -

Więc usiądź w ogrodzie, a ja nastawię wodę, dobrze?

- Pomogę ci.

- Poradzę sobie.

- Tak, ale...

- Poradzę sobie, Lu.

Taras jest bardzo przytulny. W ciemnoniebieskich pękających donicach rosną kwiaty: klematisy, powoje, bluszcz. Pośrodku stoi drewniany okrągły stół i dwa ratanowe fotele, wygodne i głębokie. Dopiero stąd widzę cały ogród.

A jest na co popatrzeć. Duży trawnik, na którego krańcach rosną wiecznie zielone krzewy, i wszędzie poniewierają się zabawki Angharad: piłka, skakanka, rower. Nieco dalej biały plastikowy stół, przy którym zmieściłaby się chyba cała drużyna piłkarska. Nie sądzę, żeby Joe często przyjmował tu tylu gości. Ogród sprawia wrażenie, jakby zostawiono go samemu sobie, choć w dobrym tego słowa znaczeniu. Nie ma tu kwiatów, jeśli nie liczyć doniczek na tarasie, nie ma grządek i ścieżek.

Siadam w fotelu i patrzę na panoramę Cardiff, zmęczona, podenerwowana, podniecona.

Wraca z dwoma kubkami i paczką czekoladowych herbatników.

Wstaję i biorę od niego kubki. Trochę herbaty wylało mu się na rękę.

- O rany, Joe, czemu nie chciałeś, żebym ci pomogła?

- Mówiłem, że sobie poradzę.

Stawiam kubki na stole i biorę od niego ciasteczka.

- Mam nadzieję, że nie narobiliśmy ci kłopotu.

Siada ciężko i kładzie ramię w gipsie na oparciu fotela.

- Żaden kłopot. - Zerka na mnie. - Nic się nie martw. Kupiłem tylko trochę ciastek. Moja córeczka to towarzyska istotka i chciała zaprosić gości na herbatkę. To moje jedyne dziecko i lubię ją rozpieszczać. Na zdrowie - podnosi swój kubek zdrową ręką. - Dziękuję za piękny dzień, Lu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiadam i, o dziwo, mówię szczerze. Kto by przypuszczał, co?

Tym gorzej dla mnie, jeśli wziąć pod uwagę, co było potem. Boże, dlaczego los jest taki niesprawiedliwy? No dobra, wiem, że to banał, wiem, że nikt nikomu nie obiecywał życia usłanego różami, ale czy ja nie zaliczyłam już mojej porcji klęsk? No co, może nie? Wiem, wiem, uzalam się nad sobą, choć nie mam do tego prawa i wiem, że większość porażek to moja wina, i wiem, że na nie zasłużyłam. Ale... Cholera, cholera, cholera.

- Katastrofa! - Simeon wpada na taras z czerwonym samochodzikiem w ręku. - Tor się rozwalił, a Angharad nie wie, jak go zreperować. Leo twierdził, że umie, ale nic z tego. Angharad płacze i mówi, że już nie będziemy się bawić. Może pan to naprawić? Proszę!

Joe odstawia kubek i wstaje. Uśmiecha się do mnie:

- Normalka - mruczy.

Po dziesięciu minutach zaczynam się zastanawiać, kto właściwie bawi się samochodzikami - Angharad czy jej tatuś? Dziewczynka wychodzi na taras i siada koło mnie. Jej mina potwierdza moje podejrzenia.

- Czy tatuś już wszystko naprawił? - pytam.

Bierze ciastko i kiwa głową.

- Teraz bawią się we trzech - mówi znudzonym głosem, w którym słychać cień lekceważenia dla tych okropnych chłopaków i ich kretyńskich zabaw. - Nie bardzo sobie radzę z samochodami - wyznaje. - Puszczam je za szybko i zaraz mam wypadek. - Jak tatuś, myślę. I jak ja. - Więc pomyślałam sobie, że przyjdę tu do ciebie. Zjemy podwieczorek na dworze?

- Czemu nie? - Idę za nią do kuchni.

- Postanowiłam, że zjemy babeczki. Chciałam zrobić je sama - opowiada. - W zeszłym tygodniu piekliśmy je w szkole i już umiem, ale tatuś powiedział, że nie mamy tyle czasu, więc poszliśmy rano do sklepu i kupiliśmy gotowe, lubisz babeczki? Mamy takie z budyniem i owocami, i jeszcze bitą śmietaną.

- Pyszne - cieszę się. - Powiedz, co mam robić?

Na stole leżą nie tylko babeczki, są tam też biszkopty, nadziewane bułeczki, winogrona, delicje, czekolada. Angharad spycha wszystko na bok i wyjmuję deskę do krojenia i nóż.

- Układaj wszystko na talerzu - zarządza. - A ja będę kroić. Talerze są tam, w kredensie.

A obok kredensu stoi wiadro z wodą. A w wiadrze kwiaty, Mnóstwo kwiatów. Kremowe pączki róż, pachnące frezje, dumne lewkonie.

- O rany - mówię, wyjmując talerze.

Angharad nieruchomieje. Od razu wiem, że coś się święci.

- A, to - mówi w końcu. - Miały być dla ciebie. Tatuś je kupił jako podziękowanie. Ale nie ma sprawy - zerka na mnie ukradkiem. - Wiem, że ich nie chcesz.

Otwieram usta ze zdumienia. Usiłuję zrozumieć, co minia na myśli. Angharad dalej kroi z zapalem. Rumieni się. Nagle odkłada nóż i patrzy na mnie.

- Ale właściwie dlaczego ich nie chcesz? Czy to dlatego, że go nienawidzisz? - pyta ze łzami w oczach. Nie wiem, co zrobić, co powiedzieć.

Podchodzę do niej i obejmuję ją ramieniem.

- Skąd ci to przyszło do głowy, Angharad? To nieprawda, że go nienawidzę. Bardzo

go lubię. - Obejmuję ją. – Naprawdę.

Od razu jej ulżyło. Przypuszczam, że Rhiannon wcale się przed nią nie kryje z nienawiścią do Joego. Biedna mała, boi się, że wszyscy inni też go nienawidzą. Odkładam talerze na stół i podaję jej chusteczkę.

- Leo powiedział... Leo powiedział, że gdyby tatuś dał ci kwiaty, byłabyś bardzo zła. Że wsadziłabyś mu je w... No wiesz.

- Och, Angharad, co za bzdura! Niby dlaczego miałabym to zrobić? To piękne kwiaty. Bardzo miło ze strony twojego tatusia, że mi je kupił.

Pociąga nosem, ociera łzy.

- To samo powiedziałam. Leo tak się ze mną drażni, prawda?

- Pewnie tak. Nie wiem, o co mu chodzi. Pokłóciliście się?

Znowu sięga po nóż.

- Powiedziałam, że już dosyć samochodzików. Chciałam, żebyśmy pobawili się w ogrodzie. Żebyśmy sobie urządzili podwieczorek. A oni chcą się tylko bawić samochodzikami. - Usiłuję dostrzec jakąś logikę w tej wypowiedzi i nie udaje mi się. O Boże. Co mój Leo powiedział? - A teraz tatuś bawi się z nimi, nikt nie chce się ze mną bawić i...

- Och, Angharad, nie przejmuj się. To w końcu tylko głupi chłopcy, prawda? No, chodź, wytrzymaj oczy. Kiedy podamy babeczki, zaraz zjawią się przy stole, zobaczysz. Nic się nie stało - uspokajam ją i wskazuję wiadro. - Będę bardzo szczęśliwa, kiedy twój tatuś da mi te kwiatki, mówię ci. Bardzo szczęśliwa.

Angharad znowu ma łzy w oczach. Energicznie kręci głową.

- Ale on ci nie da - szlocha. - I jest bardzo zły.

- Angharad...

- Bo ja mu już powiedziałam.

Oczywiście nikt by się nie zorientował, że coś jest nie tak. Jeśli się ma dziewięć lat, jak Angharad, czy dziesięć, jak Simeon i Leo, takich rzeczy się nie zauważa.

Zeszli na dół kilka minut później. Ułożyłyśmy ciastka na półmisku; artystyczne wachlarze z rurek czekoladowych, piramidę bułeczek, półkole babeczek, wsypałyśmy chipsy do miski, nabiłyśmy kiełbaski na wykałaczki. Do tego dzbanek lemoniady. Angharad przyniosła dodatkowe krzesła, żebyśmy wszyscy zmieścili się przy okrągłym stoliku, rozdała serwetki i pełniła honory pani domu.

Pozornie było bardzo miło, wszyscy paplali radośnie o gorylach i samochodzikach, Leo i Angharad pogodzili się znowu. Nikt by nie zauważył, że atmosfera robi się coraz cięższa. Naprawdę trudno się było zorientować.

Chyba że było się mną, ma się rozumieć. Chyba że było się mną w tej straszliwej chwili, gdy, ulegając naleganiom Angharad, Joe wręczył mi bukiet, a ja uprzejmie podziękowałam.

Podobno wzrokiem można wiele powiedzieć, więc odnalazłam spojrzenie Joego nad kwiatami i usiłowałam dać mu do zrozumienia, że naprawdę nie miałam na myśli tego, co powiedziała Angharad.

Joe stukał palcami o framugę drzwi. A jego oczy, zielone i błyszczące, mówiły o wiele, wiele wyraźniej niż moje. Mówiły: „Spadaj”. Koniec, kropka.

- Szczęśliwej drogi! - zawołał. - Do widzenia.

Najlepszą obroną jest atak, prawda? Taka jest zasada. Lecz postanowiłam jej nie stosować. Zdażyłam to przemyśleć w drodze do domu i później, gdy układałam kwiaty w moim największym wazonie. Tym razem postąpię jak trzeba. Właściwie. Przepraszę go.

I tak zrobiłam. Najpierw musiałam odnaleźć jego numer w kalendarzu - nigdy nie dzwoniłam do niego do domu.

- Delaney - powiedział do słuchawki, jakby był w pracy. Czyżby zapomniał, że to nie biuro?

- To ty, Joe? To ja.

- Wiem - odparł. Jego głos był zimny jak górski strumień, ale bez ożywczej świeżości górskiego strumienia.

- Dzwonię, bo chciałam... no cóż...

- Co chciałaś? - Na dodatek wydawał się znudzony.

- No... chciałam cię przeprosić. Nie wiem dokładnie, co ci powiedziała Angharad, ale bardzo przepraszam i...

- Za co przepraszasz, Lu?

- Za to, że ci powiedziała, że Leo jej powiedział, że ja powiedziałam, że gdybyś dał mi kwiaty, wsadziłabym ci je w... I... i tak dalej.

- Ach, za to. A zrobiłaś to?

- Co?

- Powiedziałaś tak?

- Cóż... tak.

- Świetnie.

- To znaczy tak, ale to było dawno. Bardzo dawno temu. I to zdanie jest wyrwane z kontekstu. Powiedziałaś to w gniewie, widzisz. I nie do Leo, ma się rozumieć. Uznał, że zabawne będzie powtórzyć to Angharad i... no, bardzo mi przykro.

Cisza. A potem:

- Powiedziane w gniewie? Kiedy dokładnie?

- Boże, Joe, czy to ważne? Nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz. Kiedy?

- Kiedy byłam na ciebie wściekła. Kiedy nazwałeś Stefana fiutem, jeśli już musisz wiedzieć. Kiedy...

- A co on ma z tym wspólnego?

- No, teraz już nic, absolutnie nic. Ale wtedy - dużo.

- Nie, chodzi mi o to, jak od tego doszłaś do kwiatów?

- Och, nie pamiętam już. Jakoś tak...

- Och, Lu, opowiedz. Rozerwij mnie trochę. Chciałbym wiedzieć. Co jedno ma z drugim wspólnego?

- Posłuchaj, palnęłam bezmyślnie. Rozmawiałam z Del, opowiadałam, co się stało, i powiedziałam, że jeśli ci się wydaje, że wszystko załatwisz, posyłając mi kwiaty, to... no wiesz. Takie głupstwo, które się mówi w gniewie.

- Załatwię sprawę, posyłając ci kwiaty, tak?

- No, tak.

- Czyli zakładałaś, że mogę się posunąć jeszcze dalej i potem załatwić wszystko kwiatami.

- No, chyba tak.

- I gdybym przysłał ci kwiaty na przeprosiny, tak byś zareagowała, tak?

- Tak. Nie! Nie wiem. Byłam zła. Nie wiem, może tak, może nie. Ale teraz, teraz myślę, że tak. Posłuchaj...

- Wszystko jasne, Lu. Zrozumiałem aluzję.

- Jaką aluzję? Nie ma żadnej aluzji! Zadzwoiłam, żeby cię przeprosić, Joe! Przykro mi, rozumiesz? Jest mi wstyd i bardzo przepraszam.

- Ale i tak uważasz, że to żalosne.

- Że co jest żalosne?

- Ja.

- Nigdy tego nie powiedziałam!

- Nie twierdzę, że powiedziałaś. Nie musiałaś. Zrozumiałem.

- Co rozumiałaś? Nigdy nic takiego nie sugerowałam!

- Ale to prawda. Choć akurat tym razem nie pojmuję tego. - A były jakieś inne razy? - Nie wiem, co jest żalosnego w tym, że mężczyzna posyła kobiecie kwiaty? Że ja ci posyłam kwiaty, Lu? Dlaczego to żalosne? Dlaczego cię uraziło?

- Wcale mnie nie uraziło, Joe. Po prostu czasami, w pewnych okolicznościach... ale nie takich jak dzisiaj, więc nie zrozum mnie źle... W pewnych okolicznościach, no cóż... faceci uważają, że kwiaty wszystko załatwiają...

- Aha. Zatem wracamy do facetów jako takich.

- Nie! Chodzi o to, że... - Właściwie to o co chodzi? Wpadłam w pułapkę, którą na mnie zastawił. - No... tak, w zasadzie tak. - Westchnęłam. - Po prostu niektórzy faceci uważają kwiaty za rozwiązanie wszystkich problemów. Takie panaceum. Nie bierz tego do siebie, ale tak właśnie jest.

- Panaceum?

- Czasami. Tak. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? No i... cóż, przecież ty też często posyłasz kwiaty, prawda? I przychodzi ci to z wielką łatwością - przecież wystarczy zadzwonić, albo, jeszcze lepiej, kazać mi zadzwonić, podać numer karty kredytowej i... zrozum, to obniża wartość takiego gestu, nie widzisz tego? Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie chcę niczego udowadniać, po prostu jestem szczerą. I między innymi właśnie dlatego dzisiaj stało się tak, a nie inaczej. To był piękny gest, a ja wszystko zepsułam, i jeszcze raz bardzo przepraszam, ale zapytałeś, więc ci mówię. I teraz... Joe? Joe, jesteś tam?

Milczenie w słuchawce trwa długo, już myślałam, że się rozłączył, ale nie.

- Jestem - mówi w końcu.

- Posłuchaj, przepraszam. To nie było w porządku.

- Nie, masz rację - mówi spokojnie. - To moja wina. Muszę się nauczyć wyciągnąć

logiczne wnioski. Dobranoc.

- Joe...

- Dobranoc.

A więc to jednak prawda. Jestem zrzęda.

Nie mieści mi się w głowie, że to zrobiłam. Jak mogłam? Jestem okropna. Boże, gdybym była na jego miejscu i usłyszała taki wykład, zalałabym się rzewnymi łzami. Jak mogłam tak go zranić? A teraz wyobrażam go sobie skulonego w fotelu i szlochającego. Oczywiście nie płacze - chłopaki nie płaczą. Kto jak kto, ale on na pewno nie. Stefan może tak, ale Stefan nie jest prawdziwym dorosłym mężczyzną. Nie. Jest pewien naturalny porządek rzeczy. Kobiety takie jak ja plotą co im ślina na język przyniesie. Mężczyźni tacy jak Joe posyłają kwiaty. I zachowują się z rezerwą i nie płaczą. Kobiety płaczą. Mężczyźni posyłają kwiaty. Boże! Znowu wyciągam pochopne wnioski. I jestem zrzęda.

Poniedziałek, 4 czerwca

- Coś nie tak? - zaczyna moja siostra, gdy dzwoni do mnie w poniedziałkowy rano.

Dziwny dzień. Byłam pewna, że zobaczę Joego, ale stało się inaczej - dzwonił w niedzielę wieczorem, żeby przekazać, że nie przyjdzie do pracy, bo będzie na budowie w Acapulco czy gdzieś tam, nie wiem. Leo odebrał telefon, ja się kąpałam i Joe powiedział, że nie chce mi przeszkadzać. Od rana jestem zirytowana i podekscytowana zarazem. Ilekroć zadzwoni telefon, rzucam się na słuchawkę, myśląc, że to on. Iona też nie jest sobą. Z samego rana pokłóciła się z mężem, bo obiecała Lily, że zabierze Aurelię i malucha na weekend, żeby młodzi mogli się gdzieś wyrwać, a Dai się nie zgadza, bo ma dosyć niańczenia ryczących bachorów i tak dalej. Iona jest w szoku, bo nie miała pojęcia, że on to tak odbiera. I tak dalej. Więc dzisiaj obie zajmujemy się głównie uzalaniem się nad sobą. Dobrze chociaż, że operacja Del się udała. Mówi, że czuje się, jakby miała w oku orzechy pistacjowe, ale podobno już teraz widzi lepiej. Zamówiła termin na czerwiec, żeby zoperować drugie oko.

- Tak - mruczę. - I czuję się z tym okropnie. Pewnie mnie uważa za zarozumiałą, upartą, bezczelną krowę.

- No, nie wiem czy zarozumiałą, ale bezczelną na pewno. Zawsze mówisz, co myślisz. To twoja zaleta, nie wada.

- Ale to nie tak, Del. Chciałam go przeprosić, a w końcu go ochrzaniłam. Uraziłam go. Zdeptałam jego uczucia. Jak krowa. Jak bezmyślna krowa. Ale wiesz, na co liczę? Że za chwilę rozlegnie się dzwonek do drzwi i to będzie posłaniec z kwiatami dla mnie. Boże, ale ze mnie idiotka!

- Cóż, w zaistniałych okolicznościach to rzeczywiście mało prawdopodobne. Jesteś chyba ostatnią osobą na świecie, której Joe chciałby posłać kwiaty. - Krzywię się, słysząc te słowa. - Zresztą właściwie dlaczego chciałabyś, żeby to zrobił?

- Nie wiem. Może w ten sposób dałby mi do zrozumienia, że robi co chce i ma w nosie, co mu powiedziałam. Poza tym dopadły mnie wyrzuty sumienia. Może poczułabym się lepiej. Mogłabym sobie wmówić, że wcale go nie uraziłam. Wiesz, Del, ja naprawdę jestem zrzęda.

- Nieprawda. Zazwyczaj jesteś w porządku. Ale skoro masz takie wyrzuty sumienia, odrzuć konwenanse i sama poślij mu kwiaty.

- Bzdury pleciesz.

- Ty też, moja droga, ty też.

Przyznaję, długo się nad tym zastanawiałam. Pomyślałam, że to wszystko to konwenanse. Mężczyźni posyłają kwiaty. Kobiety się z nich cieszą. I pewnie tak rozumował Joe, kiedy zamawiał mi kwiaty. I właściwie co w tym złego? Co za różnica, że go stać na drogie bukiety? I niby dlaczego fakt, że często to robi, miałby obniżać ich wartość? Przecież jest chyba dokładnie odwrotnie?

A dzisiaj nie było ani kwiatów, ani Joego. Co gorsza, kiedy przed wyjściem zajrzałam do Iony, dowiedziałam się, że dzwonił i powiedział, że jutro nie muszę zawozić go do biura. Wyjeżdża do Birmingham z monsieur Deschampsem i wróci dopiero w środę po południu.

Środa, 6 czerwca

Nie mogłam się doczekać wtorkowych zajęć. Chciałam dać Stefanowi do zrozumienia, że mam go gdzieś, i to głęboko. Że już mi na nim wcale nie zależy. Mand, dobre sobie. Serial o współczesnych artystach, myślałby kto. Zresztą, co mnie to obchodzi. Jak Mand chce, niech go sobie bierze. Zrobiło mi się lepiej. Może nie doskonale, ale o wiele lepiej. Jeszcze trochę i moje życie wróci do normy.

Niestety, nie mogłam iść na zajęcia, bo Del nadal bolało oko. Ben przemawiał na jakiejś konferencji, więc zaproponowałam, żeby Simeon został u mnie na jeszcze jedną noc. I wiecie co? Wcale nie żałowałam, że nie poszłam na zajęcia. Ani odrobinę. Kolejny ciężar spadł mi z serca. Zauroczenia są intensywne, ale krótkie, na szczęście. Naprawdę nie pojmuję, co ja widziałam w tym facecie? To fiut, jak powiedział Joe. Choć, skoro już o tym mowa, wydaje mi się, że opinia Joego miała pewien wpływ na moje podejście do Stefana... W każdym razie teraz chcę zrobić co innego - jeszcze raz zadzwonić do Joego i przeprosić. Może tym razem mi się uda.

Moje przeziębienie powoli mija, na szczęście, bo mamy pełne ręce roboty - trzeba przejrzeć setki odpowiedzi na naszą ofertę pracy. Nie ma czasu na wpuszczanie sobie kropelek do nosa, a tym bardziej na drobiazgową autoanalizę, której ostatnimi czasy oddawałam się z takim zapałem.

- Spójrz tylko - mówi Iona, która, jak podejrzewam, nie uległaby przeziębieniu nawet na godzinę, zresztą nie wierzę, żeby jakiś wirus śmiał zaatakować jej system immunologiczny. Jest zła. Co prawda wypracowali z Dai kompromis - ona może zajmować się dziećmi ile chce, pod warunkiem, że pozwoli mu oglądać transmisję rugby w sobotnie popołudnia. Mimo tego stosunki w domu państwa Williams pozostają napięte. Głównie dlatego, że Dai jest nieznośny - marudny, zły, drażliwy i w kółko siedzi przed telewizorem. Zdaniem Iony przechodzi spóźnioną męską wersję menopauzy. - Dostaliśmy zaproszenie, Lu cieszy się. - Na otwarcie tego klubu odnowy biologicznej, wiesz, w zatoce.

Zerkam na zaproszenie, którym wymachuje mi przed nosem.

- Exo - biorę sztywny arkusik. - Dlaczego nas zapraszają? Oglądam go uważnie. Jest to zaproszenie dla dwóch osób, dla „Pana Delaneya z osobą towarzyszącą”.

- Robiliśmy im ogrzewanie. Nie wiedziałaś?

Kręcę przecząco głową. Tego akurat nie wiedziałam, chociaż wiem o Exo wiele innych rzeczy. Wiem na przykład, że chcą, by wystrój wnętrza oddawał ducha

postmilenijnego i dlatego postawili na błękity. I że w holu, w atrium dokładnie mówiąc, wisi już zapewne ogromny obraz przedstawiający ciemnoniebieską plamę na jaśniejszym tle.

- Cóż, wygląda bardzo elegancko.

- No, sama nie wiem. To nie dla mnie. Nie przepadam za aerobikiem i takimi tam. Ale na otwarcie chętnie pójde. Chyba szykują wielką uroczystość. Jezu, nie wychodziłam z domu od kilku miesięcy! Wiesz co? Nawet mam w szafie taką wieczorową suknię, nie nosiłam jej od wieków. Bo ten mój mąż albo rozwała się na kanapie, albo grzeje stołek w pubie za rogiem. Nigdy nigdzie nie wychodzimy. - Trąca mnie w łokieć. - Wiesz, teraz poszłabym nawet na otwarcie koperty, gdyby dawali przekąski i szampana za darmo. O tu jest napisane, że będzie sushi. Chodź z nami, co? Będzie fajnie!

- Ja też jestem zaproszona? - zerkam na arkusik. - Przecież Joe chyba pójdzie?

- Och, tym akurat się nie przejmuj, kochana. Przecież nie odeślą nas z kwitkiem! Zależy im, żebyśmy się zapisały na gimnastykę, nie? Poczekaj, niech sprawdzę... następna środa. Już nie mogę się doczekać.

Wraca do swojego pokoju. Gdy kilka minut później dzwoni telefon, nie zwracam na to uwagi. W JDL mamy trzy linie telefoniczne - dwie dzwonią u mnie, czyli w głównym biurze, i jedna, z innym numerem, bezpośrednio do Iony. To numer dla inżynierów; dowiadują się o wypłaty, rozkłady dnia i tak dalej.

Dopiero kiedy Iona krzyczy, przychodzi mi do głowy, że coś się stało. Wstaję i idę do niej. Siedzi na skraju biurka, blada jak ściana, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Przyciska dłonie do ust. Słuchawkę już odłożyła. Najwyraźniej stało się coś okropnego i przez jedną straszną chwilę wyobrażam sobie Joego w kolejnym wypadku na autostradzie.

- Iona? Co się stało?

Patrzy na mnie pustym wzrokiem. Potem na telefon i znowu na mnie. Odrywa dłonie od twarzy i zaciska je w pięści.

- Boże - szepce. - To Dai. Mój Dai. Stracił przytomność. Wiozą go do szpitala. To chyba serce. Boże, mój Dai!

Podbiegam i obejmuję ją ramieniem. Czuję, jak drży.

- Posłuchaj - mówię spokojnie i staram się uporządkować myśli. - Musimy jak najszybciej zawieźć cię do szpitala. Wiozą go do Heath, prawda?

- Chyba tak... tak, tak, do Heath. - Wstaje, rozgląda się dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Dobrze - mówię. - Poczekaj tu, przyniosę ci płaszcz. Potem pójdziemy na dół i zawiozę cię do szpitala, dobrze? Albo nie. Samochód stoi za daleko. Złapiemy taksówkę.

Wracam z jej płaszczem. Nadal jest blada jak ściana, ale chyba trochę wzięła się w garść.

- Nic mi nie będzie - mówi stanowczo i bierze ode mnie palto. Ubiera się energicznie.

- Nie możesz zostawić pustego biura. Mamy tu pieniądze na wypłatę i w ogóle... Nic mi nie będzie, kochanie, naprawdę. Zostań tu i... i...

A potem osuwa się na podłogę.

- Joe? To ja.

- Tak - słyszę w słuchawce. - Czy to nie może poczekać? Jestem na spotkaniu.

W innych okolicznościach zmroziłby mnie jego ton. Lecz teraz nie czas na moje obiekcje.

- Nie - odpowiadam. - Nie może, przykro mi. Posłuchaj, jadę taksówką do szpitala. Dai, mąż Iony...

- Co? Wolniej. Nie słyszę.

- Jadę do szpitala Heath. Dai stracił przytomność, zabrali go karetką, więc jedziemy z Ioną do szpitala. Chciałam ci tylko powiedzieć, że w biurze chwilowo nikogo nie ma. Nie wiedziałam, jak przełączyć telefony na automatyczną sekretarkę, a biedna Iona zemdląła. - Ściskam jej dłoń. - I, no, po prostu... słucham?

- Pytam, jak ona się czuje?

- Trzyma się. Jest w szoku. Nie wiem, ile tam będziemy, ale zadzwonię, jak już się czegoś dowiemy, dobrze?

- O Boże - mówi. I nagle zaczyna gadać jak nakrecony, jak ja przed chwilą: - Dobrze. Tak. W porządku. Wyjeżdżam stąd o drugiej, więc koło czwartej powinienem być z powrotem. Niech pomyślę. Pojadę od razu do biura, tak. Tam się spotkamy. A na razie informuj mnie na bieżąco, dobrze? Lu? Uściskaj ją ode mnie. I powiedz, że na pewno wszystko będzie dobrze. I koniecznie zadzwoń, jak się czegoś dowiecie.

Nie wiem, ile Dai ma lat, nigdy go nie widziałam, ale zakładam, że jest po pięćdziesiątce, i kiedy dojeżdżamy do szpitala, myślę tylko o jednym - o śmierci mojego ojca. O tym, jak szybko, jak okrutnie szybko odszedł. Ja i Del stałyśmy tu, przed tym szpitalem, przerażone, zagubione, oglupiałe, a sanitariusze zabierali go do środka. Obie jechałyśmy z nim karetką. Umarł, zanim dotarliśmy do szpitala. Boże, nie pozwól, żeby i Dai umarł w karetce.

Płacę taksówkarzowi i pomagam łonie wysiąść. Wchodzimy przez podwójne drzwi,

idziemy do informacji. Kobieta za szybą uśmiecha się odruchowo.

- Dai Williams - mówię. - Niedawno przywieziony karetką. Jestem tu z jego żoną, Iona Williams. - Obserwuję, jak przesuwając palec w dół listy.

Na jej twarzy maluje się zawodowa troska. Przygotowuję się na najgorsze. Iona także sztywnieje.

- W porządku. - Pielęgniarka kiwa głową. - Lekarze się nim teraz zajmują. Proszę usiąść i poczekać, zaraz zawołam kogoś, kto paniom wszystko powie. - Zsuwa się z wysokiego stołka i znika za białymi drzwiami. Ciśniej obejmuję Ionę ramieniem. A więc żyje. Nie umarł. Odczuwam taką ulgę, że chce mi się płakać.

- Widzisz - odzywam się, zaniepokojona ciągle nieobecny spojrzeniem Iony - wszystko będzie dobrze. Chodź, usiądziemy, dobrze? Zaraz ktoś do nas przyjdzie.

- Pani Williams? - Do poczekalni wchodzi młoda lekarka. - Proszę ze mną.

Iona dopiero co usiadła, ale od razu wstaje. Podnoszę się razem z nią, ale kładzie mi rękę na ramieniu.

- Zostań, skarbie, zostań - mruczy.

- Poczekał tutaj, tak? Nie odejdę.

Odprowadzam ją wzrokiem, póki nie znika za zakrętem korytarza. Analizuję słowa pielęgniarki. Powiedziała „w porządku”, ale nie powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Zastanawiam się ze strachem, co też zobaczy Iona. Gdy tak siedzę ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, podchodzi do mnie nieznajomy mężczyzna, niski, brodaty, ponury.

- Dzień dobry - wyciąga dużą dłoń. - Pani jest Lu? Nazywam się Bill Keeley. Przyjechałem z nim karetką. A pani przywiozła Ionę, tak?

Kiwam głową.

- Co się stało?

- Wszystko wskazuje na zawał. Badają go teraz. I podłączyli do respiratora.

Brzmi poważnie. Wstaję.

- Wyjdzie z tego?

Wzrusza ramionami.

- Na razie jest OK, tak powiedzieli. Na razie się trzyma. Ale jeszcze nic nie wiadomo.

Dzięki Bogu, że nie był akurat w trasie, co?

Znowu kiwam głową.

- A gdzie był? Z panem?

- W biurze. Wrócił z Penarth i powiedział, że musi chwilę odsapnąć. Ale nie chciał iść do domu. Tak właściwie czuł się kiepsko już od kilku tygodni. Był ciągle zmęczony. To do

niego niepodobne. Nasz Dai pracował zawsze z takim zapałem. A ostatnio był jakiś nieswój, wszyscy to widzieli. - Ze smutkiem kiwa głową. - Straszna sprawa. - Zerka na zegar ścienny. Obok wisi plakat z hasłem NIE ŁAM SOBIE SERCA. - No, powinienem już wracać. Odwiezie pani Ionę do domu?

- Oczywiście, obiecałam jej, że poczekam.

- To dobrze. I prosiła, żeby pani zawiadomiła ich Nicka, co się stało. Wie pani, im szybciej, tym lepiej.

- Oczywiście, zaraz się tym zajmę.

Tylko że nie mam telefonu Nicka. I nie bardzo wiem, skąd go wziąć, bo nie mam nawet pojęcia, kogo poprosić. Ale wiem, że muszę go zdobyć, muszę go zawiadomić, Iona chyba myśli, że mam ten numer. Jeśli w ogóle jest w stanie myśleć, w co wątpię. Zastanawiam się właśnie, czy nie zapytać pielęgniarki, czy mogę przez chwilę porozmawiać z Ioną, gdy z mojej torebki rozlega się melodia z *Gwiezdných wojen*. Tak rzadko korzystam z komórki, że w pierwszej chwili nie wiem, co się dzieje. Poza tym Leo wiecznie zmienia mi dzwonki. Poprzednio ustawił mi *Boogie nights*, co było równie okropne. Czuję na sobie liczne spojrzenia, jestem także świadoma ogromnego napisu informującego, że odwiedzający mają wyłączać telefony komórkowe na terenie szpitala. Wybiegam na dwór. To Joe.

- Co nowego? - Od razu przechodzi do rzeczy. W tle słyszę niski rytmiczny odgłos. Chyba dzwoni z pociągu.

- Miał zawał - mówię. - Na razie wiem tylko tyle. Iona jest u niego. Obiecałam, że na nią poczekam. Nie ma jej, niech spojrzę, od czterdziestu pięciu minut.

- Niedobrze - mruczy. - Ale można się było tego spodziewać. Już miał jeden zawał kilka lat temu. Jezu. Nie ma to jak coś takiego, żeby człowiekowi przypomnieć, dlaczego rzucił palenie, co?

- Joe, ja...

- Nie, nie nabijam się z cudzego nieszczęścia, jeśli to chciałaś mi powiedzieć. - Nie chciałam, naprawdę. - Po prostu stwierdziłem fakt. Biedny Dai. Biedna Iona. Boże, życie czasami jest okropne, co? Zdajesz sobie sprawę, jak cenny jest... Dobra, dojeżdżam do Worcester, będę w Cardiff wcześniej, niż myślałem. Zobaczymy się w biurze, tak?

- Joe, właśnie miałam do ciebie zadzwonić. Nie masz przypadkiem telefonu do ich syna? Obiecałam, że go zawiadomię co się stało, ale nie mam jego numeru i... poczekaj, Iona idzie. Później zadzwonię.

Wpadam z powrotem do szpitala, Iona szuka mnie wzrokiem. Nagle się postarzała. Zmaląła.

- Tu jestem, Iona! - wołam i przepycham się przez tłum zdenerwowanych ludzi. Tyle tragedii w jedno środowe popołudnie. Słyszysz mnie i kieruje się w moją stronę.

- Och, kochana, dziękuję, że zostałaś. - Nawet głos jej się zmienił.

- No i jak? - Prowadzę ją w stronę wolnego krzesła.

Kręci głową.

- Niedobrze. Na razie stan jest stabilny, ale nic jeszcze nie wiadomo. Najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin.

- Powiedzieli ci to?

- Nie musieli. Wiem. Już to przerabialiśmy. - Gwałtownie ściska mnie za rękę. - Boże, co ja bez niego zrobię?

- Daj spokój - mówię. - Myśl pozytywnie. Jest w dobrych rękach. To doskonały szpital. Wszystko będzie dobrze. Chodź, napijemy się herbaty, dobrze?

Kiwa głową. Stara się powstrzymać łzy, nie chce przy mnie płakać, i nagle do mnie dociera, jak niewiele o sobie wiemy. Znamy się tak krótko, zaledwie kilka tygodni, niecałe trzy miesiące. Nie mnie teraz potrzebuje. Żałuję, że nie ma tu Joego.

- Musimy złapać Nicka - przypominam jej, gdy stoimy w kolejce po herbatę.

- Właśnie. Jest teraz w Bristolu - mówi. - Na jakiejś konferencji. Nie pamiętam. Mieliśmy w ten weekend tam do niego pojechać. Och, Lu...

Klepię jej dłoń.

- Ale ma ze sobą komórkę?

Jej ręka drży.

- Nie znam numeru. Mam go w domu, w notesie. Nie pamiętam. - Wpada w panikę.

- Więc pojedziemy po niego do domu. Albo ja sama pojadę. Co ty na to? Albo... poczekaj, a jego przyjaciel? Howard? Na pewno zna ten numer, prawda? Gdzie go można złapać?

Płacę za herbatę. Siadamy przy wolnym stoliku.

- Teraz jest w pracy. - Iona ciężko opada na krzesło. Musimy poczekać, aż wróci do domu. Boże, czemu nie zabrałam tego notesu? Jestem idiotką. A teraz jego ojciec... Jezu,| jaka ja jestem głupia. Co będzie, jeśli on... - Zaczyna płakać, łzy płyną jej po policzkach. Przesiadam się bliżej, obejmuję ją serdecznie.

- Przepraszam - szepcze. - Bardzo przepraszam...

- Cicho. Już dobrze - zapewniam. Jej włosy pachną brzoskwinią. Tulę ją przez dziesięć minut, aż zmęczona odsuwa się ode mnie.

- Przepraszam - mówi. Szuka chusteczki w torebce. - Co ty sobie o mnie pomyślisz,

Lu? Nie wiem, co się ze mną dzieje. Już dobrze. Bardzo przepraszam.

Chcę jej powiedzieć, że nie ma za co przepraszać. Że bardzo jej współczuję. Że w trudnych chwilach potrzebuje się bliskości drugiego człowieka. I szkoda, że ma przy sobie tylko mnie, prawie obcą osobę. Ale przede wszystkim chcę jak najszybciej ściągnąć tu jej syna.

- Dobrze - zaczynam opanowanym, pewnym głosem. Boję się naruszyć ten kruchy spokój, jaki udało jej się osiągnąć. - Zastanów się, Iona. Gdzie pracuje Howard? Jest nauczycielem, tak? W jakiej szkole? Podstawowej czy średniej?

- Podstawowej - odpowiada. - Niedaleko ich domu. Mówił mi, jak się nazywa, ale nie pamiętam. Oakridge? Oakdale? Nie, nie przypomnę sobie. Wyjmuję notes z torebki i zapisuję te nazwy oraz jego nazwisko - Ringrose.

- Wypij herbatę - przypominam. - A potem zaprowadzę cię z powrotem do Daia. Teraz wyjdę na zewnątrz i odnajdę Howarda, dobrze?

Bez słowa kiwa głową. Szkła jej okularów zachodzą parą.

W Hemel Hempstead jest pewnie kilka szkół podstawowych, ale stosunkowo szybko trafiam na taką, której nazwa wydaje się pasować - Ashdale. Jest na przedmieściach. Dziękuję telefonistce z informacji i dzwonię do szkoły. Tak, Howard rzeczywiście tam pracuje, ale teraz jest na boisku, na lekcji. Tłumaczę, o co chodzi i zostawiam mój numer. Kobieta obiecuje, że Howard na pewno oddzwoni.

Zimno mi, gdy tak stoję na zewnątrz, wśród szarości - szare są ściany szpitala, kolumny podtrzymujące zadaszenie, szara jezdnia, chodnik, wózki, szare twarze. Jedyne kolorowe akcenty to żółte linie na jezdni i jaskrawe kurtki pracowników pogotowia. Tych nigdy nie zapomnę. Co za okropne miejsce.

Na szczęście mój telefon dzwoni już po kilku minutach, a niewiele później rozmawiam z Nickiem osobiście. Jego spokój dodaje mi otuchy.

- Dobrze, już jadę - mówi. - Będę najpóźniej za godzinę. Proszę to powiedzieć mamie, dobrze? I tacie.

Dziwna godzina. Siedzę w poczekalni, w której hulają przeciągi, i mam wrażenie, że miniony rok rozpląnął się bez śladu, a powrócił tamten upiorny ranek, gdy umarł mój ojciec. Pamiętam zawrośnięcie karetki, bezbarwny świat, który migał za oknami, stukot wózka, gdy ustawili go przy karetkce i straszliwą pustkę, która mnie otaczała, gdy czekali na wiadomości. Pamiętam, że jak dzieci kuliliśmy się przy cierpliwym automacie z kawą. Ale najlepiej pamiętam okropne wrażenie, że nic już nigdy nie będzie takie samo, bo nie zdążyłam się z

ojcem pożegnać. Nagle uświadamiam sobie kruchość ludzkiego życia. Śmiertelność. Ilekroć ktoś wchodzi do poczekalni, spodziewam się, że to Iona, z twarzą wykrzywioną z rozpacz, z informacją, że już po wszystkim. Nie udało się. Dai nie żyje.

Chyba odpłynęłam na dobre w trakcie tej godziny, bo uświadamiam sobie przybycie Nicka z pewnym opóźnieniem, dopiero kiedy słyszę, jak podaje swoje nazwisko pielęgniarce w informacji. Jest wysoki, opalony, ciemnowłosa, przystojny w ten nonszalancki, swobodny sposób, charakterystyczny dla wielu gejów. Podbiegam do niego.

- Dziękuję, że mnie pani zawiadomiła - mówi dość oficjalnie, co po raz kolejny przypomina mi, że w tym dramacie jestem tylko widzem. Moja tragedia już się rozegrała. - I że czekała pani z mamą - dodaje. Nie ma walijskiego akcentu Iony. - A właściwie gdzie ona jest? U ojca?

Wskazuję klatkę schodową.

- Musi pan iść na górę, przenieśli go na OIOM - tłumaczę. - Chciałam na pana poczekać, ale teraz już muszę wracać do biura. Proszę przekazać mamie, żeby dzwoniła, gdyby czegoś potrzebowała, dobrze?

Odprowadzam go wzrokiem. Nagle dławi mnie szpitalna atmosfera. Czuję, że muszę uciec. Sięgam po torebkę, gdy ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Joe.

Jezu, jak się cieszę, że go widzę.

Jest zmęczony, wymięty, ściągnął krawat po drodze. Torba podróżna stoi z boku. Na ręce w gipsie opiera ciężki kosz z owocami.

- Och - sięgam po kosz. Łapię się, że ten gest stał się już odruchowy. - Myślałam, że pojedziesz prosto do biura.

- Zmieniłem zdanie - mówi, wskazując głową koszyk. Zastanawiam się, skąd wytrzasnął coś takiego w tak krótkim czasie. - Postanowiłem zajrzeć tu od razu, zobaczyć, co z Daiem. Poza tym domyślałem się, że nadal tu jesteś. Wiec nie było sensu jechać do biura. I co, znalazłaś Nicka?

Jest blady, co jeszcze podkreśla czerwona blizna na policzku. Z jego spojrzenia nie da się nic wyczytać.

- Właśnie przyjechał - mówię. - A ja zbierałam się do wyjścia. Więc już pójdę i zobaczymy się w biurze, dobrze?

Patrzy na zegarek.

- Nie. Nie ma pośpiechu. Skoro Nick już jest, nie zostanę długo. Tylko dam im to - wskazuje koszyk i lekko mruży przy tym oczy. Nie wiem, co ma oznaczać jego blady uśmiech. Podaję mu koszyk. - Poczekaj tu na mnie i wrócimy razem. To mi zajmie tylko kilka

minut.

Rzeczywiście, wraca po kwadransie i razem idziemy na postój taksówek. Chyba tak jak ja cieszy się, że wyszliśmy z tego ponurego budynku.

- Kiepsko wygląda - zauważa, przytrzymując mi drzwi taksówki. Przesuwam się, przekonana, że usiądzie koło mnie na tylnym siedzeniu, ale wsiada z przodu, obok kierowcy.
- Zresztą trudno się spodziewać czegoś innego, prawda? - dodaje, zapinając pas. - Ale lekarze są dobrej myśli.

- Nie wiedziałam, że już dawniej miał kłopoty z sercem - mówię. - Iona nic o tym nie wspominała. To chyba jak życie z bombą zegarową.

Kiwa głową.

- Tak. Dobrze chociaż, że jest z nią Nick. Prosił, żeby ci podziękować, że się nią zajęłaś.

- Biedaczka.

Wracamy do biura o wpół do piątej. Telefon w gabinecie Joego dzwoni nieustannie. Podnosi słuchawkę, a ja staram się ustalić harmonogram rozmów kwalifikacyjnych. Niestety, nie mogę się skoncentrować. Myślę tylko, co czuje biedna Iona wobec perspektywy wdowieństwa. Samotności. A jej jedyny syn mieszka taki kawał drogi od niej. I myślę o Leo i o tym, co sobie dla niego wymarzyłam. Chciałabym, żeby zwiedzał świat, miał przygody, rozwijał się. O tym, jak zmieni się moje życie, gdy już nie będę mu potrzebna. Ile dla niego poświęciłam. Z ilu rzeczy dla niego zrezygnowałam. Usiłuję wyobrazić sobie siebie za rok, umazaną farbą, śmierdzącą terpentyną, z resztkami gliny na dłoniach, ale wizja, którą od tak dawna hołubiłam, nagle wydaje się płytka i głupia. Kiedy przyklejam znaczki na listy, zauważam, że ekspres do kawy nadal jest włączony. Wydaje mi się, że od dzisiejszego ranka upłynęły całe lata. Ekspres syczy groźnie. Zamiast kawy na dnie został ciemny osad.

Wychodzimy z biura późno, wszystkie sklepy na Queen Street są zamknięte. Słońce co prawda przebiło się przez ołowiane chmury i odbija się w kałużach, ale świat i tak jest smutny i ponury. A ja razem z nim. Od dawna żal po śmierci ojca nie powracał tak dotkliwie. Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócę do domu i przytulę mojego syna. Ale przypominam sobie, że dzisiaj Del zabrała chłopców na basen, wrócą dopiero koło ósmej. Teraz mój dom będzie pusty. Zastanawia mnie, czy i Joemu dokuczają powroty do pustego, zimnego domu. Dzisiaj oboje wracamy do czterech ścian. Ciekawe, czy myśli o tym w tej chwili? Mijamy kawiarnię i korci mnie, żeby powiedzieć:

- Wiesz co? Umieram z pragnienia. Napijmy się kawy.

Ale nie robię tego. Powtarzam to sobie w głowie dobre sześć razy, ale jakoś nie mogę

się na to zdobyć. Bo mógłby odmówić. Bo idzie zbyt stanowczo. Bo ma zbyt nieprzeniknioną minę. Poza tym co chwila zerka na zegarek.

I, jak się okazuje, dobrze, że tego nie zrobiłam. Mijamy kawiarnię, bank, cukiernię. Wsiadamy do samochodu i wyruszamy w drogę. Zbliżamy się do wjazdu na autostradę, gdy mówi:

- Skreć w lewo w Llandennis Avenue, dobrze?
- Tak. - Skrećam w lewo. - Więc nie wracasz do domu? Kręci głową.
- Nie. Dobrze, tu wysiądę, za tamtym samochodem.
- Za białą fiestą, tak?
- Tak. Dzięki. Na razie.

A więc będzie miał dzisiaj towarzystwo, ale nie moje. Macha mi na pożegnanie. A potem idzie podjazdem do domu, który poznaję. Nie byłam tu, ale nazywa się Cedar Folly. Nieraz zamawiałam kwiaty pod ten adres.

Czwartek, 7 czerwca

No, na razie wszystko w porządku. Stan się nie pogorszył. Joe rozmawiał dzisiaj z Ioną i sytuacja chyba się stabilizuje. Ale to było okropne. Przypomniało mi tatę, rozumiesz? Chciało mi się płakać. I poczułam się samotna. To dziwne znaleźć się w samym środku cudzego dramatu. Ciągle myślałam, co będzie, jak on umrze. Że ilekroć Iona pomyśli o tym dniu, przypomni sobie, że była z nią kobieta, która go nawet nie знаła. Zresztą, jej też zbyt dobrze nie znam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się ucieszyłam na widok Joego.

- No właśnie, Joe - odzywa się Del. - Wybaczy ci sobotę?

Boże, ależ ona ma pamięć.

- Nie sądzę. Nic na ten temat nie mówił. W ogóle niewiele mówił. I zaraz po pracy poszedł do przyjaciółki, więc nawet nie było kiedy porozmawiać.

- Hm - mruczy moja siostra. - Hm. Czyżbym słyszała wyrzuty w twoim głosie?

Otwiera paczkę chipsów i wysypuje je do miski. Jesteśmy u mnie, szykujemy się do szkolnej zabawy. Odbędzie się w sobotę, a Del, ja i jeszcze tuzin matek dostałyśmy zadanie bojowe - upiec i zamrozić coś koło dwustu walijskich ciastek. Zdecydowała niejaka Caryl Phelps, której słowo jest tutaj prawem.

Ja osobiście nie angażuję się zbytnio w działalność komitetu rodzicielskiego, ale w tym roku zgłosiłam się na ochotnika w miarę moich możliwości. Jak dla mnie jest to sytuacja idealna - pomagam, kiedy mam czas, a to się rzadko zdarza, a jednocześnie nie muszę uczestniczyć w nudnych zebraniach komitetu. A te, jako że jesteśmy w Cefn Melin, są przeraźliwie długie i szczegółowe, a udział w nich biorą, oprócz rodziców, także: wykresy, plany, projekty, prezentacje, szczegółowe analizy kosztów, symulacje i, co najgorsze, cynamonowe ciasteczka roboty Caryl Phelps. Na wszystkich innych imprezach w Cefn Melin płynie wino, to mi bardziej odpowiada.

Rozpakowuję paczkę pringlesów i sięgam po kieliszek wina. Co prawda taki wieczór nie jest szczytem moich marzeń towarzyskich, ale jak się nie ma, co się lubi...

- Skądże znowu - oburzam się. - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Bierze sobie chipsa i patrzy na mnie znacząco:

- Cóż, wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę, ale przejawiasz nadmierne zainteresowanie jego życiem uczuciowym. A biorąc pod uwagę...

Waha się, szuka odpowiedniego słowa. Nie mam cierpliwości.

- Co biorąc pod uwagę?

- Cóż, biorąc pod uwagę, że Joe Delaney był głównym tematem twoich wypowiedzi w ciągu ostatnich tygodni, nie sposób nie wyciągnąć wniosku, że chyba coś do niego czujesz. Tylko tyle.

Artystycznie układam pringlesy w półkole.

- Och, Del, to śmieszne.

- Dlaczego? To bardzo atrakcyjny mężczyzna. Może nie zauważyłaś?

Wolę nie komentować.

- Być może - mówię w końcu - ale zapewniam cię, że nic do niego nie czuję. Nie zaprzeczam, że teraz, kiedy go poznałam, bardziej go lubię. I nie przeczę, że poczułam się okropnie, kiedy pomyślałam, że... kiedy sprawiłam... och, nieważne. Po prostu nie chcę żeby się na mnie gniewał i tyle. - I boję się, że teraz, kiedy mnie poznał, lubi mnie dużo mniej, dodaję w myśli.

- A gniewa się? - pyta Del.

- Tak.

- A może wcale się nie gniewa, tylko postanowił się nie narzucać?

- Narzucać? Z czym?

- Z amatorami, kochanie.

Nie podoba mi się błysk w jej oku, kiedy to mówi. Założę się, że ten błysk nie ma nic wspólnego z niedawnym zabiegiem.

- Narzucać mi się z amatorami? Co ty wygadujesz?

Właściwie nie rozumiem, dlaczego to powiedziałam. Dlaczego z takim uporem udaję, że nic mi o tym nie wiadomo, by Joe Delaney żywił wobec mnie romantyczne uczucia? A przecież wiem, że tak jest. Czy raczej było. I to dawno. Wiem, bo sama się przekonałam. Ale za nic nie przyznam się Del.

- Od kiedy niby Joe Delaney się mną interesuje? - pytam niewinnie.

- Och, Lu, daj spokój! Nie udawaj, że nic nie wiesz!

No, wiem. Ale ona nie. A może jednak? Z uśmiechem błogości chrupie chipsa.

- Nic nie wiem na ten temat - kłamię w żywe oczy i liczę, że powie mi coś więcej. Widziała się z nim? A może rozmawiali o mnie? Może Joe coś powiedział? - Poza tym - zauważam - odkąd u niego pracuję, spotyka się z jakąś Jeannine. Raz, dwa razy w tygodniu, dokładnie mówiąc. Trzy razy wysyłał jej kwiaty. Zresztą nic mnie to nie obchodzi.

- Hm - mruczy Del - coś mi się wydaje, że zbyt głośno protestujesz. Zresztą, zabawne, że o tym mówisz. Wczoraj spotkałam Julię u lekarza. Pytała o ciebie, opowiadałam, jak bawisz się w szofera i mówiła, że widziała się z Joem na przyjęciu w sobotę. Był z kimś, ale

Julia jej nie zna. Wysoka blondynku?

No właśnie, i to mi przypomina, dlaczego nie chcę się w nic angażować. Nadal cierpię po tym, jak się ostatnio sparzyłam.

- Nie wiem - rzucam lekko. - Nie znam jego haremu.

- I wcale cię to nie obchodzi, prawda?

- No właśnie.

- No właśnie - powtarza. - Ojej, już ósma. Może kanapkę?

I co mam o tym wszystkim myśleć? Moja siostra twierdzi, że słyszy w moim głosie coś, co każe jej podejrzewać, że czuję coś do Joego. A kiedy wczoraj przyszedł do szpitala, marzyłam o jednym - żeby mnie objął i przytulił. I wiem, wiem na pewno, że gdyby to zrobił, poczułabym się o wiele, wiele lepiej. I dlaczego jego brak reakcji wobec mnie - brak, jak to ujęła Del, narzucania się, tak bardzo mnie boli? I dlaczego właściwie od niedawna co rano układam włosy na szczotkę?

Nie wiem. Wiem tylko jedno.

Że przez to wszystko czuję się zabawnie i dziwnie, i nie potrafię tego nazwać.

Piątek, 8 czerwca

- Będziemy musieli zatrudnić kogoś na kilka tygodni - mówi Joe.

Boli mnie głowa. Nic dziwnego, jeśli się przez pół nocy piekło walijskie ciasteczka. Nic dziwnego, jeśli się pije tanie czerwone wino z plastikowej butelki. I jeśli się nie spało przez całą noc, bo mózg odmawiał współpracy i z maniackim uporem analizował wszystko, dosłownie wszystko, co pewien mężczyzna powiedział lub zrobił.

Podnoszę wzrok:

- Zatrudnić?

- Tak. Zatrudnić - powtarza, stuka się w czoło i uśmiecha. - Za - trud - nić! Póki Iona nie wróci. Kogoś, kto się zna na księgowości. Umiesz przygotować wypłatę? - Nagle żałuję, że nie mam o tym zielonego pojęcia. - Tak myślałem. Zadzwoń do agencji i powiedz, żeby nam kogoś znaleźli. Jest tam taka dziewczyna, nazywa się Clare jakaś tam, będą wiedzieli, o kogo chodzi. Dowiedz się, czy możemy ją dostać. Dobra, czas do roboty. Kiedy następny?

Ma na myśli następnego kandydata na stanowisko inżyniera. Umówiłam sześciu na dzisiaj i sześciu na poniedziałek. Joe ma do obsadzenia pięć stanowisk na budowach w Bath i Birmingham, z czego trzy są do objęcia od początku lipca. Pierwszy, młody człowiek z kolczykiem w wardze i wyświechtanym dyplomem, znalazł się na liście potencjalnych pracowników. Następny przyjdzie za pół godziny. Podaję Joemu potrzebne formularze.

Ucieka do swojego gabinetu, a ja otwieram książkę telefoniczną i sięgam po aparat.

Bez Iony mam pełne ręce roboty. I dobrze, bo gdybym miała wolną chwilę, gapiałabym się w okno na kołujące mewy i prędzej czy później zapuściłabym się myślami w rejony niebezpieczne dla zdrowia psychicznego. Mimo przekonania, że to głupota, jestem bardzo świadoma obecności, bliskości Joego. Podobnie jak Del po spotkaniu z cudownym laserem, ja też nagle widzę. Widzę o wiele więcej niż do tej pory. Widzę, jak jego włosy układają się miękko na kołnierzyku koszuli. Widzę, jak mu lśnią buty. Widzę, że prawa brew zawsze unosi się ciut wyżej niż lewa i że to nadaje jego twarzy taki ironiczny wyraz. Widzę, jak w jego policzkach tworzą się dołeczki, kiedy się uśmiecha.

To doprawdy żałosne. Dziecinada. A wszystko przez moją siostrę.

Gdyby nie Del, nie zachowywałabym się tak. Jestem pewna, że nie. Nie czułabym tego, co czuję. Nie byłabym taka...

- Lu?

Podnoszę głowę znad biurka. Znowu jest w moim gabinecie. Taki wysoki i silny, i opanowany... O Boże.

- Cześć - mówi, przechyla głowę na bok i uśmiecha się lekko. - Halo, jest tu kto? Przypomniało mi się. Przyszły czwartek. Chyba musimy się do tego zabrać, co?

- Czwartek?

- Spotkanie z ludźmi z Luxotel. W Birmingham. Zapomniałaś? Jest w kalendarzu. Miałem ci o tym przypomnieć w zeszłym tygodniu, ale po tym, jak... Zresztą nieważne. Znowu wyjeżdżamy na dwa dni. Poradzisz sobie, prawda?

Nie, wcale nie zapomniałam. O nie.

- Tak. Tak - powtarzam. - Nie jestem pewna. Muszę zapytać Del. Mam teraz zadzwonić?

Kiwa głową.

- Więc pracownik musi się znaleźć najpóźniej w czwartek rano. Muszę być w hotelu o trzeciej, wtedy zaczyna się spotkanie. A, będzie też kolacja. Mówiłem ci? Elegancka. Zabierz coś ładnego.

W kalendarzu Joego jest mnóstwo zapisków. Mnóstwo spotkań, terminów, dziwnych, niezrozumiałych skrótów. Często powtarza się zapis: J - 19. (Za to ani słowa o przyjęciu w sobotę). Jest także, ma się rozumieć, wzmianka o czwartkowym spotkaniu, jest, bo wpisałam ją osobiście, lecz ostatnimi czasy mój stosunek do tego wyjazdu zmienił się diametralnie. Dawniej było to tylko spotkanie - i to spotkanie, na które, jak myślałam, pojedzie sam. Teraz

to coś innego. Teraz to brzmi jak randka. Czy poprosi mnie, żebym go zawiozła? A jeśli nie?

Uroczysta kolacja, Boże. Elegancka sukienka, coś takiego.

Sobota, 9 czerwca

W moim kalendarzu, który wcale nie jest prawdziwym kalendarzem, tylko notesem - są głównie daty wizyt u dentysty i lekcji pływania. I jedno spotkanie towarzyskie - coroczna impreza w szkole podstawowej Cefn Melin. W tym roku tematem przewodnim jest średniowiecze.

Del, mistrzyni kroju i szycia, wyczarowała dla mnie bardzo gustowną kreację, w której mam kusić gości, by kupowali moje wypieki. I tak stoję w zimnej mżawce i zachęcam:

- Witajcie, dobrzy ludzie! Skądże to Bóg prowadzi? Głodniście pewnie i utrudzeni, skosztujcie proszę. Słodkości mam wyborne, na miodzie najprzedniejszym, kupujcie, dobrodzieje!

Nie jest to mój ulubiony sposób spędzania soboty, o nie. Niestety, plasuję się bardzo nisko w hierarchii rodziców - - pomocników. Zanim dopuszczą mnie do obsługi barku, Leo będzie miał prawo jazdy. Dałam mu tyle pieniędzy, że stać go chyba na wszystkie karty z pokemonami. Od rana nic nie jadłam, ale nie tknę walijskiego ciastka. Za żadne skarby.

- O! Walijskie ciastka - mówi ktoś. - Pycha!

Głos (jeden z wielu, które rozplývają się z zachwytem nad moimi, według mnie, przereklamowanymi, wypiekami) jest znajomy. To Liz, wspaniała eksteściowa Joego, która zatrzymała się z przyjaciółką przy moim stoisku.

- Po ile? - dopytuje się. A potem: - Och, dzień dobry! Nie poznałam pani! Lu, prawda? Ojej? Sama je pani piekła?

- Nie wszystkie - przyznaję szczerze. Coś takiego, zapamiętała, jak mam na imię. - Tylko pierwsze trzy tysiące. Ile pani sobie życzy? Przy ilościach hurtowych udzielamy rabatu.

Zwraca się do przyjaciółki:

- Wiesz Pam, Lu pracuje z Joem - wyjaśnia. - Jego stała tłumaczka jest na urlopie macierzyńskim. Podziwiam panią - przygląda mi się uważnie - nie dość, że pani pracuje, to jeszcze poświęca wolny dzień na rzecz szkoły. To wspaniale!

Liz, jak się okazuje, jest dzisiaj w szkole ze względu na wnuczki. Siostrzenice Rhiannon uczą się tutaj. Podobnie jak Angharad, zanim matka przeniosła ją do szkoły prywatnej. Liz przychodzi na imprezę co roku. Wstyd mi, bo to częściej niż ja. Zastanawiam się, czy i Joe tu bywał.

- A jak mąż Iony? - wypytuje. - Słyszałam, że miał zawał. Wie pani może, jak się

czuje?

Więc informuję ją, co z Daiem i obiecuję, że przekażę pozdrowienia. Liz i jej przyjaciółka kupują we dwie trzydzieści ciastek. Potem dochodzą do wniosku, że bardzo chce im się pić, więc pokazuję im, gdzie znajduje się tawerna (jak głosi napis na drzwiach do klasy). Wszystko to nie miałyby najmniejszego znaczenia, gdyby nie to, że kilka minut później przechodzę tamtędy i rozpoznaję ich głosy. Od razu wiem, że rozmawiają o Joem. Kiedy je mijam, słyszę końcówkę:

- A to bardzo dobrze - mówi Liz. - Uważam, że dobrze mu to zrobiło. Wygląda wspaniale. - Obniża głos. - Nie wiem, czy już ci mówiłam, Pam? Wrócił do Jeannine. Na szczęście.

Trudno się zorientować, co Pam sądzi na ten temat, chyba że otwarcie nadstawię ucha. Boże! Pam. Liz. Iona. Wysoka blondynka. Dlaczego w tym mieście wszyscy się znają tylko ja nie mam niczym pojęcia?

Środa, 13 czerwca

Żyłam ostatnio w wielkim stresie i ze wszystkich sił starałam się nie wyciągać pochopnych wniosków, jak królika z kapelusza. Nic więc dziwnego, że na śmierć zapomniałam o uroczystym otwarciu Exo, ale Iona zadzwoniła po południu, żeby mi o tym przypomnieć i upewnić się, czy nie zmieniłam zdania. Całymi dniami siedziała w szpitalu i, jak mi powiedziała, ostatnie, na co ma ochotę, to wracać do pustego domu. Nick tego ranka wrócił do Hemel Hempstead i przyjedzie dopiero w piątek po południu. Nie chciałam sprawić jej zawodu.

- Tak się cieszę, kochana. I wiesz co? Nie uwierzysz - mówiła głosem pełnym podziwu. - Będzie tam Nigel Walker!

Chyba miało to wyrzucić na mnie wrażenie.

- Kto? - zapytałam.

- Jezu - obruszyła się, oburzona. - Nie wiesz, kto to jest?

- No, nie - przyznałam. - A kto to jest?

Sportowiec, jak się okazuje. Były olimpijczyk, ściśle mówiąc. Były gracz w rugby. I to w reprezentacji Walii. Mało kto o nim nie słyszał. Boski, boski Nigel. A ja dotychczas nawet nie byłam świadoma jego istnienia. Cóż, nie bardzo interesuję się sportem.

- Osobiście dokona uroczystego otwarcia. Pomyślałam, że go poproszę o autograf, Dai będzie zachwycony. Może weźmiemy też dla ciebie? Nigdy nic nie wiadomo.

Umówiliśmy się z Joem na miejscu. Miał coś do załatwienia w Penarth i powiedział, że sam przyjdzie. W jego kalendarzu był kolejny wpis J - 19, więc nie byłam pewna, czy w ogóle się zjawi.

Iona przyszła po mnie do biura. Mimo starannego makijażu i błyszczącej bluzki wyglądała na zmęczoną i smutną. Najlepiej zrobiłby jej odpoczynek, ale czułam, że bardziej pragnie towarzystwa. Opowiadała mi swoje nowiny: była Lily z wizytą, siostra Daia z Maesteg przysłała dietetyczny biszkopt. Dai wygląda coraz lepiej. I jest już sobą, na tyle, na ile można być sobą, mając połowę serca do wyrzucenia, dodała kwaśno. Podziwiam jej stoicyzm. Jak można żyć, wiedząc, że komuś bliskiemu cały czas zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo?

Ośrodek Exo mieścił się w nowoczesnym centrum handlowym, niedawno otwartym w zatoce Cardiff. Na chodniku przed wejściem tłoczyli się modnie ubrani goście, rozmawiali z ożywieniem i popijali szampana z niebieskich kieliszków. Zostawiłyśmy samochód na piętrowym parkingu i wróciłyśmy przez centrum odnowy biologicznej.

- No - Iona rozglądała się ciekawie - dobrze, że nie włożyłam mojej sukni wieczorowej. Co za niechluj!

Razem z szampanem wręczono nam materiały informacyjne. Przeglądałam błyszczący katalog, podziwiałam nowoczesny sprzęt. W gruncie rzeczy to całe Exo to taki ultranowoczesny i strasznie drogi salon piękności.

Powoli przesuwaliśmy się naprzód. Sam salon znajdował się na pierwszym piętrze. Jasne schody oświetlało niebieskie światło, które odbijało się w bladobłękitnych luksferach. Czułam się jak w gigantycznej toalecie. Ale to jeszcze nie koniec. Jak przystało na świątynię odnowy ciała, nie zabrakło też strawy dla ducha. Na każdym stopniu widniała budująca inskrypcja: NIE MARTW SIĘ, głosił jeden schodek. ŻYJ CHWILA, upominał kolejny. CODZIENNIE CZYTAJ WIERSZE jakoś do mnie nie przemówił.

Kiedy doszliśmy na górę, Iona, stojąca na NAJGORSZE NIGDY NIE NADCHODZI, co stanowiło gorzką ironię jej sytuacji - dostrzegła obiekt swoich westchnień.

- Widzisz, skarbie? Tam jest. Och, ależ on przystojny. O, i Joe też jest.

I rzeczywiście, Joe też tam był. Po drugiej stronie sali, bardzo przystojny. I pograżony w rozmowie z facetem w spódnicy. Moje serce zgubiło rytm, gdy go zobaczyłam. I zupełnie przestało bić, gdy Joe zobaczył mnie. Nasze spojrzenia się spotkały i przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy tu sami. Naprawdę. Patrzył na mnie. Bardzo intensywnie. Jedna brew lekko uniesiona. Mówił mi coś tymi zielonymi oczami. Nie miałam pojęcia co, ale czy to ważne? Przepychał się w moją stronę przez rozbawiony tłum. Czy teraz już zawsze tak

będzie? Ogromna dawka endorfin, ilekroć odnajdziemy się wzrokiem? Kosmiczny zawrót głowy od samego patrzenia sobie w oczy? O rany. Coś takiego. Kto by się spodziewał.

- Cześć - szepnął i skinął na mnie, żebym podeszła bliżej. Pochylił się, aż dotknął ustami mojego ucha.

- Dużo nago pozowałaś? - zapytał szeptem.

- Wtedy podniosłam głowę i go zobaczyłam. Wysoki na jakieś sześć metrów. Nie wierzyłam własnym oczom! Wisiał tam. W samym środku. W holu. O mało nie umarłam, Del. Naprawdę.

Nie zostałyśmy długo.

Bo wcale nie było fajnie. Wszelkie mesmeryczne rozkosze, jakie wzbudziło we mnie spojrzenie Joego, rozwiały się bez śladu. Kobieta jest w stanie znieść określoną ilość upokorzeń i ani odrobiny więcej.

I tak zawiozłam Ionę (i bezcenny autograf) do domu, do Grangetown, i pojechałam do Del po Leo. Była dopiero siódma. Moja twarz była wówczas tylko odrobinę bledsza niż jej pelargonie. Weszła za mną do kuchni i pokręciła głową.

- Co? - dopytywała się. - Co ma sześć metrów?

Posadziła mnie na krześle.

- No dobra, teraz mów.

- Obraz. Obraz, który Stefan malował dla Exo! To nie ta cholerna plama! Miała być plama!

- Jak plama? Kochana, pleciesz bez sensu.

- Niebieska plama! Jego obraz! Ten, który mi pokazywał! Wiesz, opowiadałam ci. Mówił, że robi to dla Exo. Ale mnie okłamał! Bo to wcale nie jest plama! Del, tam jestem ja!

Usiadła gwałtownie i uniosła brwi.

- Twój portret?

Położyłam głowę na stole.

- Właściwie trzy portrety. Tryptyk. Trzy olbrzymie obrazy, w rzędzie, jeden obok drugiego. Zawieszzone na żyłce. Ja, pocięta na trzy. Na boku. Na jednym - głowa i barki, na drugim, hm, cały środek, a na trzecim nogi. Jezu, namalował nawet niebieski lakier do paznokci!

- Chyba nadal nic nie rozumiem.

- To akt, Del! Namalował mój akt! Ze szkicu. Wiesz, naszkicował mnie, kiedy u niego byłam, wiesz kiedy. Zrobił z tego obraz. Olbrzymi obraz! Trzy obrazy!

- Proszę, proszę. - Del uśmiecha się szeroko. - Dobrze chociaż?

- Dobrze? Dobrze? Okropne! Boże! Było mi tak strasznie wstyd! Chyba to sobie wyobrazasz? Wchodzę tam, i wszyscy ci ludzie, setki ludzi, gapią się na mnie! Na wielką, dziwną, gołą Lu! Mam wielkie obwisłe cycki, rozłożone kolana i taką minę, że... Jezu, wyglądam jak napalona cizia z pornosu! Boże, to straszne. Już nigdy nie zasnę spokojnie. Te obrazy to całe metry, Del. Metry kwadratowe różowego ciała, gołego, zupełnie... widać nawet włosy łonowe! Moje! To okropne!

- Ale numer! - Moja siostra klaszcze w dłonie. - Muszę tam pójść, udam, że chcę się zapisać na gimnastykę. Ale numer! Nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz, Lu. Przecież to wspaniale! Na pewno nie jest tak źle. Posłuchaj, to w końcu centrum odnowy biologicznej. Zresztą, po tym, co widziałam, powinnaś się cieszyć, że nie wyglądasz jak zmutowana ostryga. Zakładam, że jest to dość wierny portret?

Powoli kiwam głową.

- O, tak. To ja, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Każdy mnie rozpozna mimo tego lubieżnego spojrzenia. Dobry portret, pewnie. Joe powiedział, że nie mógł oderwać oczu. Mówił, że prawie udławił się szampanem.

- No dobrze, ale czy mu się podobał? Bo to najważniejsze.

- Najważniejsze? Najważniejsze? Jezu, nadal jestem w szoku, że w ogóle to widział! Jezu, jakie to straszne. Tyle ludzi! Setki! Boże, Del, jak ja sobie z tym poradzę?

- Na twoim miejscu nie robiłabym z tego tragedii. Na pewno nikt nic nie zauważył.

- Joe tak.

- No dobrze, ale on cię zna, prawda?

Teraz nawet bardzo dokładnie. Jezu.

- W każdym razie - ciągnie moja siostra - przecież nie będziesz uganiała się po mieście na golasa, prawda?

- No nie, ale tam byli dziennikarze i fotografowie, i co najmniej jeden to sfotografował. Pewnie jutro będę na pierwszej stronie! Co za koszmar! Co za bezczelność! Jak on śmiał? I czy w ogóle miał do tego prawo? Czy nic powinien zapytać mnie najpierw o zgodę?

Del nastawiła wodę na herbatę.

- Chyba nie. To znaczy, de facto już wyraziłaś zgodę. W końcu pozowałaś mu, prawda? I moim zdaniem może z tym zrobić, co zechce. I zrobił. Był tam w ogóle?

- O, tak, a jakże. Przechadzał się dumnie w idiotycznym kapeluszu, pił szampana i obzerał się kanapkami. I był taki dumny! Powiedział, że miał do mnie zadzwonić i mi o tym

powiedzieć. Ja mu zadzwonię! Powiedziałam, że najchętniej skopałabym mu tyłek.

- Komu skopałabyś tyłek? - zainteresował się Leo, wchodząc do kuchni.
- Uważaj, jak się wyrażasz! - warknęłam.
- Ale numer - zauważyła Del.

Czwartek, 14 czerwca

- Ale numer - mówi Joe i wyjmuję gumę do żucia z kieszeni.

- No bo Lu, chyba dostrzegasz komizm tej sytuacji?

Cha, cha, cha. Komizm? A niby w czym? Zaraz stanął mi przed oczyma wizerunek mojego nagiego ciała. Co prawda, kiedy się okazało, że prasa Cardiff poświęciła otwarciu Exo zaledwie kilka linijek, a zdjęcie było jedno, i to niewyraźne - Nigela Walkera, trochę się uspokoiliam, ale i tak nie widziałam w tej sprawie nic zabawnego.

A teraz Joe i ja jedziemy do Birmingham i ostatnie, na co mam ochotę, to przypominanie tamtego nieszczęścia. Że ja... że Stefan i ja... że my... Co mnie opętało? Fuj.

- Czy dostrzegam? - mówię sztywno. - Nie, niestety nie.

- Z czasem dostrzeżesz - zapewnia. - Mało która kobieta może liczyć na taką... hm... popularność. - Chichocze pod nosem. - No i chyba nie zaprzeczysz, że wyglądałaś, jakby pozowanie sprawiało ci ogromną przyjemność?

Widzę kątem oka, że mi się przygląda. I postrzega mnie, jestem tego pewna, w zupełnie nowym świetle. Nie odrywam wzroku od jezdni.

- Nie o to chodzi - mówię w końcu. - Po prostu gdybym choć przez moment, przez ułamek sekundy przypuszczała, że ten obraz będzie w miejscu publicznym, nie pozwoliłabym mu na to za żadne skarby świata.

Nawet zdanie „nie pozwoliłabym mu na to” brzmi obleśnie. A Joe się śmieje. Cha, cha, cha.

- Kiedy to naprawdę dobry akt, Lu. Posłuchaj, facet może i jest fiutem, ale ma talent.

Owszem, zwłaszcza do uwodzenia idiotek.

- Och! - Jestem wstrząśnięta. - Więc ci się podobał?

- I to bardzo. Podobnie jak wszystkim, z którymi rozmawiałem na ten temat. A było ich niemało, bo obraz stanowił główny temat rozmów.

Obraz, czyli ja, monstrualna, naga, rozparta.

- No cóż, może i ma talent - przyznaję. - Ale, jak już powiedziałam, nie o to chodzi. Zrozum, nie pozowałam na rzecz klienteli Exo. Nie pozowałam, żeby połowa Cardiff mogła się gapić na moje piersi. Pozowałam, bo... bo... - O Jezu! - No, nieważne - pociągam nosem. - Nie powinien był tego robić. Nie miał prawa.

Joe wyjmuję gumę z ust i starannie owija ją w chusteczkę.

- Lu - mówi stanowczo - przesadzasz. Wyluzuj, dobrze? Rany! - Głośno wypuszcza

powietrze z płuc. - Zawsze się tak wszystkim nakręcasz. Po co? Obraz wisi i na pewno jeszcze długo tam zostanie. Nie ma sensu się przejmować. Zresztą, czemu się tym przejmujesz? Świetnie wyszłaś.

Świetnie? Czy on zwariował?

- Jasne, świetnie, jak tłusta baba z neolitu. Świetnie, jak...

Odwraca głowę w moją stronę.

- Lu, jesteś kobietą, nie wieszakiem na ubrania. Świetnie, czyli świetnie. Świetnie, czyli seksownie. A jeśli tego nie widzisz, to tylko dlatego, że jak zwykle dostrzegasz jedynie czubek swojego nosa.

- Hm. A niby czemu nie? A jak ty byś się czuł, gdyby to twoje genitalia kołysały się na wietrze, co? Byłbyś zachwycony? Nie sądzę.

Uśmiecha się i milczy. Nakręcam się, też coś.

O rany, czemu on mi zawsze mówi takie rzeczy? No, czemu?

Dobra, przyznaję, to gadanie, że wyglądałam świetnie, seksownie i w ogóle, rzeczywiście nieco poprawiło mi humor, ale jego stwierdzenie, że niepotrzebnie się nakręcam, wszystko popsuło. Jak on śmiał? Co on może o tym wiedzieć? I dlaczego nie powiedział nic jednoznacznie, na przykład: „Podobasz mi się, Lu”. Czy to takie trudne? Niestety, milczał przez następne dwadzieścia minut. Kiedy zatrzymaliśmy się na obiad, nadal byłam nakręcona. Mało brakowało, a w wyścigu do restauracji uprzedziłby nas autokar turystów. Nie jadłam śniadania i umierałam z głodu. Czy wypada jeść frytki przed południem?

Czy w ogóle wypada jeść frytki osobie, której gigantyczny brzuch wisi w najnowocześniejszym centrum handlowym w Cardiff? Wzięłam dwie tace i podałam jedną Joemu. Przecząco pokręcił głową.

- Nie, ja dziękuję - znacząco poklepał się po brzuchu. - Dla mnie tylko kawę. Dużą, dobrze? Idę zająć stolik.

Podeszłam do lady. Będę jadła sama, i to pod jego baczny wzrokiem, więc nici z frytek. Zdecydowałam się na sałatkę owocową i małą czerstwą bułeczkę. Dla niego zamówiłam cappuccino.

- Miałaś ciężką noc? - zapytałam.

Skrzywił się.

- No, można tak powiedzieć.

- Impreza była fajna?

Pokręcił głową.

- Nie zostałem długo, poszedłem na kolację.

Och. Och. Zaraz sobie przypomniałam J - 19 z jego kalendarza. Nie wiem, co mnie opętało, co podkusiło, bym zadała następne pytanie. Rodzaj masochizmu? Desperacja? Któż to wie? Wiem tylko, że nagle wydało mi się to jak najbardziej właściwe. Tak, zaraz wyskoczę z ekspresu rozpaczy, którym jechałam. Zacznę działać. No bo jak to, Joe nigdy nic nie mówi o swoim życiu erotycznym, tylko wypytuje mnie. Gdyby robił jakieś aluzje co do swoich związków, straciłabym wszelką nadzieję, miałabym spokój. Czy naprawdę oczekuję zbyt wiele? Mógłby przecież czasami rzucić coś w stylu: „Jeannine, moja przyjaciółka” albo „wysoka blondynka, z którą się spotykam”. Ale nie. I stąd moje pytanie. Tak po prostu.

- Z kobietą? - zapytałam. Kuleczka melona niebezpiecznie balansowała na łyżeczce.

Zabrzmiało to, ku mojej rozpaczy, jakoś ironicznie. A przecież nie tak miało być, nie tak! Joe zamrugał szybko.

- Słucham?

Ugryzłam melona i żułam miękki miąższ ze swobodną nonszalancją. A potem odezwałam się tonem, w moim przekonaniu, równie niedbałym:

- No, wczoraj. Tak tylko się pytam.

Przesuwał filiżankę po spodeczku przez dłuższą chwilę. A potem lewa brew uniosła się do góry.

- A dlaczego pytasz? - zainteresował się. Przyglądał mi się nad spiralami pary.

Zajęłam się winogronem. Nadal na mnie patrzył. Nie mogłam nic wyczytać z jego wzroku.

- Bez powodu - odparłam.

Odstawił filiżankę.

- Nieprawda.

Tak po prostu.

- A właśnie że prawda. - Rozgryzłam winogrono. Pestki. Połknęłam je szybko. - Tak tylko pytam.

Przesunął spodeczek, żeby zrobić miejsce dla gipsu, poło - żył rękę na stole i ponownie uniósł filiżankę od ust.

- Nieprawda, Lu - stwierdził. - Ty nigdy nie pytasz tak tylko. A wracając do pytania, nie, nie byłem z kobietą. Z menedżerem projektu Tower 2000. Kolacja w interesach.

Gapiłam się na cząstkę jabłka. Kłamie czy nie?

- Ach, tak - mruknęłam.

Poruszył się na krześle. Czy mi się zdawało, czy w kącikach jego ust czaił się uśmiech?

- Czy taką odpowiedź chciałaś usłyszeć?

Teraz ja poruszyłam się niespokojnie.

- Słucham?

- Że wczoraj nie byłem na kolacji z kobietą?

Jezu.

- To nie ma znaczenia, Joe. Już ci mówiłam Tak tylko pytałam, w porządku?

- W porządku. W takim razie założmy, że wczoraj byłem z kobietą. Co wtedy? -

Przyglądał mi się uważnie.

Teatralnie wzruszyłam ramionami.

- Nic. Jak już mówiłam, tak się tylko zastanawiałam.

Pochylił głowę i dmuchnął na kawę, aż w pianie zrobił się mały dołek.

- Ach, tak - mruknął.

A ja oczywiście żałuję, bardzo, bardzo żałuję, że to powiedziałam. Dlaczego? Dlaczego go nie przejrzałam? Dlaczego nic zapytałam o to, co mnie naprawdę interesuje? Dlaczego nie powiedziałam, że nie pytam tak tylko? Że naprawdę chcę wiedzieć. Że mi zależy? Że chcę raz na zawsze wiedzieć, kim jest ta cholerna Jeannine Carver? Dlaczego nie powiedziałam, że tracę dla niego głowę? I gdybym wiedziała, że on nikogo nie ma, chciałabym cofnąć czas, cofnąć wszystko, co zrobiłam i powiedziałam, i zacząć od nowa. Może od pocałunku? Więc dlaczego tego nie zrobiłam?

Pochylił się nad stolikiem i zmrużył oczy.

- Po prostu chodzi o to - zaczął - że nagle bardzo cię interesują moje, hm, zobowiązania towarzyskie. Zastanawia mnie, dlaczego.

Znowu pokręciłam głowę i ciekawie zajrzałam do miseczki. Jeszcze trochę melona, pomarańcza, wisienka. Joe nadal na mnie patrzył. Pochyliłam głowę, ale i tak czułam, jak jego zielone oczy wiercą małe dziurki w mojej czaszce. Milczałam, bo brakowało mi właściwych słów.

Minęło mniej więcej pół roku. Dokończyłam sałatkę.

- Jak chcesz - powiedział cicho. - Idziemy?

Nie tak miało być. Del ma rację. Rzeczywiście coś czuję do Joego Delaney'a. Tylko nie bardzo wiem, co z tym zrobić. No, może nie wiem, co z tym zrobić, za to wiem już, czego nie robić. Nie mogę siedzieć jak niema idiotka i zachowywać się, jakbym miała go gdzieś.

Bo Joe znowu się zgarbił. Znowu spochmurniał.

Spotkanie, na które przybyło wielu walijskich hotelarzy, ciągnęło się do szóstej. Nie byłam na nim potrzebna, więc miałam czas wolny do kolacji. Trzy godziny na zrobienie się na bóstwo. Cóż za ironia losu, W obecnej sytuacji mogę równie dobrze wsadzić nos w książkę i zejść na kolację nieumalowana. Ja tymczasem przez pierwszą godzinę siedziałam w kąpielni mandarynkowej po szyję i w wątpliwościach. Co robić? Jak się zachować? Myślałam i myślałam, i nic nie wymyśliłam. Bo choć bardzo chciałam dać Joemu do zrozumienia, co do niego czuję, zaraz oczyma wyobraźni widziałam J.C, wysoką, blond J.C, i słyszałam, jak Joe mówi:

- Przykro mi, ale... - Nie, nie zniosłabym tego. Na samą myśl kuliłam się ze wstydu. Z drugiej strony, może J.C. to tylko znajomość służbowa? Przecież hołubiłam w sercu coraz więcej wspomnień romantycznych chwil. Ale jeśli tak, czemu Joe nie zrobi stanowczego ruchu? To jasne - bo nie jest mną zainteresowany. A jeśli tak, po co mam robić z siebie idiotkę i dawać mu do zrozumienia, że ja - owszem? Po co przez to przechodzić? Po co się upokarzać? Czy nie mam już dosyć upokorzeń w życiu?

Nalałam sobie wina z butelki w minibarku i podjęłam decyzję; jeśli już iść na dno wraz ze straconymi marzeniami, to iść w pełnej krasie. I tak, umalowana i wyperfumowana, usiadłam na łóżku z następnym kieliszkiem wina i oglądałam kretyńskie seriale w telewizji. Pomalowałam sobie paznokcie. Tym razem krwistoczerwonym lakierem, bo też krwistoczerwona jest moja najlepsza sukienka. Cudeńko od znanego projektanta, które kupiłam na styczniowej wyprzedży. Bardzo seksowna kreacja z satyny i koronek. Do tego zabójczo wysokie i diablo niewygodne szpilki. Ten uwodzicielski strój zaprezentuję dzisiaj, taszcząc torebkę ze sztucznej skóry z gustownym kleksem na środku.

Kiedy wyszłam z wanny, czekała na mnie wiadomość na automatycznej sekretarce. Od Leo:

Cześć mam! Kocham cię! Widziałaś jakieś nowe karty z pokemonami? Zapomniałem z domu pizamy! Sorry! Całusy.

- Ach! Urocza Lucienne! - Monsieur Deschamps przyssał się do mojego policzka jak pijawka i uściskał obie dłonie. - Wygląda pani, pozwolę sobie powiedzieć, jeszcze piękniej niż ostatnio. Fantastycznie, w rzeczy samej. Nie sądzisz, Joe?

Joe, który powitał mnie w barze z umiarkowanym entuzjazmem, mruknął coś pod nosem i ukrył się za kuflem piwa. Miał na sobie kremowy frak, nonszalancko narzucony na ramię w gipsie. Białe - niebieską, wykrochmaloną koszulę pod spodem. Muchę z kremowej satyny. I to prawdziwą, nie taką do przypinania. Jak on sobie z tym poradził z ręką w gipsie?

Wygląda! wspaniale. Elegancko. Zabójczo. Ale ja mu tego nie powiem, o nie Nawet nie spojrzę na niego z podziwem.

- I jest moja, tak, tak - dodał Jean - Paul z zamaszystym gestem. - Usiądziesz koło mnie, *cherie* - informował stanowczo. - *Entente cordiale. Entente tres cordiale.*

A, niech szlag trafi Joego, pomyślałam. Ktoś przynajmniej się mną interesuje.

- Cudownie, Jean - Paul - zaszcebiotałam i upiłam łyk dzinu z tonikiem, który mi podał. - Opowiedz mi o twoim nowym dziele w Blois.

I tak przez cały wieczór.

Nie wiem, czy to dlatego, że postanowiłam pozbawić Joego mojego towarzystwa, ale po dwóch lampkach wina i dwóch drinkach Jean - Paul wydawał mi się idealnym towarzyszem na kolację. Poza tym, okazało się, że dość dobrze zna Beziers, rodzinne miasto mojej matki, jako że dorastał niedaleko, w Perpignan. I tak sobie gawędziliśmy i żartowaliśmy przez przystawki i kolejną butelkę wina.

Pewnie zazwyczaj tak się dzieje. W każdym razie dopiero przy daniu głównym dotarło do mnie, że jego ręce na moich ramionach, że jego obleśny uśmiech to tylko początek. Że ja przymierzam się do skonsumowania kolacji, a Jean - Paul przymierza się do skonsumowania mnie.

Nie wiadomo kiedy poruszyliśmy temat sztuki, który, jak się okazało, był mu dużo bliższy, niż się spodziewałam. Przez kilka minut rozpląwał się nad geniuszem Degasa i jego uwielbieniem kobiecego ciała. To akurat wcale mnie nie dziwiło. Małe dziewczynki. Baletnice, kobiety w kąpielu. Nagie. Wzdrygnęłam się. Skąd ja to znam.

- Lucienne - syknął i sprawił, że znieruchomiałam z różyczką brokuła na widelcu. - Joe wspominał, że malujesz?

Przez jedną straszliwą chwilę myślałam, że mu powiedział.

- Tak? - zapytałam ostrożnie.

- Tak, tak - zapewnił. - Z tego co wiem, studiujesz malarstwo, tak? - Uścisnął mój nadgarstek. Musnął wzrokiem mój dekolt. Wykrzywił ustaw uśmiechu.

- Przepraszam - mruknęłam. - Muszę iść umyć ręce.

Patrzył na mnie pustym wzrokiem.

- Natura mnie wzywa - wyjaśniłam. Zero zrozumienia w jego oczach.

- Idę do toalety. Damskiej.

Uśmiechnął się obleśnie. No jasne.

W nowym hotelu Luxotel Birmingham Sud toalety znajdują się po drugiej stronie

przestronnego holu. Kiedy wyszłam z łazienki, zobaczyłam, że tuż obok jest inna, pusta teraz sala konferencyjna. ORANŻERIA, przeczytałam nad drzwiami. Ponieważ chciałam trochę odpocząć od seksualnego maniaka, którego nadzieje, zdaje się, sama niechcący rozbudziłam, pomyślałam, że daruję sobie deser, wejdę tam i napiszę SMS - a do Leo. Pchnęłam podwójne drzwi. Ustąpiły bez oporu i znalazłam się w przestronnej sali, pełnej palm, juk i cytrusów w ogromnych donicach. W powietrzu unosił się delikatny zapach cytryn. Rozsiadłam się na kanapie, z ulgą zdjęłam niewygodne buty i wyjęłam telefon z torebki.

SMS - y to dziwaczna forma komunikacji, zwłaszcza po ciemku, zwłaszcza na kiepskim telefonie, w którym nie ma podświetlania klawiszy. Cześć. Do Leo. I pewnie dlatego go nie usłyszałam. Lekcje odrobione? Jeśli tak, dostaniesz 2 paczki pokemonów. Pewnie dlatego nie zorientowałam się, że stoi tuż koło mnie. Do jutra, pozdrów c. Del i Sima. Pewnie dlatego podskoczyłam jak oparzona, gdy położył rękę na moim nagim ramieniu.

Jean - Paul.

- Ojej - zachichotał. - Wybacz, Lucienne! Nie chciałem cię przestraszyć, *cherie*.

Chwiał się lekko na nogach. Był, zdaje się, pijany w trupa. *Cherie*, niech go szlag.

- O Boże, Jean - Paul! Może nie chciałeś, ale przestraszyłeś!

Osunął się obok mnie na kanapę i zatoczył łuk ręką.

- Podoba ci się?

Wyłączyłam telefon i schyliłam się po torebkę.

- Bardzo ładnie - odparłam. - Elegancko. No, a teraz wracajmy.

Złapał mnie za rękę.

- Nie idź - mruknął, przewracając szklistymi oczami. Nie ma pośpiechu. Zostańmy tu troszeczkę. Podoba ci się nasz hotel, tak?

Rozglądałam się, cały czas czując na ręku jego palce. Wyrwałam się. Nie protestowałam. Schowałam telefon do torebki. Miałam dreszcze.

- Bardzo. Chciałam zobaczyć, jak tu jest, a potem pisałam SMS - a do syna i...

- Ach. - Teraz jego dłoń wspinała się po moim udzie. Uśmiechał się uwodzicielsko. - Wiec może pokażę ci resztę? Chodźmy na dwór, mamy różne rurociagi.

Rurociagi? Rurociagi? A po co mi rurociagi, do cholery? No nie, aż na tyle nie pasjonują mnie systemy grzewcze. Wstałam. Tylko że nigdzie nie widziałam moich butów. Gdzie one się podziały, do cholery?

- Nie, dziękuję. To bardzo uprzejme z twojej strony, Jean - - Paul, ale chyba powinnam już wracać. Przecież...

- Och, daj spokój. - Z trudem dźwignął się na nogi. Jego dłoń, ciepła i wilgotna, wylądowała na moim ramieniu. - Nie martw się, moja piękna Lucienne. Wszyscy siedzą i dyskutują w barze. Chodź, pokażę ci fontanny. Noc jest taka piękna. - Pchał mnie do przodu.

- Nie, naprawdę. - Wyrwałam mu się i pochyliłam. Może niechcący wepchnęłam je pod kanapę? Fontanny, akurat.

- Och, *cherie*... - Ledwie się wyprostowałam, znowu mnie złapał. - Co z naszym *entente cordiale*, hm? Ty i ja... Wiemy, o co w tym chodzi, co?

- Naprawdę? - Cholera, gdzie te buty? Może pójde boso. - A o co, Jean - Paul?

Rzucił się na mnie z nieoczekiwaną zręcznością, błyskawicznie poczułam na ustach jego gorący oddech.

- Ach, Lucienne - ponaglał - tylko jeden mały pocałunek, tylko *un petit bise*. No, nie prowokuj mnie. Wiecznie się ze mną drażnisz, a przecież ty i ja, przecież my...

- To nieporozumienie, Jean - Paul! Przestań, bardzo proszę. Wyrwałam się z jego objęć.

- Ależ Lucienne! - Ciągłe czułam jego kwaśny oddech. - Jesteś taka okrutna. A ja tak bardzo cię...

- A ja cię bardzo proszę, daj spokój - warknęłam. - I to już! - Chciałam go uderzyć, ale kiedy podniosłam rękę, złapał mnie za nadgarstki. Był zadziwiająco silny jak na pijanego.

Za to miał kłopoty z błędnikiem. Chciał pocałować mnie w usta, ale trafił na policzek. Przesuwał mokre, oślizgłe wargi w stronę moich ust. Faj! O nie, kolego. Szarpnęłam głową i jego język trafił na moją szyję.

- *Cherie*, daj spokój - mruczał. - Czemu się opierasz? Czemu?

Przywarł do mnie, twardy i żylasty, obmacywał mi piersi. Odruchowo się cofnęłam i wiecie co? W końcu odnalazłam buty. A przynajmniej jeden. Dał o sobie znać, kłując obcasem w stopę. Wrzasnęłam z bólu i wylądowałam tam, gdzie wszystko się zaczęło - na kanapie, pod Jean - Paulem.

Nie marnował ani chwili, od razu wykorzystał przewagę.

- *Cherie!* - wrzasnął. Nie można powiedzieć, by dysponował wyszukany słownictwem. - *Cheriel* Tak! Pocałuj mnie! - Pół leżał na mnie, pół klęczał na kanapie, po omacku szarpał się z moją sukienką. Rozległ się trzask rozrywanego materiału.

Jezus Maria. Ale bigos. Sytuacja komplikowała się z minuty na minutę. Był pijany, ale też zdecydowany, i nie sposób było go odwieść od oczywistych zamiarów. Niech to cholera. Zaraz jednak odzyskałam ducha walki.

- Puść mnie! - wrzasnęłam. - Łapy przy sobie, ty świni! Łapy z daleka, ty rozpustny

wieprzu!

Już szykowałam się do decydującego kopniaka kolanem w krocze, gdy nagle ktoś go ze mnie ściągnął.

- Co tu się dzieje? - huknął męski głos.

Głos Joego. Joe, dzięki Bogu. Serce biło mi jak szalone. Prawa stopa rwała z bólu. A w garści miałam kosmyk czarnych wybrylantynowanych włosów.

- Pytałem - wycedził Joe - co tu się dzieje, do cholery?

Jean - Paul wyszczerzył zęby i dyszał ciężko. W powietrzu unosiły się opary jego gniewu. Wstałam z trudem i poprawiłam na sobie sukienkę.

- To nie twój interes - sapnął. Poprawił fryzurę. Joe nadal trzymał go za poję marynarki. Uwolnił się gwałtownie i uderzył Joego w ramię w gipsie.

- Tak myślisz? - Głos Joego był niski i bardzo groźny. - Chyba jesteś w błędzie.

A potem podniósł rękę, wziął zamach i walnął Jean - Paula w twarz.

Zupełnie jak w filmie.

Niemożliwe. Niemożliwe. Rozległ się okropny głuchy trzask. Myślałam, że zwymiotuję.

- Jezu, Joe! - wrzasnęłam, gdy szykował się do powtórki. Oczy mu błyszczały, widziałam w nich lodową determinację. Zamierzył się ponownie. - Przestań! Co ty wyprawiasz?

Okazało się jednak, że dla drugiego ciosu nie ma ani okazji, ani potrzeby. Jean - Paul zatoczył się do tyłu i wylądował w przepastnym fotelu. Jęczał cichutko. Rozwiązał mu się but, z nosa leciała krew. Nikomu już nie zagrażał. Drżącymi rękami otworzyłam torebkę i wyjęłam chusteczkę.

- O Boże - mamrotałam. Osunęłam się na kolana i wycierałam mu krew z twarzy. Powoli do mnie docierało, co się stało. Drżałam.

- Czemu to zrobiłeś? Joe, mogłeś mu złamać nos! O Jezu. O Jezu, Joe! - Odwróciłam się do niego. - Ty idioto! - syknęłam przerażona. - Ty prymitywie! Zobacz, co narobiłeś! No zobacz tylko!

Stał bez ruchu, przystojny i elegancki jak manekin. A potem spojrzał na mnie chłodno i zapytał:

- Więc jak miałem zareagować, Lu?

Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł.

Bomba. Po prostu bomba. I co ja mam teraz robić? No co? Jean - Paul chyba powoli wracał do siebie.

- Joe! - wrzasnęłam. - Joe! Wracaj natychmiast!

- Bueeee - zabulgotał Jean - Paul. - Sosietało? - Podniosłam się i rzuciłam mu chusteczkę na kolana.

- Nie ruszaj się - warknęłam. - Ani na krok, jasne?

A potem porwałam torebkę i pobiegłam do drzwi.

Dogoniłam Joego w holu. Stał przy automacie z papierosami i nerwowo, ale metodycznie przeszukiwał kieszenie, wyjmując wszystko po kolei i układając obok.

- Tu jesteś - stwierdziłam niepotrzebnie. - Joe!

Podniósł głowę.

- Nie zaczynaj, Lu - ostrzegł.

- Nie zaczynaj? Ja mam nie zaczynać? A ty niby co robisz?

Spojrzał na mnie gniewnie.

- Kupuję papierosy.

Po kolei wrzucał monety do maszyny. Szarpnęłam go za rękę. Drobne rozsypały się po podłodze. Agresja chyba jest zaraźliwa.

- O nie! - wrzasnęłam. - Chodź ze mną, musisz wypić to piwo, którego nawarzyłeś.

Ukucnął, żeby zebrać pieniądze.

- Joe - nie dawałam za wygraną. - Posłuchaj! Tam leży facet ze złamanym nosem, wszędzie jest krew i... Jezu! Przestań! Chodź!

Zebrałam jego rzeczy i nerwowo upychałam do torebki.

- Musimy to załatwić, i to zaraz! Już! Boże. Jego nos. Joe, jego nos! Może trzeba go zawieźć do szpitala! Może trzeba go operować! O Boże, Joe! Dlaczego tak go walnąłeś? - On tymczasem znowu wrzucał drobne do maszyny. - Joe! Nie będziesz teraz kupował papierosów, słyszysz? Nie! Zdajesz sobie sprawę, co narobiłeś? - Gniewnie dźgałam go palcem. - Tam leży twój najlepszy klient! Najlepszy! Rozumiesz? Joe, musisz to jakoś załatwić! Idziesz ze mną, i to już, słyszysz? Już!

Nacisnął guzik i maszyna zahuczła groźnie. Po chwili wypadła paczka marlboro. Drżałam tak bardzo, że z trudem ją dostrzegłam. Pochyliłam się po nią.

- I nie będziesz palił.

Uprzedził mnie.

- Zobaczymy.

Był wściekły. No dobrze.

- No dobrze - warknęłam. - Wal się. Słyszałeś? Sam to sobie załatw. Idę spać.

Jak jednak mogłabym iść spać? No jak? Tu niedaleko leży nieprzytomny człowiek, wykrwawia się, być może na śmierć, a sprawca spokojnie kupuje papierosy. Mężczyźni! Pobiełam z powrotem do oranżerii.

Oświetlało ją jedynie światło księżyca. Z trudem dostrzegłam sylwetkę Jean - Paula na fotelu. Podeszłam do niego im palcach. Leżał tak, jak go zostawiłam, rozwalony na fotelu z plamami krwi na koszuli. Ale już bez mojej chusteczki na kolanach. Zrobiono z niej prowizoryczny opatrunek i wetknięto w nos pokryty zaschniętą krwią. Na dodatek chrapał. Na całe gardło.

- Widzisz? - szepnął Joe. - Pijany jak bela.

- Ach, tak - syknęłam. - A ty jesteś trzeźwy jak dziecko, co?

Chyba już się nie gniewał.

- Nigdy tak nie twierdziłem, Lu - zauważył rozsądnie. - Zobaczę, co z nim. - Wsunął papierosy do kieszeni i klęknął przy krześle. Jean - Paul zachrapał głośniejszym, młasnym językiem. Prawe oko puchło w oczach. Joe delikatnie obmacał jego nos.

- Chyba nie jest złamany - mruknął do mnie. - Wygląda na to, że rąbnąłem go w policzek. Widzisz, tu jest ślad, o tu. Chyba moja dłoń gorzej na tym wyszła. - Poruszył ręką i uśmiechnął się lekko. - Aż tak go nie wałnąłem, Lu. Naprawdę.

- Cóż, wyglądało poważnie - prychnęłam. - Zatoczył się przez pół tej sali!

- Ale naprawdę nie wałnąłem go mocno. Wiesz, nie robię tego zbyt często. A on był pijany jak bela, dlatego stracił równowagę. To nic takiego. Pewnie rano nie będzie nawet nic pamiętał. Zresztą - wzruszył ramionami - co się stało, to się nie odstanie. Będę musiał ponieść konsekwencje i już.

Konsekwencje. Będzie ich wiele. Niewykluczone, że sieć Luxotel poszuka sobie innej firmy do ogrzewania hoteli. Głupia historia.

- Co teraz z nim zrobimy? - zapytałam.

Joe wzruszył ramionami.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? - zapytał spokojnie. - Niech tu sobie pośpi.

- Nie możemy go tu zostawić na całą noc!

Zamyślił się.

- Zasługuje na to, ale rzeczywiście nie możemy. Nie ma sprawy, pójdę po Claude'a i zaniemiemy go do łóżka. Nie martw się.

- A co z jego twarzą? I tą krwią? Co mu powiesz?

- Claude'owi? Prawdę, a co? - Był już przy drzwiach. Nagle się odwrócił i powiedział miękko: - Jeśli chcesz, idź na górę Zostaw to mnie.

Jean - Paul chrząkał jak świnia w poszukiwaniu trufli. Całkiem możliwe, że do rana o wszystkim zapomni. A jeśli nie? Co wtedy? Odprowadziłam Joego wzrokiem.

A potem podeszłam do Jean - Paula i wyjęłam mu opatrunek z nosa.

Na piątym piętrze jest ciemno. Ciemno i zimno. Po krótkim błądzeniu w labiryncie korytarzy stoję pod drzwiami z numerem 507. Nadal bosa, bo w jednym bucie złamał mi się obcas. Pukam delikatnie.

- Joe?

Słucham. Nic, cisza. Pukam mocniej.

- Joe? To ja, Lu! Otwórz!

Tym razem coś słyszę. Odgłos zdejmowanego łańcucha. Otwieranych drzwi.

- Och. Lu! Nie śpisz jeszcze?

Nie śpię, jak widać. On też nie. Wygląda, jakby dopiero co zszedł z planu filmowego: rozwiązana mucha, rozchełstana koszula i szklanka whisky w dłoni. A ja w czerwonej kreacji, nie ma co, dobrana z nas para. Tylko że ja, jak się domyślam, nie wyglądam w połowie tak kusząco jak on.

- Alka - seltzer - informuje, widząc, że patrzę na szklankę. Wskazuje mi krzesło, sam siada na łóżku i opróżnia szklankę jednym haustem.

- Nie mogłaś spać?

Gdyby wiedział... gdyby wiedział, ile snu ostatnio przez niego tracę. To tylko jedna z wielu nieprzespanych nocy. Siadam i przecząco kręcę głową.

- Chciałam z tobą porozmawiać, zanim nadejdzie ranek.

- Tak?

- Żebyś wiedział, co powiedzieć Jean - Paulowi. Już **wszystko** załatwione. No wiesz, z nim.

Wzdycha.

- Śpi jak dziecko. A jutro, jak to mówią, jest nowy dzień. Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. - Pociera nasadę nosa. - Jezu, Lu, nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Powaliłem go! Jednym ciosem. Nie wiem, czy uda się to załagodzić.

- Uda się, uda - zapewniam. - Właściwie już to załatwiłam. - Unosi brew. - No, nie musisz się martwić. Jutro nie powie ani słowa na ten temat.

Odrzuca głowę do tyłu i wybuchają śmiechem, ale w jego głosie nie ma wesołości.

- Mówisz, jakbyś nasłala na niego płatnego zabójcę.

Niestety, to nie to.

- Obudziłam go. Ty poszedłeś po Claude'a, a ja go obudziłam. Tak na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek? Jak to?

- Żeby zapamiętał wszystko do rana. Bo obawiałam się, że zostanie mu w głowie tylko jedno - że mu przywaliłeś. Zwłaszcza jeśli się obudzi ze śliwą pod okiem. Nie przypuszczałam natomiast, by pamiętał, dlaczego go walnąłeś. Więc go obudziłam i opowiedziałam ze szczegółami, dlaczego oberwał, i pokazałam podartą sukienkę. I uświadomiłam mu, że mógłby wylądować w areszcie pod zarzutem gwałtu. I tylko tobie zawdzięcza, że nie wylądował - bo ja chciałam wezwać gliny, ale ty, jego przyjaciel, powstrzymałeś mnie.

Joe wstaje, odstawia szklankę na stolik.

- No, no! - Uśmiecha się. - Dzielna z ciebie dziewczyna. I bystra. Nic dziwnego, że był taki skruszony. Jestem pod wrażeniem. Dobra robota.

Nie wiem, czy też mam wstać. Wstać i iść spać? Wstaję. Stopa mnie boli. Siadam z powrotem. Nie chcę iść spać, jeszcze nie.

- I jeszcze jedno, Joe. Chciałam cię przeprosić.

- Za co znowu?

- Bo do tej pory ci nie podziękowałam.

- Nie musiałaś.

- I że cię nazwałam idiotą.

- Zachowałam się jak idiota.

- I prymitywem. Patrz wyżej.

- To nieprawda. Boże, nie wiem, czemu to wszystko powiedziałam. Nie mówiłam poważnie, Joe, po prostu się bałam. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby nie ty. Byłam taka głupia! Mogłam się tego spodziewać. Gdybym sama nie wpakowała się w taką sytuację, nic...

- To nie była twoja wina, Lu! Nawet tak nie myśl!

- Kiedy to prawda, Joe. Zachowywałam się jak idiotka. Zdawałam sobie sprawę, że na mnie leci. Powinnam była się domyślić, że... I po co ja tam wchodziłam? Gdybym tam nie weszła, do niczego by nie doszło. Jestem ci bardzo wdzięczna. Byłeś taki bohaterki, nagle zjawiasz się z ręką w gipsie, rzucasz się na niego i...

- Lu, przestań! Dla nas, rycerzy w lśniących zbrojach, to normalka - mówi jakoś tak

ironicznie. - Nie musisz dziękować.

Podkreśla te słowa machnięciem ręki. Z jego skroni leje się krew. Nie zauważyłam tego do tej pory. Dlaczego?

- Joe! Ty krwawisz? - Nagle chcę go pocałować. Bardzo chcę. Ale cóż... - Pozwól, że rzucę okiem - mówię tylko.

On tymczasem wyciąga rękę.

- Skaleczyłem się w windzie, kiedy wieźliśmy go na górę. Sukinsyn jednak się odegrał - śmieje się.

- No tak. - Przyglądam się uważnie zadrapaniu. - Musimy to oczyścić. I zakleić.

- Nie mam plastra.

- Ty nie, ale ja tak - mówię dumnie. - Jestem matką, nie zapominaj. Zawsze mam przy sobie plastry.

Akurat w tym wypadku miałam je z zupełnie innego powodu Z powodu moich cholernie niewygodnych butów. Ale co lam, najważniejsze, że mam. Przydam się.

- Dobra, mamusiu - z uśmiechem siada na łóżku - jestem do twojej dyspozycji.

O szczęście, znajduję także płyn dezynfekujący. I krem na ugryzienia owadów, pamiątkę po wyprawie do zoo. Uznajemy, że nam niepotrzebny, ale Joe jest pod wrażeniem zawartości mojej torebki, a ja błogosławię bóstwo kobiecych torebek.

- Mam to po babci - tłumaczę - to chyba dziedziczne. Pamiętam, że zawsze miała w torebce wszystko, co potrzebne. Kredki, chusteczki, szpilki, agrałki, słodycze. Wiesz, przezorny zawsze ubezpieczony. A Leo nie ma babci, więc robię, co mogę, by mu ją zastąpić.

- Dlaczego? - pyta. - Co się stało z twoją mamą?

- Umarła. Już dawno. Kiedy miałam dziewiętnaście lat. Ona miała dopiero czterdzieści trzy. Rak piersi. Mój ojciec chyba nigdy się z tym nie pogodził.

- Umarł w zeszłym roku, prawda? Wspominałaś kiedyś.

Kiwam głową.

- Chyba dlatego... nie, nie chyba, na pewno dlatego tak mi zależało na odejściu ze szkoły i... i nowym życiu. - Ostrożnie przykładam gazę do skaleczenia. - Moja mama wręcz tryskała energią, chęcią życia. A potem, nagle, już jej nie było. W moim ojcu pozostał wielki smutek, którego nigdy... No, nie bardzo miałam możliwości pokierować samodzielnie swoim życiem. Wiesz, on wiedział, że nie lubię uczyć. No, dobra, już nie nudzę, pewnie nie chcesz tego słuchać. Podnieś rękę, o tak. A ty? Co z twoimi rodzicami?

Joe posłusznie podnosi rękę. Jest ciepła i, o dziwo, miękka. To pewnie hormony, w każdym razie od jego dotyku kręci mi się w głowie.

- Moi rodzice mieszkają w Hiszpanii - mówi. - W małej wiosce o nazwie, poczekał, tak, Jesus Pobre. Pojechaliśmy tam na wakacje, kiedy miałem dziewięć czy dziesięć lat i od razu się zakochali w tej dziurze. Kupili tam dom, kiedy byłem nastolatkiem. A kiedy miałem siedemnaście lat, przeprowadzili się na stałe.

Ostrożnie wycieram ranę.

- A ty nie?

- Wtedy kończyłem szkołę, znalazłem sobie pracę, zacząłem zarabiać. Miałem pieniądze, przyjaciół i zero ochoty, by wyjeżdżać gdziekolwiek, a już zwłaszcza na taki koniec świata.

- Ale co robiłeś?

Wzrusza ramionami.

- Zostałem tutaj. To nic takiego. Początkowo nie chcieli sprzedawać domu, zresztą najpierw wyjeżdżali tylko na lato i na trochę w styczniu. Dopiero kiedy miałem dwadzieścia parę lat, wynieśli się na stałe.

Przeglądam plastry. Wszystkie są za małe, muszę przykleić dwa.

- Ale kiedy ich nie było, mieszkałeś zupełnie sam? - Wyobrażam sobie, jak siedemnastoletni Joe sam daje sobie radę. Wierzę w niego, jasne, ale i tak dziwię się, że dał sobie radę.

- No, tak. Opiekowałem się domem. Zresztą zawsze byłem niezależny. - Uśmiecha się.
- Poza tym, byli jeszcze Liz i David. Nasi sąsiedzi.

To wiele tłumaczy.

- Czyli znaliście się do dawna?

- To najlepsi przyjaciele moich rodziców. Znam ich niemal od urodzenia.

Przyklejam plaster.

- I Rhiannon.

Przygląda mi się uważnie.

- Tak. I Rhiannon.

- Więc co poszło nie tak?

Marszczy czoło.

- To co zwykle. Wiecznie nie było mnie w domu, robiłem karierę. Wnosiłem pieniądze i nic poza tym. Rhiannon robiła swoje, ja swoje. A kiedy pojawiła się Angharad i Rhiannon została w domu... cóż... - wzrusza ramionami - nie mogliśmy tego dalej ciągnąć. Zresztą miłość wypaliła się chyba dużo wcześniej. Zastąpiła ją wzajemna niechęć. I tyle.

Nic nie mówię i chyba myślę, że czekam, bo po chwili opowiada dalej:

- Tak, zdradziłem ją. Tylko raz. To było głupie i bezmyślne i nie chcę się wcale usprawiedliwiać. Ale też nie będę się więcej kajał. Koniec końców to i tak bez znaczenia. To mogło być każde z nas. Zresztą - wstaje - tak to w życiu bywa, prawda?

Zgniatam opakowania po plastrach w ciasną kulkę. Chciałabym, żeby powiedział coś więcej, ale wtedy do mnie dociera, że chyba niewiele już zostało do powiedzenia. Nagle ogarnia mnie podziw dla Liz i Davida za ich mądrość. Nie ma sensu nikogo obwiniać. Po prostu kolejne nieudane małżeństwo. Kto był winny, od czego się zaczęło, czy to naprawdę takie ważne? To już przeszłość.

Joe spogląda na zegarek i przeciąga się.

- To był długi wieczór, co? - Podchodzi do niskiego stolika i szuka czegoś na małej tacy. Nie ma na szyi temblaka i ręka w gipsie zwisa bezwładnie. Obserwując go, zastanawiam się, jak sobie radzi teraz.

- Tak - przytakuję energicznie, zgaszona jego zmianą tematu. - Tak, święta racja. - Grzebię w torebce w poszukiwaniu karty do drzwi. - Jutro trzeba rano wstać. Lepiej już pójść. Odwraca się.

- Nie to miałem na myśli, Lu - mówi. - Nie chcę, żebyś poszła. Chciałem nam zaparzyć kawę. Napij się ze mną kawy. - Podnosi saszetki i wymachuje mi nimi przed nosem. Mówi poważnie? Naprawdę chce, żebym została? A może mówi tak tylko przez uprzejmość? Jezu, już to przerabialiśmy. A ja w kółko popełniam te same błędy.

- A może herbatki? - kusi. - Mam tu earl greya, owocowe, zobacz: owoce leśne, brzoskwiniowa i jeszcze waniliowa...

Tak, mówi poważnie. Naprawdę chce, żebym została. Rzuca saszetki na łóżko i sięga po czajnik. Nie wiem, czy sprawiło to smutne spojrzenie, czy może to, że po raz pierwszy od wyprawy do zoo patrzy na mnie z czymś na kształt zainteresowania, w każdym razie we mnie coś się budzi. Coś potężnego, coś rozkosznego. Mówi się, że w każdej kobiecie siedzi inna kobieta i walczy, by wyrwać się na świat. Kobieta z jajami, kobieta z ambicją. Która wie, czego chce. A może wcale się tak nie mówi? Ja w każdym razie teraz tego doświadczam. Być może właśnie w tej chwili zmienia się mój portret w Exo; może na płótnie jest teraz zupełnie inna Lu?

- Och, sama nie wiem - mówię. Ładne mi „nie wiem”, w tej chwili jestem gotowa rzucić się na niego jak wygłodzona lwica. Co nie uchodzi jego uwadze. Zbliża się o krok.

- A może alka - seltzer? - proponuje, patrzy mi w oczy i dostrzega ich błysk. Jego oczy też lśnią, błyszczą jak zielone brylanty. - Może przekona cię szeroka oferta środków na zgage? - Uśmiecha się coraz szerzej.

Odpowiadam nieśmiałym uśmiechem.

- Jeśli już, to rano.

Robi kolejny krok. Dzieli nas tak niewiele.

- Więc może szklanek wody? Mam pyszną kranówkę.

Dzieli nas już tylko moja torebka i resztki moich oporów. Naprawdę resztki, bo nowa Lu Fisher wreszcie wydostała się na świat i przejmuje kontrolę. I to jak. O rany.

Rzeczywiście, o rany.

- No dobrze. - Uśmiecham się. - Napiję się kawy. - Powoli, starannie, układam torebkę na łóżku.

Joe obserwuje moje ruchy, potem odnajduje mój wzrok. Przez chyba wieczność stoimy tylko i patrzymy sobie w oczy. Nasze nosy dzieli nie więcej niż piętnaście centymetrów. Jeszcze jeden krok i dotkniemy się. Drżę. Co mam robić? Joe chyba się waha, no, ale on ma utrudnione ruchy. Mam go objąć? Pocałować? A może poczekać? No co? O czym on myśli? Czemu mnie nie ośmieli? Czemu, ni stąd, ni zowąd, jest taki niezdecydowany? Uśmiecha się lekko, ale podnosi czajnik.

- Nastawię wodę - mówi.

Nie pamiętam, jak to było, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy, bo byłam zbyt pijana, ale jeśli pokusić się o wnioski po tym wstępie, to będzie wspaniale, cudownie, energetycznie. To oczywiście wszystko sprawa feromonów. Jasne. Feromony, hormony, geny, kondycja psychoseksualna i jeszcze jakaś. Dobra, nieważne, ale to to. Jak inaczej wytłumaczyć, co czuję? Nieważne, co tam biologia, liczy się jedno; zaraz mnie pocałuje. Ale nie mogę dłużej czekać, muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

Lecz, jak się okazało, były to rozważania czysto akademickie. Bo kiedy Joe zniknął w łazience, zobaczyłam paczkę marlboro, nadal całą. A obok paczkę gumy z nikotyną. I wtedy sobie przypomniałam, że mam w torebce jego rzeczy.

Sięgam po torebkę i wyciągam jego drobiazgi. Portfel, ciężki, ciepły, śliski (który, przynajmniej ze wstydem, na chwilę przytuliłam do policzka). Guma do żucia. I telefon.

Jego cholerny telefon.

Mały i cienki. I włączony, w końcu od czego ma się komórkę?

Na wyświetlaczu świeci się mała ikonka. Telefon. Nie powinnam. Nie wolno mi. Nie zrobię tego. A jednak.

Naciskam zielony guzik.

Wyświetlacz się świeci.

Pojawia się napis: Rozmowa nieodebrana. Jeannine.

Joe wraca. Zdążył umyć szklanki.

- Czarna czy ze śmietanką? - pyta. - Z cukrem czy bez?

Kładę telefon na łóżku.

- Wiesz, Joe, zmieniłam zdanie - mówię. - Dzięki, ale już pójdę. Jest naprawdę późno.

Czas spać.

- Och. - Przygląda mi się długo. - Cóż. Jeśli tak uważasz.

I taki jego wizerunek zabieram ze sobą. Joe nad czajnikiem, z saszetką kawy w ręku, smutny i zmęczony.

Piątek, 15 czerwca

Przepraszam za słownictwo, ale to wszystko jest do d...! Długo nie mogłam zasnąć, rozważając, czemu tak postąpiłam. Co mnie obchodzi jakaś tam Jeannine? Dlaczego nie mam za grosz pewności siebie? Dlaczego?

To naprawdę straszne. Mam trzydzieści pięć lat. Trzydzieści pięć, na Boga. Dlaczego tak się zachowałam? Dlaczego go nie pocałowałam, kiedy miałam okazję? To by mu wystarczyło, jeden mały krok z mojej strony. A ja nic. Nie zdobyłam się na pierwszy krok. Powinnam była. Niestety, ilekroć to analizuję, wmawiam sobie, że mamy nowe tysiąclecie i równouprawnienie kobiet, ilekroć w ogóle o tym myślę, wpadam w panikę.

To wszystko przez tego cholernego Patricka. Oczywiście wiem, że głupotą byłoby obwiniać go o wszystko, ale czasami nie mam innego wyjścia. To naprawdę jego zasługa. Od czasu Patricka kieruje mną jedno - przeklęta godność. I jeszcze ewentualnie rozsądek. Koszmar.

Wiec podjęłam decyzję. Powiedziałam sobie, że tak naprawdę nic mnie nie obchodzi Jeannine Carver, kimkolwiek jest. Koniec z brakiem pewności siebie. Bo Joe był zainteresowany i pocałowałby mnie, gdybym nie uciekła jak przerażony królik. A ja odwzajemniłabym jego pocałunek z takim zapałem, że ta cała Jeannine Carver musiałaby się pogodzić, że przegrała nie tylko bitwę, ale całą wojnę.

W takim mniej więcej nastroju (Co tam godność! Co tam rozsądek!) wstaję, ubieram się i idę na śniadanie.

Lecz mój bojowy humor nie trwa długo.

Bo na dole czeka mnie przykra niespodzianka! Joe znowu nie zwraca na mnie uwagi.

Jean - Paul zresztą też nie.

No, to akurat jest całkowicie zrozumiałe w zaistniałych okolicznościach. Pewnie woli się do mnie w ogóle nie zbliżać. I bardzo dobrze.

Za to na Joego chyba wcale się nie gniewa. Siedzą razem, pochłaniają ogromne porcje i rozmawiają głośno, ale nie agresywnie. Obaj podnoszą głowy, gdy wchodzę do restauracji; Jean - Paul przygląda mi się z obawą, Joe tylko chłodno kiwa głową. Potem obaj pochylają się nad talerzami i podejmują przerwana rozmowę.

Wolę nie wnikać, skąd się bierze ich dziwne zachowanie. Może to jakieś niepojęte dla mnie maniery specjalistów od systemów grzewczych. Nie wiem. Biorę sobie sok owocowy, rogalika i bułeczkę i siadam przy oddzielnym stoliku.

Zanim skończyłam, Joe i Jean - Paul zdążyli wyjść i wróciłam do pokoju, nie natykając się na żadnego z nich. Kiedy zeszłam do recepcji, Joe już tam był, załatwiał formalności. Postawiłam moją torbę obok jego.

- Gotowa? - zapytał.

Skinęłam głową. Nigdzie nie widziałam panów z Luxotel, ani śladu Jean - Paula czy Claude'a. Prawie jakby mi się to wszystko przyśniło.

- Więc? - spytałam kwaśno po drodze do samochodu. - Co powiedział?

Joe wsadził nasze torby do bagażnika.

- Nic takiego. Był przerażony. Chciał cię przeprosić, ale powiedziałem, że jesteś nadal wściekła i że lepiej się do ciebie nie zbliżać, póki trochę nie ochłoniesz. Pytał, czy może ci wystać kwiaty. - Spojrzał na mnie ostro. - Powiedziałem, że nie, ma się rozumieć.

Akurat wyjeżdżałam tyłem, więc dostrzegłam jego uśmiech, kiedy to mówił. Ale uśmiechały się tylko jego usta, nie oczy. Byłam zmęczona i smutna.

- No ale co z tobą? Z kontraktem?

- Och, o mnie się nie martw - usłyszałam.

- Jak to: „O mnie się nie martw?” - prychnęłam. Wyjechałam z parkingu. Joe szukał gumy do żucia. - Wiec jak?

- Jak mówiłaś, wszystko załatwione. Jean - Paul przeprasza. Ja przepraszam. Nic się nie stało. Już po sprawie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Jak mówiłaś.

Więc przynajmniej jedno mi się udało. Chociaż to niczego nie zmienia. Joe nadal jest na mnie zły i chyba tak już zostanie.

Ponieważ był to piątek i trzeba było wypłacić pensje, jechaliśmy szybko. Wkrótce zadzwonił jego telefon. Wyjął go z kieszeni.

- O, cześć - zaczął głosem zupełnie innym niż ten, którym dzisiaj ze mną rozmawiał. - W samochodzie, wracam z Birmingham. Miałem tu wczoraj ważne spotkanie... tak, wiem, wiem, zapomniałem. O Jezu, przepraszam... Miałem to w kalendarzu, ale... Wiem, miałem do ciebie zadzwonić, ale wiesz, tyle rzeczy na głowie, do tego Iona jest w szpitalu, i... no, zapomniałem. Skomplikowałem ci plany?... Nie, wiesz, że wcale tak nie myślę. Tylko czasami... Nie jestem pewien. A może dzisiaj wieczorem?... W porządku. Daj mi znać, dobrze? Do widzenia.

Hm, pomyślałam ponuro. Jeannine.

Wyłączył telefon. Spojrzałam na niego z ukosa.

- Rhiannon? - rzuciłam lekko.

Tyle, jeśli chodzi o moje nocne decyzje. Najwyraźniej nie jestem w stanie długo wytrwać przy takich postanowieniach. Pokręcił głową i wsunął telefon do kieszeni.

- Nie - odparł. - Nie Rhiannon. Ktoś inny. Umówiłem się na wczoraj i zapomniałem to odwołać.

Rzeczywiście ktoś inny.

- A to pech.

- Więc dostałem ochrzan. Nic się nie stało.

Nie mówił nic więcej. Przez godzinę jechaliśmy w milczeniu.

Już niedaleko Cardiff rozdzwonił się mój telefon. Joe sięgnął po moją torebkę, ale nie zdążył.

- To Del - mówi, patrząc na wyświetlacz. - Chcesz oddzwonić?

- Poczekajmy do następnego korka - odpowiadam. - To na pewno nic ważnego. Pewnie pyta, jak nam wczoraj poszło.

- Hm. Więc masz jej sporo do opowiadania, co? - rzuci z przekąsem.

Nawet gdybym zamierzała, a to, jak łatwo zgadnąć, nawet” mi przez myśl nie przeszło, zdać Del szczegółową relację z dramatu w trzech aktach, jakim była ostatnia noc, nie mogłabym dojść do słowa, gdy do niej w końcu zadzwoniłam.

- Ach! - krzyczy. - Wreszcie! Dlaczego nie dzwoniłaś? Nie odsłuchiłaś mojej wiadomości?

- Jakiej wiadomości?

- Nagrałam ci się dzisiaj rano. Nie chciałam dzwonić zbyt wcześnie na wypadek, gdybyście z Joem byli... - Chichocze. - Zresztą o tym opowiesz mi później. Nie w tej sprawie dzwonię - mówi szybko. - Chciałam zapytać, czy już to widziałaś?

- Widziałam? Co?

- Siebie, ty gapo! Jesteś w gazecie!

W gazecie? O co jej chodzi?

- Nie, Del, sprawdzałam - tłumaczę.

- W takim razie, kochana, sprawdzałaś nie w tych co trzeba - odpowiada.

Zadzwoiłam do niej, ledwie wpadłam do biura.

Clare, która już przygotowała wypłaty, segregowała dokumenty. Nikt nie zaparzył kawy, więc zaproponowałam, że skoczę na dół do kawiarni i przyniosę. Skorzystałam z okazji, żeby kupić obiecane karty z pokemonami i tę nieszczęsną gazetę.

I oto ja w całej krasie. W reportażu o sztuce współczesnej.

- W „Timesie”, Del? To koszmar!

- Żebyś widziała. - Moja siostra stłumiła chichot. - Jesteś tam, w czerni, bieli i wszystkich możliwych odcieniach szarości.

- Wiem! - Miałam gazetę przed nosem. - Właśnie na to patrzę!

Artykuł o akcie. Zatytułowany *Naga prawda*. Omawiał rolę nagości jako barometru kulturowego w minionym stuleciu. Analiza godna moich studiów. Artykuł, który powinnam czytać z zainteresowaniem. Ale nie mogłam.

Przebiegłam wzrokiem stronę. Moje piersi znalazły się w znakomitym towarzystwie. Po prawej były piersi pędzla faceta nazwiskiem Schiele - dwie kobiety na kanapie, uwagę przyciągały głównie ostro umalowane usta i sutki. I jeszcze zdjęcie rzeźby, która, na mój gust, przedstawiała faceta uprawiającego seks z drzewem. I do tego ja. Zaczęłam czytać.

- Jezu! Del! - wrzasnęłam. - Boże! Czytałaś to? To po prawej?

- Nie mam tekstu przed sobą. O który fragment ci chodzi?

- O ten! Posłuchaj!

Zapierający dech w piersiach akt Stefana Llewellyna zdaje się przesuwac punkt ciężkości z samej prezentacji nagości na stronę psychologiczną; patrząc na to płótno, wyczuwamy naładowaną erotyzmem atmosferę, która wręcz bije z tego dzieła. Llewellyn odrzuca założenie, że sztuka wysoka służy wyższym celom; wystarczy jedno spojrzenie na płótno i wiemy, co się dzieje w sercu jego modelki. Bo też modelka - i teraz uważaj - wręcz emanuje zmysłowością. Jezu! Jest ucieleśnieniem erotyzmu - i teraz najgorsze! - świadomą współniczką w fizycznym akcie tworzenia. Jej pobudzenie to najważniejszy element tego aktu, potęguje erotyczne oddziaływanie obrazu. I tu od razu nasuwa się pytanie, czy...

Boże, Del! To straszne!

Parsknęła śmiechem.

- A tak, czytałam. Mnie tam wydało się dosyć trafne.

Z niesmakiem złożyłam gazetę.

- Boże! Równie dobrze można było wynająć największy stadion i sprzedawać bilety!

Ale jakim cudem... jakim cudem się o tym dowiedzieli? Przecież otwarcie było zaledwie w środę.

- W takim razie dowiedzieli się o tym wcześniej. A tak przy okazji, rozmawiałaś już z nim?

- Z kim? Ze Stefanem?

- Tak. Dzwonił jakąś godzinę temu. Powiedziałam, żeby łąpał cię w pracy.

Ach, więc teraz do mnie wydzwania, tak? Nie do wiary, nigdy nie byłam aż tak popularna. Dzwonił do biura, jakąś godzinę później, ale pracowałam nad kontraktem, więc Clare powiedziała mu, że później oddzwonię. Próbował jeszcze raz, do domu, ale odrabiałam lekcje z Leo i obiecałam, że zadzwonię, kiedy skończymy.

Głos Stefana, jego podstawowy sprzęt uwodzicielski, płynie ze słuchawki jak roztopiona czekolada. Nie robi to na mnie wrażenia. Odsuwam słuchawkę od ucha.

- Wiem - mruczy zmysłowo. - Jest niezły, prawda?

Nie wiem, czy niezły to właściwe określenie.

- Nie - odpowiadam chłodno. - Nie jest niezły, Stefan. Dla mnie ta cała sytuacja jest żenująca. Właściwie jak tam trafił? No wiesz, spodziewałam się, że będzie jakaś wzmianka w prasie lokalnej, ale w „Timesie”? Jakim cudem? Byli na otwarciu?

- Nie, przyjechali do mnie dwa tygodnie temu - odpowiada dumnie. - Mand to załatwiła. Wiesz...

- Tak - warczę. - Wiem, kto to jest Mand.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że ma przyjaciółkę w BBC? Więc Saskia, bo tak ma na imię, ma faceta, a on jest dziennikarzem, wolnym strzelcem. O tej porze roku niewiele się dzieje. Akurat pisał artykuł o akcie jako takim i zapytał Saskie, czy nie zna jakiegoś współczesnego malarza, którego mógłby włączyć, a ona, jak się domyślasz, ma wszystkie moje prace.

Ple, ple, ple.

- Prace?

- Mhm - słyszę, jak się zaciąga papierosem. Głośno wypuścił dym. Narkoman. - I oczywiście od razu się zachwycił *Aktem V*.

Aktem V? To moje epitafium, tak? A kim są *Akty I - IV*? I kogo zaplanował na *Akt VI*! Cerys? Nową, anonimową jeszcze słuchaczkę z przyszłych kursów? Szkoda, że jednak nie rzuciłam okiem na te wszystkie płótna w jego atelier. Może to nauczyłoby mnie rozsądku i nie ściągałabym majtek tak ochoczo.

Nadal coś gada...

- Od razu chciał o tym napisać, zwłaszcza że wiedział, że to praca dla Exo. Widzisz, o Exo jest teraz głośno. Pracują nad nowym logo. Niewykluczone, że to będziesz ty.

- Ach tak. Bomba. I mam się z tego cieszyć, tak? Że moje ciało będzie na wszystkich ich informatorach i broszurach? Że jestem pieprzonym aktem numer V?

- To tytuł studium - informuje mnie z wyższością..

- Wiem! - pryham.

Milczy. Słyszę, że znowu się zaciąga.

- O co chodzi? - syczę. - Chciałeś ze mną porozmawiać. O czym?

- O filmie dokumentalnym.

Ta sytuacja męczy mnie coraz bardziej. Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego to miałyby mnie interesować.

- A po co?

- Widzisz, prosili mnie o twój telefon i chciałem zapytać, czy mogę im go dać.

- Mój? Po co?

- Bo chcą z tobą przeprowadzić wywiad.

- Wywiad? Dlaczego?

To, oczywiście, idiotyczne pytanie, co zdradza jego westchnienie. Pewnie będą chcieli ze mną porozmawiać o fizyczności procesu twórczego. O emanującej erotyzmem atmosferze. Mówiąc krótko, o Stefanie i o mnie. Mówiąc jeszcze krócej, o pieprzeniu.

Wtorek, 19 czerwca

Co stanowi, szczerze mówiąc, kroplę, która przelewa dzban. Czy Tracey Emin nie wyhaftowała przypadkiem całego namiotu w swoje seksualne przygody? I jeszcze przypomina mi się instalacja pewnego Francuza. Ułożył sterty z puszek z własnymi odchodami. Czy naprawdę w świecie sztuki jest miejsce dla mnie? Nagle w to wątpię. To nie taki świat, jaki sobie wymarzyłam. A na myśl, że najbliższe trzy lata spędzę w klasie (sali wykładowej, atelier?) z ludźmi pokroju Stefana, odczuwam coraz silniejsze mdłości. Zdaję sobie sprawę, że generalizuję i że pewnie będzie tam mnóstwo normalnych ludzi uprawiających normalną sztukę, ale ilu? No ilu? Po raz pierwszy, odkąd powzięłam plany kariery artystycznej, czuję się jak dinozaur. Czuję się stara. I wcale mi się to nie podoba.

Zanim jednak przetasuję wszystkie moje plany życiowe, muszę uporać się z bardziej przyziemnym zadaniem, mianowicie muszę zawieźć Joego do szpitala na zdjęcie gipsu. Stoimy sobie na światłach na Allensbank Road, gdy nagle do mnie dociera, że za niecały tydzień odbieram mój nowy samochód. A już jutro za kierownicą jaguara usiądzie Joe.

Zastanawiam się, jak sobie poradzę przez te kilka dni. Nadal będę jeździła jaguarem? A może coś mi wynajmie? Dziwnie będzie nie jeździć już tym olbrzymem. Dziwnie i smutno. Nie dlatego, że miałam okazję usiąść za kierownicą wozu, o którym większość zwykłych śmiertelników może tylko pomarzyć. W końcu to tylko samochód. Nie styl życia. Nie życie jako takie. Ale przywykłam do niego. Jeździłam nim dłużej niż moim mg i z czasem się do siebie przyzwyczailiśmy. Mam nawet wrażenie, że i Joe przywykł do tego, że to ja prowadzę. W każdym razie już mnie nie poucza. Z lubością zaciskam dłonie na kierownicy, obitej miękką, ciepłą skórą.

Z zadumy wyrywa mnie hałas. To Joe. Śmieje się.

- Halo, Lu! - mówi cicho. - Pobudka. Mamy zielone.

Joe, o dziwo, już się na mnie nie gniewa. Co prawda od piątku rzadko się widzimy, ale te spotkania coraz bardziej mącą mi w głowie. Jest rozmowny. Przyjacielski. Normalny. Pewnie dlatego, że się dowiedział, że jednak nie musi płacić za mój samochód ze swojej kieszeni i nawet nie straci zniżki za bezwypadkową jazdę, ale i tak mnie to niepokoi. Znowu się denerwuję.

- A tak przy okazji - mówi, gdy podjeżdżam pod szpital. - Rozmawiałem dzisiaj z Ioną. Jutro wraca do pracy, więc...

Szarpię za hamulec ręczny.

- Iona? Do pracy? Już?

Kiwa głową.

- Wczoraj wypisali jej męża do domu. Jest w dobrej formie, Iona nie chce dłuższego zwolnienia, więc...

- Jak to? To znaczy, nie musi się nim opiekować?

- Cóż, w idealnym świecie pewnie tak by było. Ale musi wracać do pracy. Przecież zanim Dai stanie na nogi, minie mnóstwo czasu, jeżeli w ogóle będzie mógł pracować. - Ale chyba będzie chciała...

- Nie, Lu, nie chce dłuższego zwolnienia. Proponowałem jej to, ale woli pracować w mniejszym wymiarze godzin. Trzy razy w tygodniu. Sama tego chce. - Przygląda mi się z wyczekiwaniem, jakby uprzedzał moją dezaprobatę. Czy naprawdę jestem aż taką zrzędą? Naprawdę jestem taka despotyczna?

- Joe, ja nie...

- Posłuchaj - patrzy na zegarek. - Muszę już iść. Chodzi o to, że... no, w czwartek znowu muszę jechać do Francji, a ponieważ Jona wraca, pomyślałem, czy...

- W czwartek?

- Czy nie mogłabyś mnie tam zawieźć.

Gapię się na niego całkiem zbita z tropu. Nie przypominam sobie, by wcześniej coś o tym mówił. Ale zaraz, zaraz. Ręka.

- Chwileczkę - mówię. - Przecież zdejmą ci gips. Możesz pojechać sam.

Patrzy na mnie pokornie.

- Niestety, nie. Jeszcze przez tydzień mam oszczędzać rękę, nie forsować jej. Muszę też chodzić na fizykoterapię. Tylko na jedną noc - wraca do tematu. - Wiem, że komplikuję ci życie, ale to dla mnie bardzo ważne. Co ty na to, Lu?

- W ten czwartek? - Moje serce bije coraz szybciej, a ja, nie wiadomo dlaczego, znowu się złościę. - Joe - oznajmiam chłodno - to nie w porządku, sam przyznasz. Przecież nie mogę oczekiwać od Del, żeby wszystko rzuciła i zajęła się Leo. Może jest zajęta. Może...

- Wiem, wiem - kiwa głową. Z bardzo potulnym wyrazem twarzy. Jak się domyślam, chce zmiękczyć moje serce.

- Jean - Paula tam nie będzie, jeśli o to ci chodzi. Jedziemy do Blois - dodaje. - To dla mnie bardzo ważne, Lu. Bardzo. Proszę.

- A nie mógłbyś raz polecieć samolotem? - podsuwam. - Zawiozę cię na lotnisko. To na pewno będzie możliwe.

Wysiada z samochodu.

- Racja - przyznaje, pochylając się do okna. Ma słońce za plecami, dlatego nie widzę jego twarzy. - Mógłbym polecieć, pewnie. Ale wolałbym nie. W końcu nie znam francuskiego, nie zapominaj o tym. Mam tam spotkanie z facetem, który trochę zna angielski, ale wolałbym mieć ze sobą tłumacza. Bardzo cię proszę, zapytaj Del. Dobrze?

Odprowadzam go wzrokiem, jak idzie do drzwi: wysoki, męski, zdecydowany. A potem nagle się odwraca i biegnie w moją stronę. Otwieram okno i patrzę wyczekująco. Wyjmuje coś z kieszeni i podaje mi. Trzy paczki kart z pokemonami.

- Dla Leo - mówi. - Byłem rano w sklepie. Akurat była dostawa, a przypomniało mi się, jak mówiłaś, że się rozchodzą jak świeże bułeczki.

Jestem wzruszona, i to do tego stopnia, że nie wiem, co powiedzieć.

- Będzie zachwycony - stękam w końcu. Już odchodzi, machając na pożegnanie.

- Na razie! - woła. - I zapytaj Del!

Jadę na zajęcia bardzo zdenerwowana. Dzisiaj odbędą się ostatnie zajęcia „Impresji o impresjonistach”. Kiedyś myślałam, że to będzie wyjątkowy dzień. Koniec terminowania, początek wyższego wtajemniczenia. Pas startowy ku nowej karierze. A tymczasem to tylko zwykły wtorek. Nic mnie już nie obchodzi.

Znowu jesteśmy w muzeum. Pożegnalne spotkanie z obrazami, które omawialiśmy przez cały rok. Jestem mniej więcej pół godziny za wcześnie, a na dworze leje jak z cebra, więc wchodzę do środka.

Niemal odruchowo wędruję do mojego ulubionego obrazu, pozwalam, by kolorowe płaszczyzny oddziaływały na moją wyobraźnię. Zachwyca mnie jego głębia, fantastyczne wycucie proporcji. Postacie, które tętnią życiem. Właściwie przed czym uciekają? O czym myślał artysta w chwili tworzenia? Czy miał pojęcie, dokąd uciekają? Zaplanował im życie? Wymyślił zakończenie „żyli długo i szczęśliwie”? Wtedy robię coś, na co jeszcze nigdy się nie zdobyłam. Nie sama w każdym razie. Siadam na podłodze przed obrazem. Po turecku. Przyglądam mu się w milczeniu, lecz gdy słyszę kroki, robi mi się głupio. Nagle zapragnęłam znaleźć się w domu Joego. Ja, on i ten wspaniały obraz. Kobieta i mężczyzna, trzymający się za ręce, na pierwszym planie. Kto jest kim? Joe na pewno by wiedział.

A Stefan uraczyłby mnie metafizycznym bełkotem. Po zajęciach idę prosto do szatni, zostawiam go wśród rozentuzjasmowanych kursantów. Ciekawe, czy tak jest co roku. Młode i zdolne odchodzą po semestrze, zostają mężczyźni, starsi i te, które sobie zostawia na deser. Ledwie to pomyślałam, do szatni wbiega Cerys, zaróżowiona i zdyszana.

- Słyszałaś? - pyta z nabożną czią, zdejmując żakiet z wieszaka. - Stefan będzie w telewizji.

Wkładam kurtkę. Zaczyna mnie drażnić mój cynizm.

- Czyżby? - mruczę.

- Tak - informuje mnie radośnie. - Sam nam powiedział. Kręcą o nim film dokumentalny. Mamy szczęście, że nas uczy. Zaraz się zapiszę na ten kurs o renesansie w przyszłym semestrze, a ty? Na pewno będzie wspaniale. - Zarzuca ciężką torbę na silne ramie.

- A widziałaś ten artykuł w „Timesie” w zeszłym tygodniu? Jego nowy obraz wisi w tym klubie w zatoce, wiesz, Oxo. Jest super.

Nie chce mi się jej poprawiać. Może to i lepiej.

- Jest coraz popularniejszy - papie, gdy idziemy do schodów. - Ten serial będzie na BBC2, nie tylko w telewizji walijskiej, ale ogólnokrajowej.

- Och - mówię. - To fajnie. Widziałaś ten obraz?

Entuzjastycznie kiwa głową.

- Tak. Nie oryginał, ale w gazecie była fotografia. On jest taki zdolny, Lu. Mamy naprawdę szczęście, że nas uczy. - Kiwam głową. I czym się tu martwić? Nie zorientowała się. Nie zorientowała się, że to ja, a widywałyśmy się co tydzień przez dziewięć miesięcy. Przynajmniej o to nie muszę się więcej martwić.

Jesteśmy już w holu. Idę do drzwi, ale Cerys się ociąga.

- Nie idziesz? - pytam.

- Nie... - Jest zakłopotana. - Jeszcze nie. Ja... czekam na kogoś. No wiesz.

- W porządku. To do zobaczenia. Wszystkiego najlepszego.

- Wzajemnie! - woła radośnie. - Powodzenia na studiach!

Na dworze świeci słońce, lecz na chodnikach straszą ogromne kałuże, w których odbijają się ołowiane chmury. Wilgotne powietrze pachnie zielenią. Oddycham głęboko, aż kręci mi się w głowie. Odwracam się, patrzę, skąd wyszłam. I wtedy ich widzę.

Idą pod rękę, śmieją się. A zatem *Akt VI*, na sto procent.

Powodzenia, Cerys, myślę. Powodzenia dla was obojga. Nagle, nieoczekiwanie, czuję się wolna.

Tylko że wolność, podobnie jak walijskie ciasteczka, jest produktem bardzo przereklamowanym. Po jednym kęsie myślisz: i to wszystko? Dzięki spadkowi po ojcu mam na koncie tyle, że właściwie mogę robić co chcę. Dosłownie. Na przykład zabrać Leo w półroczną podróż po wszystkich parkach rozrywki w Stanach. Albo w rejs dookoła świata. Albo możemy sobie dobudować jeden pokój. Albo kupić nowy dom. Albo domek letniskowy w Tenby, jak Del. Ale nie mam na to ochoty. Zaplanowałam sobie wszystko, a teraz, ni stąd, ni zowąd, nie wiem nawet, czemu właściwie odeszłam ze szkoły. Tam przynajmniej mogłam się złościć na plan lekcji. Mogłam marzyć. A teraz nawet nie wiem, o czym marzyć. Wizja zostania artystką jakoś przestała mnie kusić.

- Może powinnaś zacząć karierę modelki - podsuwa Del. Jest piękny wieczór i namówiła nas, żebyśmy z Leo zostali na kolacji. Ben w ogrodzie walczy ze stekami, Del nalewa nam drinka. Mam ochotę ją uściskać. - Możesz powiesić ogłoszenie na uniwersytecie - ciągnie. - Po programie w telewizji dostaniesz mnóstwo propozycji.

- Daj spokój! - pryham. - Powiedziałam mu, gdzie sobie może wsadzić swój film dokumentalny. No wiesz! Kupię informator o studiach zaocznych i pomyślę. Zajęcia i tak zaczynają się dopiero w lutym, więc mam mnóstwo czasu. Zobaczymy.

- A do lutego? Co będzie, jak odejdziesz z JDL? Znajdziesz sobie inną posadę?

Patrzę na ogród. Leo i Simeon siedzą w skupieniu, pochyleni nad kolekcją kart.

- Nie wiem na razie. Później o tym pomyślę. Na razie zdecydowałam, że pojedziemy na wakacje, na prawdziwe wakacje. Tylko we dwójkę, ja i Leo. Wydam nieprzyzwoicie dużo pieniędzy i zabiorę go do Disneylandu.

Wyobrażam sobie jego minę, kiedy mu to powiem. Leo też nie ma lekkiego życia.

Nagle poprawia mi się humor. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Dlaczego? To w końcu nic wielkiego, a on nigdy nawet nie prosił. A mnie do tego stopnia pochłonęły moje plany, moje marzenia, że nawet nie pomyślałam, że i jemu coś się należy. Ogarnia mnie fala miłości do syna.

Del kiwa głową.

- Dawno nie miałaś równie dobrego pomysłu - mówi. Odpoczynek dobrze ci zrobi. Wam obojgu. I masz rację. Po co się spieszyć, równie dobrze możesz dalej siedzieć w JDL i czekać, co przyniesie los. Lily i tak wróci dopiero jesienią, prawda? A w przyszłym tygodniu odbierzesz swój samochód i wszystko wróci do normy. A w każdym razie tego, co ty uważasz za normę. Uśmiecha się. - Joe na pewno będzie zadowolony, jeśli jeszcze trochę zostaniesz.

- Ach, właśnie - mówię, jakbym dopiero sobie o tym przypomniała. - Prosił, żebym go znowu zawiozła do Francji.

- To fajnie - mówi. - Kiedy?

Upijam łyk drinka. Smakuje latem. Jeszcze jeden łyk.

- W czwartek - wzdycham. - Ale szczerze mówiąc, nie chcę jechać.

- Czemu?

- Bo nie. To męcząca podróż, Del. Poza tym, to nie w porządku wobec ciebie.

- Przecież to żaden problem - zarzeka się. - Wiesz, że Leo może u nas nocować.

- Wiem. Jesteś aniołem. Ale nie o to chodzi.

- A ty lubisz jeździć.

- Też nie o to. Po prostu uważam, że im szybciej wypłacę się z tej sytuacji z Joem, tym prędzej zacznę myśleć logicznie.

Parska śmiechem.

- Prędzej świnię zaczną latać, niż ty myśleć logicznie. Zresztą musisz jechać.

- Nie muszę.

- Ależ tak. W końcu za to ci płaci, może nie? Zgodziłaś się go wozić, może nie? Poza tym, Lu, to trochę nie w porządku tak go zostawiać na lodzie. Może to coś ważnego.

Kiwam głową.

- Mówi, że ważne.

Del zamyśla się nad szklanką.

- Wypłatać się? Co dokładnie masz na myśli?

- No, bo nie mogę myśleć spokojnie.

- Hm... - Uśmiecha się. - Mówisz jak nastolatka.

- Bo tak się czuję. Straciłam dla niego głowę - mruczę i upijam kolejny łyk.

- Ale nic z tym nie robisz - zauważa moja siostra.

- A co mam zrobić? Nic z tego nie wyjdzie.

- Przez tę Jeannine. - To nie pytanie, tylko stwierdzenie.

- Częściowo chyba tak.

- Całkowicie.

- Nie Del, to nie tak. To znaczy, owszem, to ważny czynnik z mojego punktu widzenia, ale...

Poprawia się na krześle.

- A właściwie dlaczego to ważny czynnik? Albo z nią jest, albo nie. Co za różnica? Czy to znaczy, że nie możesz spróbować? A może umawiasz się tylko z prawiczkami? - Uśmiecha się, ale w jej głosie jest nuta irytacji.

- Nie wygłupiaj się, Del. Nie w tym problem. Po prostu nie chcę się zaangażować w związek z facetem, który już jest z kimś związany, i tyle. Nie mam na to siły.

Odstawia szklanę, zsuwa sandały z nóg. Jest piękny wieczór, księżyc powoli wschodzi nad różowymi chmurami.

- Lu - ciągnie. - Oprzytomniej, kochanie, Jesteśmy dorośli. Co z tego, że Joe się teraz z kimś spotyka? Jeśli zaczniesz być z tobą, zerwie z nią natychmiast, jestem tego pewna. Znam go.

Ja też.

- No tak, ale nie o to mi chodzi, Del. Po prostu nie jestem pewna, czy nadal jest mną zainteresowany.

- Bzdura! - Nie daje mi dokończyć. - Oczywiście, że jest. Tylko tobie do tego stopnia brak wiary w siebie, że tego nie widzisz.

- Nie byłabym taka pewna. Miał tyle okazji, żeby dać mi do zrozumienia, że... - Odwracam się w jej stronę. - A tego nie zrobił. Wnioskuje z tego...

- Jezu! - krzyczy i opróżnia szklanę do dna. - Mam wrażenie, że słucham przemówienia w ratuszu. Po co wnioskuje? Dlaczego nic nie robisz? Wiesz co? - Bierze mnie za rękę. - Mogłabyś zrobić coś naprawdę awangardowego. Śmiałego. Mogłabyś mu powiedzieć.

- Co?

- Co do niego czujesz, idiotko! Dlaczego nie? Co się może stać?

- Jezu! Nie wiesz, co się może stać? To byłoby najbardziej upokarzające, przerażające...

- O właśnie! - triumfuje. - To jest właśnie twój problem Dżga mnie palcem. -

Posłuchaj, Lu, najgorsze, co się może stać, to że cię odtrąci. Trudno. Ale ty nigdy nie dajesz nikomu szansy. Odpychasz wszystkich. Tak, masz rację. Rzeczywiście, jeśli nie wystawisz głowy poza linię okopu, nie dostaniesz kulki. Ale czy naprawdę warto tak żyć? Tak, zachowasz godność. Tak, zejdziesz z pola bitwy z dumnie podniesioną głową, niezraniona. Ale...

- Właśnie - wtrącam. - Właśnie.

Prycha.

- Ale co to za życie? Lu, jeśli chcesz, żeby ktoś cię pokochał tak, jak my cię kochamy, a na pewno tego chcesz... Więc jeśli tego chcesz, musisz odpowiedzieć miłością. - Właściwie jakim cudem wypłynął temat miłości? Podejrzliwie zaglądam do szklanki. - Lu - mówi stanowczo - czy nie przyszło ci do głowy, że jemu też może być trudno? Że może i jego zraniono? Że też jest czujny? Lu, czy nie pomyślałaś, że może Joe też boi się odrzucenia?

Joe? Energicznie kręcę głową.

- O, nie! - Przypominam sobie wieczór w Amiens. - Na pewno nie.

- Cóż, nie byłabym taka pewna. - Del sięga po dzbanek. - Oczywiście tobie to nawet nie przyszło do głowy - ciągnie. - Do tego stopnia pochłaniają cię własne uczucia, że chyba nigdy nie myślisz o uczuciach innych, prawda?

Otwieram usta z wrażenia.

- Piękne słowa, nie ma co. Dzięki, Del.

- Lu, musiałam to powiedzieć. Bo tak jest! I ty o tym wiesz! Posłuchaj, teraz jesteś w kiepskiej formie. Masz złe doświadczenia. Ale zastanów się przez chwilę. Zachowujesz się, jakby cała odpowiedzialność za wasz potencjalny związek spoczywała na nim. A może on także nie chce tej odpowiedzialności? Może ma dosyć zgadywania, co do niego czujesz. Chyba sama nie zdajesz sobie sprawy, jak potrafisz być lodowata i wyniosła. Dla mnie jest jasne jak słońce, że zwariowałaś na jego punkcie. ale skąd on ma to wiedzieć? Lu, zaryzykuj chociaż ten jeden raz. Zrób coś, na rany boskie.

- Del - mówię sztywno - to nie takie proste. Nie mogę łądować się z jednego nieudanego związku w drugi. Muszę myśleć o synu. Czy ty w ogóle pomyślałaś o Leo?

- O Jezu, Lu, nie zaczynaj z tym! To nie ma z nim nic wspólnego i dobrze o tym wiesz. Chowasz się za nim jak za tarczą, ale nie ze mną te numery. Leo nie ucierpi, jeśli się zakochasz. Nie skończy jako narkoman na ulicy tylko dlatego, że w twoim życiu będzie mężczyzna. To ty sama komplikujesz sobie życie.

- Wielkie dzięki.

- Proszę bardzo. Ben! Co z tymi stekami?

Del oczywiście ma rację. Jak zawsze, do licha. Takie jej prawo, jest w końcu starszą siostrą. A moje prawo - nigdy jej nie słuchać. Przynajmniej tak było do tej pory. Może czas umyć sobie uszy.

Kiedy wracamy z Leo do domu, dzwoni telefon.

- To pewnie ciocia Del sprawdza, czy dojechaliśmy cali i zdrowi - mówię. - Odbierz, dobrze?

Wraca po kilku minutach.

- To nie ciocia Del, tylko Joe - sapie. Zamykam samochód. Serce mi wali. - Nie martw się, mam - śmieje się mój syn, podając mi klucze do domu. - Podziękowałem mu za karty.

Nagle uginają się pode mną nogi. Niemożliwe, żeby po alkoholu, wypiałam tylko jednego drinka.

- Jak ręka? - pytam lekko. - W końcu cała?

- Bardzo dziwna - odpowiada. - Biała, miękka i jakaś taka mała. Jak połowa drugiej. Gdzie byłaś? Od dawna próbuję się dodzwonić.

- U Del - mówię. - Zostaliśmy na kolacji. A co?

- Nic, chciałem tylko zapytać o czwartek. Więc jak?

W tej chwili mogłabym powiedzieć „nie”. Mogłabym zdławić bolesne bicie serca.

- Tak, Joe - odpowiadam. - Wszystko załatwione. Mogę jechać.

- Świetnie! - Naprawdę się cieszy. Del miała rację. Jeśli to ważne spotkanie, zachowałabym się okropnie, odmawiając. Dobrze - mówi. - Posłuchaj, jutro nie musisz wieźć mnie do biura, bo najpierw wyskoczę do Newport. Nie wiem, kiedy przyjdę.

- Na którą mam zarezerwować?

- Zarezerwować?

- Prom.

- Ach, tak. Nie, nie zwracaj sobie tym głowy. Wszystko już ustalone. Do zobaczenia jutro, nie wiem o której.

Kiedy odkładam słuchawkę, przychodzi mi do głowy, że są jednak gorsze sposoby na życie niż ten, który według Del ja wybrałam. Jest mi jednocześnie zimno i gorąco, denerwuję się, nie mam czym oddychać. Po co mi to wszystko?

Czwartek., 21 czerwca

I znowu jedziemy do Francji. O wpół do siódmej odwiozłam Leo do Del, wyściskałam go i wręczyłam batonika na pożegnanie. Nie wolno mu zabierać nowych kart do szkoły. Za to dostałam listę zakupów. Jak mi powiedział, francuskie karty z pokemonami to ostatni krzyk mody. A potem odjechałam wąską drogą w towarzystwie elfów i duszków, które harcowały mi w brzuchu. Nic dziwnego, przecież to noc letniego zrównania dnia z nocą. Pierwszy dzień reszty mojego życia, na które, o Jezusie, wcale nie jestem gotowa.

Ranek był pogodny i rześki - po takim poranku zazwyczaj nadchodzi upalny dzień. Nad łąkami unosiła się mleczna mgła. Lecz przed domem Joego nie było żywego ducha. W pierwszej chwili pomyślałam, że poplątałam godziny. Nacisnęłam dzwonek. Dopiero po kilku minutach coś zaczęło się dziać. Drzwi się otworzyły i Joe, rozczochrany, bosy, stał w progu i zapinał dzinsową koszulę. Rzeczywiście, lewa ręka wyglądała jakoś dziwnie, jakby ją zmniejszono w skomplikowanej maszynie rodem z filmu science fiction.

- Boże, przepraszam - mruknął. - Wejdz. Zaraz będę gotowy.

Jego torba stała przy drzwiach, obok leżał pokrowiec na garnitur. Starłam się nie patrzeć na ciemne włosy na jego piersi.

- Zaniosę to do samochodu.

- Daj spokój Lu, wejdz. Poradzę sobie.

- Przecież nie wolno ci nadwierać ręki?

Podniósł prawą.

- Spójrz, mamusiu - zachichotał. - Mam dwie!

Odwaga. Tylko tego mi trzeba.

O Boże. Do tego stopnia pochłaniają mnie rozważania, co, jak i kiedy mu powiedzieć, że nie jestem w stanie prowadzić normalnej rozmowy. Nie mam pojęcia, co powiedzieć w tej chwili. I tak powoli rozmowa schodzi na temat pracy. Joe, jak zauważam, zapomniał laptopa, ja, co on zauważa, nie wzięłam mapy. Kiedy dojeżdżamy do Swindon, prowadzimy mdłą, nudną rozmowę, jak nieznajomi w samolocie.

- Ładny dziś dzień - mruczy Joe.

- Bardzo.

- A jak tam zajęcia? - pyta.

- Zajęcia ze sztuki?

- No tak. Chyba że zapisałaś się też na fizykę jądrową? We wtorek miałaś ostatnie, prawda?

- Ach, tak. Tak. - Wydaje się, że minęły wieki od tego czasu.

- Ochrzaniłaś go?

- Kogo?

- Tego twojego nauczyciela. Że przez niego byłaś w prasie.

- Och. Widziałeś to?

Uśmiecha się.

- Rzuciłem okiem.

- Nie, właściwie nie. Po co? Jak sam powiedziałeś, co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu się tym martwić. Ale postawiłam sprawę jasno, nie wystąpię w filmie dokumentalnym o jego twórczości. O nie. W ogóle podjęłam pewną decyzję. Nie idę na studia.

- Nie? - Jakoś nie wydaje się zaskoczony.

- Nie.

- Więc co będziesz robiła? Inny kurs?

- Jeszcze nie wiem. Chcę coś studiować, ale zaocznie. Szczerze mówiąc, chyba się nie nadaję na artystkę. Mam za mało przekłutych części ciała.

- Hm - kiwa głową. - Cóż, nie ukrywam, że moim zdaniem to rozsądna decyzja. Nigdy nie wydawałaś mi się wystarczająco awangardowa. Poza tym uwielbienie sztuki a traktowanie jej jak dziwacznej religii to co innego. Jeden obraz ci się podoba, inny nie. I tyle. Po co ci trzy lata wydumanych, dziwacznych teorii, żeby to wiedzieć?

Wypowiada na głos moje myśli. To bardzo denerwujące.

- No właśnie.

- A jeśli chcesz sama malować - proszę bardzo. Możesz się przecież zapisać na zajęcia praktyczne.

Nie chcę dzisiaj rozmawiać o malarstwie.

- Tak.

- Albo wyjechać na taki kurs plenerowy. Liz była na czymś takim. W Toskanii, o ile pamiętam.

- Aha. - O wakacjach też nie chcę rozmawiać.

- Co ty właściwie malujesz? Nigdy nie mówiłaś.

Chcę porozmawiać o nas.

- Akwarele - odpowiadam. - Głównie zabytkowe budynki.

- Świetnie. Bierz zlecenia. Możesz na przykład namalować mój dom.

Wyjmuje gumę z kieszeni. Żuje w milczeniu przez jakąś minutę.

- Już wiem - mówi w końcu. - Zabawimy się w rebusy.

- Rebusy?

- Rebusy - odpowiada. - Zagadki. Musisz zgadnąć, o czym myślę. To jest coś na literę... na literę... LWDHAJNWD.

- Co? Tyle?

- Tyle.

- Za długie.

- Nie ma ograniczeń długości.

- Muszą być.

- Och, Lu, spróbuj. Postaraj się.

Patrzą przed siebie, To na pewno jakaś pułapka. Jezdnia. Ciężarówka. Latarnie. O, mam.

- Latarnie...

- Nie.

- Lampy...

- Nie.

- O rany, podpowiedz mi.

- No dobra. L to od Lu. Coś ci to dało?

- Aha, no dobrze. - Gra podoba mi się coraz bardziej. - Zobaczymy.

- Jak idą te litery?

- LWDHAJNWD.

- Spróbujmy tak: Lu Wariatka Dławi Hiacynty Albo Jabłonie... Jak to było dalej?

- Źle - mówi. - Spróbuj jeszcze raz.

- Więc może Lu Wierząca... Och, nie wiem. - Zerkam na niego.

Przygląda mi się dziwnym wzrokiem.

- Poddajesz się?

- Tak.

- No dobra. Lu, to wiesz. A całość to: Lu W Dziwnym Humorze. A Ja Nie Wiem Dlaczego. Proste, prawda?

Bardzo.

- Nieprawda - mówię. - Nie jestem w dziwnym humorze.

- Jesteś, jesteś. Więc powiesz mi czy nie?

- Nie jestem, Joe.

- Kłamczucha.

- Nie jestem. To znaczy byłam, ale...

- Dosyć tego! - mówi nagle. - Widzisz ten znak? Zjazd za kilometr. Skręć tam, kobieto, i to zaraz.

Przed restauracją stoi sześć szarych stolików. Siadam przy pierwszym z brzegu, podciągam rękawy zakietu i czekam. Czuję się jak w poczekalni u dentysty, tylko że tu nie ma starych gazet do czytania.

Joe idzie po kawę i po chwili wraca z niedużą tacą.

- No dobra - mówi, zrywając wieczko z pojemniczka ze śmietanką. - Cukier?

- Nie, dziękuję.

- W porządku. - Uśmiecha się. - Mów. Zamieniam się w słuch.

Ja też sięgam po śmietankę, ale nie radzę sobie z foliowym wieczkiem. Szarpię i szarpię. Nic z tego. A potem - trzask! i urwałam pasek folii.

- Daj. - Joe wyciąga rękę. - Pomogę ci. Nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe uczucie, mieć dwie ręce do dyspozycji. Naciska na wieczko paznokciem i śmietanka tryska na wszystkie strony. - O cholera! Jak zwykle - mruży pod nosem. - No, proszę. Jak już mówiłem, zamieniam się w słuch. - Unosi brew. Jezu, jest taki przystojny. Czy naprawdę niczego się nie domyśla?

- O Boże - mówię. - Nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem w dziwnym humorze, Joe. Ja po prostu... Jezu, to takie krępujące.

- Widzę. Jesteś czerwona jak burak - zauważa. Przygląda mi się uważnie. - A właściwie dlaczego?

- Bo... bo nie wiem, co ci powiedzieć, i tyle.

- O czym, Lu?

- O... o mnie. O tobie. O Birmingham...

- Och.

- O tym, co się stało. O... o tym, co się nie stało. Joe, ja po prostu... przepraszam, i tyle.

Nie miesza już kawy. Za to ja mieszam moją. Energicznie. Zafascynowana gapię się na mały brązowy wir. Może mnie wessie?

Joe upija łyk kawy.

- Przykro ci? Dlaczego?

- Że nie zostałam. Mimo wszystko.

Unosi brew.

- No dobrze, to już zrozumiałem. I?

- I... i to wszystko. - Odkładam łyżeczkę. - Chyba zachowywałam się w taki sposób, że pomyślałeś, że... cóż, że... że tak powiem, że, no wiesz...

Uśmiecha się.

- Pogubiłem się.

O Boże. Nerwowo bawię się łyżeczką.

- Że mi się nie podobasz. Że odniosłeś wrażenie, że mi się nie podobasz.

Coś w wyrazie jego twarzy się zmienia.

- Tak - przyznaje. - Rzeczywiście robiłaś takie wrażenie.

Patrzę mu prosto w oczy.

- Więc rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Nie odwraca wzroku.

- Chyba tak - mówi. - Wiesz co? Tak na wszelki wypadek powiedz to jeszcze raz, dobrze?

Piję wrzącą kawę. Jezu, jakie to trudne. Nie muszę tego teraz robić. Mogę poczekać do Blois, upić się i zdać się na los. Niech to się stanie przez przypadek. Tu jest za jasno, za widno, za trudno. Mogę przecież poczekać i zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja, prawda? Czekałam całe życie. Jestem w tym świetna.

Ale on czeka teraz, uśmiecha się lekko, przechyla głowę na bok.

- Joe, nie ułatwiasz mi tego.

- Wiem.

- Wiesz?

- Tak.

- Więc wiesz, co chcę powiedzieć?

- Pewnie. Że żałujesz, że jednak nie zostałam. Przed chwilą to powiedziałaś.

- No... tak. Tak.

- Tylko że nie zrobiłaś tego.

- Tak.

Kładzie obie dłonie na stole i głęboko nabiera powietrza w płuca.

- Dlaczego, Lu?

- Bo, bo... och, było mnóstwo powodów. Bo ty... bo kiedy miałaś ku temu okazję, kiedy mogłeś, ty... nie zrobiłeś żadnego ruchu..., no, nie pocałowałeś mnie.

Wydaje się urażony, jak uczeń, któremu zarzuca się cudze przewinienie.

- Prawie to zrobiłem - mówi. - I zrobiłbym, gdybyś dała mi szansę. Ale ty uciekłaś.

Ta rozmowa przybiera nieoczekiwany obrót.

- Nie uciekłam - pryham. - Po prostu się rozmyśliłam.

Patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć, że moja skłonność do zmiany zdania zaczyna działać mu na nerwy. Zakłada ręce na piersi.

- I?

- No dobrze - mówię w końcu. - Wyszłam, bo myślałam... Nie byłam pewna czy ty... -
A, co tam. Skoczę na głęboką wodę. - Joe - pytam - kim jest Jeannine?

- Jeannine? - zapytał i szeroko otworzył oczy ze zdumienia. - Jeannine Carver? A co ona ma z tym wspólnego?

- No właśnie, Joe. Tego nie wiem.

Wydawał się zaniepokojony. Nie, nie zaniepokojony, raczej speszony. I rozbawiony. O Boże. Z każdą chwilą było coraz gorzej.

- W takim razie jest nas dwoje - powiedział. - Bo ja też nie wiem.

- Po prostu... - Zaczerpnęłam tchu. - No... spotykasz się z nią, prawda? A skoro się z nią spotykasz, to...

Urwałam. Nie mogłam powiedzieć nic więcej. Tyle jeśli chodzi o moje plany. Czułam, jak pewność siebie wycieka ze mnie jak woda ze zlewu. Więcej upokorzeń nie zniosę. Odstawił filiżankę i przyglądał mi się uważnie. Teraz nie był już rozbawiony, był w szampańskim humorze.

- Ach tak - zaczął powoli. - No tak, spotykam się z nią, Lu, masz rację.

Wsunął rękę do kieszeni, wyjął portfel, otworzył go. Ja dalej popijałam kawę. Nad cukiernicą krążyła osa. Na huśtawce śmiało się dziecko. Minęła nas kobieta.

A Joe pokręcił głową, uśmiechnął się pod nosem i mruknął:

- No jasne.

Szukał czegoś w portfelu. Po prawej stronie dostrzegłam zdjęcie Angharad, po lewej - czarną kartę American Express i inne karty kredytowe. Plik paragonów. I sporo wizytówek, z których jedną wyjął i podał mi bez słowa.

Zwykła biała wizytówka, bez logo, bez żadnych ozdóbek. W rogu adres. Cedar Folly, oczywiście. O, jeszcze kilka słów. Jeannine, oczywiście Carver. Dr Jeannine Carver.

I jeszcze jedno słowo. Grubą czcionką. Spojrzałam na nie. Na Joego. Przeczytałam na głos:

- Hipnoterapia? Boże, chodzisz do hipnoterapeutki?

Skinął głową.

- Tak, Lu. Spotykam się z nią, jak to ujęłaś, ale nie prywatnie. Nie prywatnie, zrozum.

- Poprawił się na krześle. Uśmiechnął się lekko i zrobił gest, jakby palił. - Już dziewięć tygodni bez papierosa. Prawie trzy miesiące. Mój najlepszy wynik jak do tej pory.

Wróciłam wzrokiem do wizytówki. W mojej głowie zaroilo się tym razem nie od pytań, lecz od odpowiedzi. Biegały jak oszalałe bezgłowe kurczaki. Piszczwały, wrzeszczały i szukały boksów z pytaniami, które zadawałam sobie od tak dawna. O Boże! O rety!

- Och, Joe. Czemu mi nic nie powiedziałeś?

Zmrużył oczy.

- Niechętnie rozpowiadam o czymś takim, Lu.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się jak dziecko, aż miałam ochotę obsypać go pocałunkami.

- Daj spokój. A ty byś się tym chwaliła?

O, radości. Oddałam mu wizytówkę.

- Przecież mnóstwo ludzi korzysta z leczenia hipnozą. Nie ma się czego wstydzić.

- Hm. To samo mówi Jeannine. Ale i tak się wstydzę. - Wsadził wizytówkę do portfela, a portfel do kieszeni. - Co nie znaczy, że nie poleciłbym jej dalej. Jest bardzo dobra, poza tym jest też dobrą znajomą. Znam ją od dawna, jej mąż to mój przyjaciel ze szkoły. - Wychylił duszkiem resztkę kawy. - No, dobrze. Więc już znasz mój wstydlivy sekret.

Tyle głupich pomyłek. Tyle zmarnowanego czasu. Tyle niemal utracone.

- O Boże, Joe, tak mi głupio. Myślałam, że ty i ona... no, wiesz, dodałam dwa do dwóch i wywnioskowałam...

- Ach! Znowu pochopne wnioski, tak? - Roześmiał się głośno. - Cóż, w tym jesteś świetna, trzeba ci przyznać. Ale... zawiesił na chwilę głos. - Przy czym stanęliśmy, panno Fisher? Zdaje się, wspominaliśmy, co się wydarzyło, lub nie, w moim pokoju hotelowym w zeszły czwartek, tak? Ty, zdaje się, czekałaś, aż coś zrobię, ach tak, czekałaś, aż cię pocałuję. Tak? - Uniósł znacząco palec. - Poczekaj chwilę.

Szybko zebrał wszystkie śmieci: opakowania po śmietance, folię, kryształki cukru. Zmiótł wszystko na tacę i przesunął ją na bok. Słońce odbijało się w pasku jego zegarka.

- No, dobra - powiedział. - Chodź tu. Pochyl się.

- Mam się pochylić?

- Tak. Załatwmy to już.

- Co?

Jego oczy błyszczały.

- Ten pocałunek, ma się rozumieć.

- Jak to? Tutaj? Teraz?

- Oczywiście.

O Boże.

- Och, Joe - powiedziałam w końcu. - Jestem taka głupia. Tak koszmarnie głupia. Pewnie masz mnie za idiotkę.

Pokręcił głową. Czułam jego dłonie na policzkach.

- Nie, nie wcale nie. Jesteś cudowna. Mógłbym tak tu siedzieć i patrzeć na ciebie przez cały dzień, ale dochodzi dziesiąta, więc lepiej się pospieszmy.

Zapomniałam na śmierć, która godzina. Zapomniałam o całym bożym świecie.

- O Boże, masz rację. - Nerwowo sięgnęłam po torebkę. - Jeśli na M25 będą takie korki jak poprzednio, będzie wpół do dwunastej, zanim wjedziemy na M20. A jeśli przed Folkestone nadal są roboty drogowe...

Wstał.

- Nie przejmuj się - machnął ręką. - Nie jedziemy do Folkestone.

- Nie?

Wziął mnie za rękę, gdy wracaliśmy do samochodu.

- Nie.

- Ale dlaczego nie? Co ze spotkaniem?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Skłamałem, Lu. Nie ma żadnego spotkania.

Otworzyłam usta ze zdumienia. - Nie ma?

- Nie ma. Zabieram cię na obiad.

- Na obiad? Dokąd?

- Hm... do Paryża.

Zatrzymałam się w pół kroku.

- Do Paryża?

Pociągnął mnie za rękę.

- Więc lepiej się pospieszmy, dobrze? Wiesz co? Zmieniłem zdanie. Jednak ja poprowadzę.

Doszliśmy do jaguara.

- Co? Przecież nie możesz!

- Ojej! - Wyciągnął rękę po kluczyki. - Ale ze mnie drań. Znowu cię okłamałem.

Podał mi kluczyki i posłusznie wsiadłam od strony pasażera. Zaniemówiłam. Dziwnie się czułam, siedząc z tej strony. Joe usiadł za kierownicą i ustawił odpowiednio fotel.

- Żartujesz - powiedziałam, gdy samochód ożył. - Jedziemy do Paryża na obiad? Przecież to nam zajmie kawał czasu.

- Nie - oznajmił radośnie. - Nie, jeśli polecimy.

- Polecimy?

Skinął głową.

- Z Heathrow.

- Lecimy? Lecimy na obiad do Paryża?

Samochód zdawał się niemal płynąć. A może to ja, może to ja byłam w siódmym niebie.

- Tak - odparł. - Wiesz, można dojechać, ale masz rację, to straszny kawał. Za daleko, żeby się tam pchać na obiad. - Zręcznie zmienił pas. - Więc zostaniemy też na kolację.

- Kolację?

Samochód mknął najszybszym pasem. Czułam przyspieszenie w piersi.

- No i na śniadanie też, ma się rozumieć.

- Śniadanie? Czyli nocujemy w Paryżu? O Boże, Joe, nie wiem, co powiedzieć. Czyli zaplanowałeś to wszystko? Zorganizowałeś to za moimi plecami?

- No, nie do końca. Właściwie najpierw zdecydowałem, że chcę cię gdzieś zabrać, zaprosić. Jako podziękowanie za to, co dla mnie zrobiłaś przez te miesiące. Miałem ochotę zabrać cię w jakieś - tu zerknął na mnie kątem oka - romantyczne miejsce. - Ale potem odniosłem wrażenie, ciekawe dlaczego, co? Że nie mam u ciebie czego szukać. Najpierw oczywiście był ten cholerny Stefan, a potem ten idiotyzm z kwiatami i pomyślałem, że może to wcale nie taki dobry pomysł. Wtedy - uśmiechnął się do siebie - wtedy pomyślałem: koniec. Niech ją szlag trafi. I uznałem, że Lu Fisher ma tak negatywny stosunek do kwiatów i mężczyzn i tak dalej, bo się boleśnie sparzyła w przeszłości. I mam dwa wyjścia: albo zaakceptować jej opory i zachowywać się inaczej, albo postępować po swojemu i udowodnić jej, że w tym wypadku nie ma racji.

Potarł podbródek i znowu na mnie spojrzał.

- Więc? - ponagliłam.

- Zdecydowałem się na to drugie. - Uśmiechnął się. - Widzisz Lu, jestem taki jak ty. Wiem, że nie akceptujesz pewnych rzeczy, które robię...

- Nie, Joe, proszę, nie.

- No dobra, nie akceptowałaś. Ale taki jestem, Lu. I nie potrafię, a co ważniejsze, nie chcę być inny. Więc choć wiedziałem, co do ciebie czuję, nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. I wtedy, jak już mówiłem, pomyślałem: pieprzyć to. Zabiorę ją do Paryża, nakarmię, napoję, zaciągnę w nocy nad Sekwanę, zawiozę na wieżę Eiffla. Zrobię to wszystko, co tak ją drażni, i zobaczymy. - Podniósł rękę. - I cały czas trzymałem kciuki.

Mijaliśmy kolejne skrzyżowania i rozjazdy. Zjazd na Gatwick. Do Heathrow prosto. A kolejny przystanek to Paryż! Paryż!

- Joe, jestem taka szczęśliwa, nawet sobie nie wyobrażasz. Nigdy nie byłam na wieży Eiffla.

- Nie?

- Ani nad Sekwaną.

- Nie?

- Joe, ty nic nie rozumiesz. Ja nigdy nie byłam w Paryżu!

- Coś takiego.

- Naprawdę! Jak byłam mała, nie jeździliśmy za granicę, moja mama była anglofilką i miała fioła na punkcie Kornwalii, a później... później zorganizowałam chyba milion wycieczek do Francji, do Paryża, ale sama nigdy nie jeździłam. Nie miałam jak, ze względu na Leo. Jezu, Joe, zawsze chciałam zobaczyć Paryż. Galerie, Montmartre... O Boże! Joe! Mało brakowało, a nie pojechałabym! A gdybym odmówiła? Przecież mogłeś pomyśleć, że...

- I komu to mówisz! Ale nie martw się. Nie jestem aż takim ryzykantem. Miałem współnika.

- Wspólnika?

- Dokładnie mówiąc, współniczkę. - Włączył lewy kierunkowskaz. - Twoją siostrę.

- Del! Del o tym wie?

- Musiałem jej powiedzieć. Nie mogłem tego zorganizować, nie mówiąc jej. Mogłaś mieć inne plany. Ona też. Więc do niej zadzwoniłem. I dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że zawsze chciałaś pojechać do Paryża, i po drugie, że jej zdaniem - spieszył się - że ci się podobam.

Moja siostra. Moja siostra o wszystkim wiedziała. Moja siostra wiedziała, że jadę do Paryża. Moja siostra wiedziała, co Joe do mnie czuje. Lecz moja siostra, w swej mądrości, wolała mi tego nie mówić. Uznała, dzięki ci Boże, że powinnam sama się o tym przekonać. Przypomniałam sobie naszą rozmowę. Te krzyki, ten wykład. Świnia. Cudowna, ukochana świnia. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu. Już niedaleko Heathrow. Światła zmieniły się przed chwilą.

Pochyliłam się, zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam. Tak, jak powinnam go pocałować na samym początku. Nie przez przypadek. Świadomie, bardzo świadomie.

- Jezu, Lu - szepnął. - Miała rację.

- Del zazwyczaj ma rację - mruknęłam. - Ale nie w tym wypadku.

Pocałowałam go jeszcze raz. Mogłabym go całować bez końca.

- Podobasz mi się, też coś! - Pokręciłam głową. - O nie. Tu się myli. Już nie musisz trzymać kciuków. Uwielbiam cię, Joe! - Spojrzałam przed siebie. - A tak w ogóle, mamy zielone światło.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

- Dzień dobry, właśnie piszę powieść i mam nadzieję, że zechcą państwo... - Kiedy ma się do napisania powieść na 100 000 słów i napięty termin, nie ma nic przyjemniejszego, niż wydzwaniać do nieznajomych i prosić o informacje. Ich otwartość i chęć pomocy są dla mnie źródłem nieustającej radości. I tak z wielką przyjemnością dziękuję inspektorowi Trevorowi Taylorowi z Wydziału Policji Drogowej Południowej Walii i Angie Coombs z uniwersytetu Cardiff. Melissie Robertson z programu *Changing Rooms* i wszystkim z Paramount Cars w Cardiff. Bardzo proszę, dajcie nam jaguara...

Chciałabym także podziękować malarzowi Kevinowi Sinnottowi za wspinałą *Ucieczką z fryzjerem*, która wisi w Narodowym Muzeum Walii w Cardiff, i na którą, zapewniam, warto rzucić okiem. Mojemu ukochanemu mężowi, który na co dzień stanowi dla mnie źródło natchnienia, moim dzieciom, które łaskawie oszczędziły mój twardy dysk, i mojemu przyjacielowi, Nigelowi Walkerowi, za to, że pozwolił mi posłużyć się swoim nazwiskiem... i, jak zawsze, niezastąpionym przyjaciołom i fantastycznej rodzinie. A także moim najstarszym, najlepszym przyjaciołom, Debbie i Steve'owi Scottom; z nią przechodziłam wszelkie możliwe inicjacje, a on sprawia, że nawet termy grzewcze wydają się seksowne.